



**Anne Herries**



*Dom  
na urwisku*

## *Rozdział pierwszy*

*Londyn, 1813 roku*

- To wyjątkowo groźna banda - ostrzegł kapitan Jack Harcourt.

Było sierpniowe popołudnie. Jack z przyjacielem właśnie stoczyli walkę na pięści pod czujnym okiem mistrza bokserskiego, prowadzącego klub pięściarski, i zeszli z ringu. Ich obnażone do pasa torsy lśniły od potu. Przeciwnik Jacka był od niego trochę wyższy i bardziej muskularny, ale to wcale nie dawało mu przewagi.

- Musisz wiedzieć, że jeśli się tego podejmiesz i zostaniesz złapany, ryzykujesz życie.

Andrew, lord Beck, markiz Marlbeck uśmiechnął się do Jacka i schylając się, podstawił plecy pod strumień zimnej wody z pompy. Lata wspólnej walki w Hiszpanii i Portugalii połączyły ich więzami trwałej przyjaźni.

- Jeśli będę na tyle głupi, żeby dać się złapać... Nie obawiaj się, Jack. Nie zawiodę cię. Jeśli szpieg działa w tamtej okolicy, to możesz na mnie liczyć.

- Przez niego zginęło wielu angielskich żołnierzy, w tym siedmiu naszych przyjaciół. A o ilu jego ofiarach nie wiemy? Chcę pomścić ich śmierć i wiem, że ty także tego pragniesz. Zająłbym się tą sprawą, ale czasowo oddelegowano mnie do dyspozycji Wellingtona.

- Jesteś pewien, że zdrajcą jest ktoś z naszych? - zapytał Drew. - Nie podoba mi się to - dodał z goryczą, która nie opuszczała go od kilku miesięcy.

- Ja też nie umiem się z tym pogodzić - przyznał Jack. - Niestety, wszystko wskazuje, że tamtego dnia zdradził ktoś z naszych, kto w dodatku nadal pracuje dla Bonapartego.

Drew wiedział, że nie zapomni tamtego dnia w Hiszpanii. Razem z Jackiem i małym oddziałem żołnierzy wyruszyli, aby zaskoczyć wroga. Okazało

się, że ktoś ostrzegł Francuzów. Drew zdołał umknąć wraz z Jackiem i dwoma innymi, ale pozostałych siedmiu i ci, którzy nadciągnęli za nimi, zginęli.

- Jeśli go złapię, zabiję!

- Nie wolno ci go zabić. Jeśli to zrobisz, okażesz się nie lepszy niż on i jego pomocnicy - ostrzegł Jack. - Zdrajcę musi skazać sąd.

- Myślisz, że jest w to zamieszanych więcej osób?

- Jeden Anglik i kilku Francuzów. Zajmują się przemytem, ale to tylko przykrywka dla prawdziwej działalności. Jestem pewien, że nasz szpieg przy pływa i odpływa na pokładzie francuskiego statku przemycającego brandy, jedwab i koronki. Jako Anglik porusza się wśród ludzi, nie budząc podejrzeń, i zdobywa informacje, co może być dla nas groźne. To człowiek z towarzystwa albo ktoś, kto może za takiego uchodzić. Wellington chce unieszkodliwić szpiega, zanim zdąży nam ponownie zaszkodzić.

- Zrobię wszystko, żeby złapać tego zdrajcę. Cieszę się, że mogliśmy poćwiczyć. Tęsknię do dawnego życia...

Kilka miesięcy temu Drew stracił wuja, dziedzicząc po nim tytuł i posiadłość Marlbeck. Musiał się rozstać z wojskiem i przejąć odpowiedzialność za rodową spuściznę.

- Jesteś pewien, że chcesz się w to mieszać? - zapytał Jack. - Kiedy Wellington zaproponował twoją kandydaturę, pomyślałem, że odmówisz ze względu na nowe obowiązki.

- Bywają nudne - skwitował Drew. - Poczekaj, aż sam się ustatkujesz. Zrozumiesz, że można zatęsknić za przygodą.

- Za przygodą? To nie są żarty.

- Nie obawiaj się, w pełni zdaję sobie z tego sprawę. Daję ci słowo, że zrobię wszystko, żeby zdrajcę spotkała sprawiedliwa kara.

- Wellington miał rację. Jesteś odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania. - Jack wyciągnął rękę do przyjaciela.

Drew mocno ją uściskał. Postanowił, że zabije szpiega, jeśli go schwyta i przekona się, że ponosi on winę za śmierć żołnierzy. Uznał jednak, że nie ma potrzeby o tym mówić.

- Marianne, twoja ciotka przychodzi dzisiaj na herbatę - oznajmiła Cynthia Horne, kiedy cała rodzina zgromadziła się w gustownie urządzonej saloniku plebanii. Czulią respekt przed siostrą, a od czasu niedawnej śmierci swojego męża wręcz się jej obawiała. - Pisz, że jest coś, co chce z nami omówić.

- Myślisz, że zamierza nas poprosić, żebyśmy z nią zamieszkały? - spytała Jo. - Szczerze mówiąc, nie chciałabym być jej gościem.

- Wiesz, że ze względu na śmierć papy będziemy musiały opuścić plebanie - powiedziała Marianne, najstarsza z sióstr Horne. Uchodziła za piękność, co nie przeszkodziło jej zyskać opinii rozsądnej i zrównoważonej osoby. - Lord Wainwright był dla nas bardzo łaskawy, pozwalając nam tu zostać, ale nie możemy oczekiwać, że to będzie trwało wiecznie. Zgodnie z prawem powinniśmy opuścić plebanie w ciągu miesiąca po śmierci pastora.

- Nie wpadajmy w rozpacz. - Pani Horne próbowała dodać otuchy córkom. - Nie zapominajcie o tym, że mam domek po moim ojcu. Możemy w nim zamieszkać. Oznaczałoby to przeprowadzkę do Cambridgeshire. Uważam, że to lepsze niż życie na łasce mojej siostry.

- Nie zamieszkamy z lady Wainwright, prawda? Dlaczego papa musiał dostać zapalenia płuc i umrzeć? - spytała ze łzami w oczach Lucy, najmłodsza z sióstr, po czym się rozplakała.

- Nie płacz, kochanie - szepnęła Marianne, gładząc jasne włosy siostry. - My też chciałybyśmy, żeby papa był z nami. Powinniśmy zdecydować, co będzie dla nas najlepsze. Wuj dał nam czas, żebyśmy otrząsnęły się po śmierci papy, ale teraz musi zapewnić odpowiednie lokum nowemu pastrowi. Nie zapominajmy, że plebania jest własnością wuja.

Lord Wainwright był szczodrym człowiekiem, natomiast jego żona, ciotka Agatha, nie pominęła żadnej okazji, by im wytknąć, że żyją na łasce jej męża.

- To nie w porządku, że musimy stąd się wynieść. Czy nowy pastor nie może zamieszkać gdzie indziej? Lord Wainwright ma tyle innych domów. Gdyby tego chciał, mogłybyśmy zostać - powiedziała Jo.

- Nie zapominaj, że to jest plebania - przypomniała siostrze Marianne.

- Nie możesz porozmawiać z wujem? - Jo popatrzyła na matkę. - On cię lubi. Czasem myślę, że bardziej niż swoją żonę.

- Jo! - Cynthia Horne nie wierzyła własnym uszom. - Nie wolno ci mówić takich rzeczy. To nieprawda, a poza tym... - Pani Horne urwała, słysząc zajeżdżający przed plebanię powóz. - Przyjechała Agatha. Pamiętajcie, że na razie żyjemy na łasce jej męża.

Marianne uśmiechnęła się do siostr, chcąc dodać im otuchy. Rozumiała, co czuje Jo, bo ona także nie przepadała za ciotką, która, z natury dominująca, po zawarciu korzystnego małżeństwa traktowała innych z góry.

Dumnie wyprostowana lady Wainwright wkroczyła do salonu.

- Cynthio, wyglądasz na zmęczoną - powiedziała raczej z przyganą niż troską. - To zrozumiałe w twojej sytuacji. Mam dla was wszystkich dobrą wiadomość. Mój mąż pozwolił wam zamieszkać w Lodge. Dom nie jest tak obszerny jak budynek plebanii, ale uważam, że dla was całkiem odpowiedni, bo przecież i tak nie będzie was stać na przyjmowanie gości. Przeprowadzicie się, jak tylko zorganizuję przewóz waszych rzeczy.

- To bardzo szlachetnie z jego strony. - Cynthia Horne poczuła ulgę, że będą miały gdzie się schronić, choć wiedziała, że w Lodge były tylko trzy sypialnie. Cóż, dwie córki będą musiały zamieszkać wspólnie, a Lily, pokojówka będzie spała na składanym łóżku w kuchni.

- Oczywiście. Równie dobrze mógł nie zainteresować się waszym losem. Pewnie tak by postąpił, gdybyś nie była moją siostrą - oświadczyła lady

Wainwright. - To nie koniec dobrych wiadomości. Doktor kazał mi jechać na kurację do Bath. Mąż twierdzi, że musiałam nadwreżyć zdrowie podczas pobytu w Londynie, kiedy nasza Annette debiutowała w towarzystwie. - Lady Wainwright położyła dłoń na obfitych piersiach. - Na szczęście wydaliśmy ją za mąż i teraz mogę się zająć twoimi córkami, Cynthio.

- Jesteśmy wdzięczne za dom, ale nie ma potrzeby...

- Wiem, że nie liczyłyście na nic więcej, bo i z jakiej racji - wpadła siostrze w słowo lady Wainwright. - To, że mój mąż pozwala wam zamieszkać w Lodge, jest dobrodziejstwem. Postanowiłam jednak, że jadąc do Bath, zabiorę ze sobą Marianne. Wierzę, że wykorzysta okazję i znajdzie tam odpowiedniego kandydata na męża. Oczywiście nie może mierzyć za wysoko i liczyć na bardzo korzystną partię. Moja panno, co na to powiesz? - zwróciła się lady Wainwright do Marianne. - Czy mogłaś się spodziewać aż tyle?

- To bardzo miło, że ciocia o mnie pomyślała.

Gdyby ciotka wykazała więcej taktu, Marianne byłaby wdzięczna za propozycję. Jednak w tej sytuacji poczuła się upokorzona i zarazem zła.

Pani Horne zorientowała się, co przeżywa jej córka, i w pełni ją rozumiała. Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła Lily, trzymając w rękach tacę z herbatą i ciastem. Ustawienie na stoliku dzbanka, filiżanek i talerzyków zajęło kilka minut i Marianne zdążyła ochłonąć.

- Ta dziewczyna ma dobre maniery i dobrze piecze - pochwaliła lady Wainwright, pochłaniając trzecie z rzędu ciastko z migdałami. - Jeśli kiedyś zechce od was odejść, chętnie ją u siebie zatrudnię.

- Na pewno będzie jej przyjemnie, kiedy to usłyszy, ale bez niej nie dałabym sobie rady - zauważyła pani Horne. - Zgodziła się pracować za wyżywienie i dach nad głową. Oczywiście coś tam jej zapłacę, ale obawiam się, że będzie to bardzo niewiele.

- Lily wie, że gdybyś mogła, zapłaciłabyś jej więcej, mam - powiedziała Jo, widząc, że ciotka ją ubiegła i sięgnęła po ostatnie migdałowe ciasteczko. A

tak bardzo chciała je zjeść! - Poza tym u nas jest jej dobrze. Traktujemy Lily jak członka rodziny. Jestem pewna, że nie chciałyby pracować we dworze.

- Za dużo mówisz, Josephine. Zastanawiam się, jak twoja matka może na to pozwalać. Choć z drugiej strony wiem, że nie umiała was zdyscyplinować.

Jo zamierzała odpowiedzieć ciotce, ale ostrzegawcze spojrzenie Marianne zamknęło jej usta. Podeszła do okna. Spostrzegła zmierzającego w kierunku plebanii wikarego, przeprosiła i wybiegła z salonu, by go przywitać.

- Najwyższa pora, żebyś nauczyła ją dobrych manier - pouczyła siostrę lady Wainwright. - Jeśli tego nie zrobisz, nikt nie zechce jej za żonę.

- Nie wiem, czy Jo w ogóle zamierza wyjść za mąż - odparła pani Horne. - Mam wrażenie, że książki interesują ją dużo bardziej niż małżeństwo. Nie wiem, skąd to jej się wzięło. Pewnie po ojcu, bo mnie nigdy specjalnie nie ciągnęło do nauki.

- W młodości byłaś dosyć lekkomyślna, ale trudno to porównywać - stwierdziła autorytatywnie lady Wainwright. - Marianne jest najładniejsza z twoich córek. To po tobie odziedziczyła urodę.

- Miło mi to słyszeć. Kiedyś podziwiano moją urodę.

- Nadal jesteś piękna, mamó. Każdy to powie - zapewniła Marianne.

- To prawda - przytaknęła lady Wainwright, wprawiając w zdumienie swoją siostrę. - Gdybyś tylko chciała, mogłabyś ponownie wyjść za mąż. Wracając do Marianne. Trzeba wydać ją jak najlepiej. Po ślubie wprowadzi do swojego towarzystwa siostry i kto wie, może i one znajdą odpowiednich kawalerów.

- Nie wydaje mi się, żeby... - Pani Horne urwała, ponieważ pojawiła się Lily.

- Czy to do mnie? - zapytała, widząc, że pokojówka trzyma w ręku list.

- Tak, proszę pani. List z Kornwalii. Gонец powiedział, że jutro rano wróci po odpowiedź, chyba że zechce pani od razu odpisać.

- To chyba coś pilnego. - Pani Horne niecierpliwie złamała pieczęć. Pospiesznie przebiegła wzrokiem pismo. - Moja ciotka Bertha, lady Edgeworthy, jest chora i prosi, żeby niezwłocznie Marianne przyjechała do Kornwalii, aby dotrzymać jej towarzystwa.

- Marianne pojedzie ze mną do Bath! - stwierdziła stanowczo lady Wainwright. - Napisz do lady Edgeworthy, że to niemożliwe, albo wyślij do niej jedną z młodszych córek

- Marianne jest chrzestną córką Berthy i w tej sytuacji musi do niej pojechać. - Pani Horne nie zamierzała ustąpić siostrze. - Bertha bardzo kocha Marianne.

Lady Wainwright nie kryła niezadowolenia. Niewiele brakowało, a zagroziłaby, że przestanie się opiekować siostrą i jej córkami. Nie zrobiła tego jednak, wiedząc, że mąż uparł się zapewnić wdowie po pastorze dach nad głową. Zdecydował się dać im w użytkowanie Logde, uprzedzając, że z czasem postara się znaleźć coś lepszego.

- W tej sytuacji zastanowię się nad swoim zaproszeniem. - Lady Wainwright wstała z krzesła. - Nie jestem pewna, czy Jo jest dostatecznie dorosła, by zadebiutować w towarzystwie. Za kilka dni powiadomię cię, co zdecydowałam.

- Dziękuję, że ciocia o mnie pomyślała. - Marianne pocałowała w policzek lady Wainwright. - Cioteczna babka musi mnie naprawdę bardzo potrzebować, inaczej nie przysłałaby gońca z Kornwalii i nie płaciła dodatkowo za dostarczenie odpowiedzi.

- Istotnie. To, że obowiązek wobec starszej pani stawiasz wyżej niż własne przyjemności, dobrze o tobie świadczy. Zastanowię się, czy zabrać Josephine do Bath, i nie kryję, że wolałabym pojechać z tobą.

Marianne bez słowa odprowadziła lady Wainwright do drzwi. Kiedy wróciła do salonu, Jo złościła się, że nie miała okazji powiedzieć ciotce, co myśli o jej zaproszeniu. Pani Horne próbowała ją uspokoić.



- Nie wiadomo, czy ciotka zechce cię zabrać. Może uzna, że nie jesteś dostatecznie dobrze wychowana, by jej towarzyszyć - zauważyła Marianne i odskoczyła przed poduszką, którą Jo w nią rzuciła. - W jej obecności nie zachowujesz się najlepiej, prawda?

- Może i nie, ale ona jest taka... taka zadowolona z siebie! - zawołała Jo.

- W dodatku czasem traktuje mamę tak, że aż mnie ręka świerzbi - wyznała Marianne. - Musimy jednak uważać na to, co mówimy. Jej mąż wiele dla nas zrobił w ciągu ostatnich miesięcy...

- Nie wiem, jak dałybyśmy sobie radę bez jego pomocy - przyznała pani Horne. - Poza tym, Jo, spotkasz wiele osób pokroju ciotki. Powinnaś się nauczyć trzymać język za zębami, bo jeśli będziesz niegrzeczna i grubiańska, ludzie szybko się od ciebie odwrócą.

- Wiem, ale ciotka okropnie mnie irytuje. Proszę, nie każ mi z nią jechać do Bath.

- Nie mogę cię zmusić, lecz jeśli odmówisz, sprawy się skomplikują. Zresztą znasz swoją ciotkę równie dobrze jak ja - odparła znękanym tonem pani Horne. - Spróbuj dostrzec w tym dobre strony. Na pewno sprawi ci nowe suknie i nie jest wykluczone, że poznasz kogoś, kto wzbudzi twoje zainteresowanie.

- Nie jestem pewna, czy chcę wyjść za mąż. Żałuję, że to nie ja jestem córką chrzestną ciotki Berthy. Chętnie pojechałabym tam zamiast Marianne - powiedziała Jo.

- Pobyt w Bath może się okazać ciekawy. Pomyśl, jak wspaniale są zaopatrzone biblioteki w takim modnym kurorcie. Na pewno dużo lepiej niż ta skromna wypożyczalnia w Mallham, na którą ciągle narzekasz.

- Rzeczywiście. Mogą tam nawet istnieć literackie koła dyskusyjne - dodała zamyślona Jo.

- Nie zapominajcie, że musimy myśleć o przyszłości Lucy - przypomniała pani Horne. - Na razie jest młodzietka, ale pewnego dnia zechce wyjść za mąż, a ja nie zdołam sfinansować sezonu w Londynie. Liczę na to, że ciotka Bertha po-

może Marianne, a Jo przy odrobinie szczęścia pozna kogoś w Bath... jeśli będzie chciała. Ale co będzie z Lucy?

Marianne i Jo popatrzyły na siedzącą przy oknie najmłodszą siostrę. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na toczącą się rozmowę. Jednak nagle odwróciła się do nich z uśmiechem.

- Mówiłyście o mnie? Marzę o rycerzu na białym koniu, który uwolni mnie z zamku złej czarownicy, a potem zabierze do swojego królestwa, gdzie zawsze świeci słońce. Przyjedziecie do mnie i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Och, Lucy - westchnęła pani Horne. - Pewnego dnia odkryjesz, że rycerze, o których marzysz, nie istnieją, i będziesz rozczarowana.

- Wiem, że nie istnieją - odparła Lucy. - Lubię marzyć, bo życie jest takie okropne. Słyszałam, co mówiła ciotka. Mamo, uważasz, że Jo powinna pojechać do Bath?

- Przemyślałam sprawę i nie jestem już taka pewna, że powinnam odmówić - oznajmiła Jo. - To będzie nowe doświadczenie, a pisarz nie może przecież pisać o życiu, jeśli go nie pozna...

- Jo? Co ty planujesz? - zapytała zaniepokojona pani Horne.

- Postanowiłam napisać książkę. Wątpię, żeby ktoś chciał ją wydać. Sama też nie mam na to pieniędzy. Mimo wszystko chcę spróbować. Choćby tylko dla ciebie i dla sióstr.

- To ekscytujące! - pisnęła Lucy. - Napiszesz o rycerzach i o uwięzionych księżniczkach?

- Nie. Zamierzam pisać o miłości, ale nie jestem pewna, czy moja historia skończy się tak dobrze, jak twoje bajki.

- Chętnie posłucham fragmentów, choć obawiam się, że dopiero po powrocie od ciotki Berthy. O ile zrozumiałam, mam jechać natychmiast? - Marianne spojrzała pytająco na matkę.

- Zupełnie zapomniałam o tym biednym chłopcu! - zawołała pani Horne. - Sądziś, że nadal czeka na odpowiedź?

- Pomyślałam, że będziesz chciała się zastanowić nad odpowiedzią, więc kiedy odprowadzałam ciotkę do drzwi, kazałam mu wrócić po odpowiedź rano. Zjawi się punktualnie o siódmej, żeby zdążyć z listem na dyliżans pocztowy o siódmej trzydzieści.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie żałujesz wyjazdu do Bath?

- Jak możesz o to pytać? Z przyjemnością odwiedzę ciotkę Berthę. Zresztą jak mogłabym jej odmówić, skoro napisała, że chce mnie zobaczyć. Mieszka z damą do towarzystwa, ale podejrzewam, że mimo to czuje się samotna.

- Można na ciebie liczyć. - Pani Horne uśmiechnęła się do najstarszej córki. - Trzeba przejrzeć twoją garderobę. Na szczęście w zeszłym roku dostałaś nową suknię wieczorową. Właściwie nie miałaś okazji jej nosić, ale i tak chciałabym uzupełnić twoją garderobę.

- Mam kilka sukien, które po niewielkich przeróbkach będą zupełnie dobre.

- Chcę ci kupić przynajmniej jedną nową - oznajmiła pani Horne. - Oszczędzałam na wasze urodziny, ale uważam, że w tej sytuacji suknia dla Marianne jest ważniejsza. Zgadza się ze mną?

- Oczywiście - odparła Jo. - Jeśli ciotka zechce zabrać mnie do Bath, nie będzie ryzykować, że moje stroje przyniosą jej wstyd, i na pewno sprawi mi coś nowego. A ty, Lucy?

- Ja też uważam, że Marianne musi dostać nowe suknie - powiedziała Lucy, choć jej urodziny wypadały już za kilka tygodni.

- W takim razie jutro rano wybierzemy się po zakupy do Huntingdon. Nie ma czasu do stracenia.

Dziewczęta popatrzyły na siebie z radością. Jo od razu pomyślała o książkach, które pożyczycy z biblioteki, dla Lucy sama przejażdżka dyliżansem

była atrakcją, a Marianne zaczęła obliczać, na ile jardów wstążki wystarczy zaoszczędzone pięć szylingów.

W Huntington była jedna pracownia sprzedająca gotowe stroje i właśnie tam się skierowały. Jo chciała być obecna przy wyborze sukni dla Marianne, postanowiła więc odłożyć na później wizytę w bibliotece.

Pani Herrington zaprezentowała trzy suknie: wieczorową, spacerową i popołudniową. Wieczorowa była uszyta z bladoniebieskiego jedwabiu, spacerowa była ciemnoniebieska, a popołudniowa żółta. Krawcowa zorientowała się, że fundusze jej klientek są ograniczone, i zaproponowała, że jeśli kupią wszystkie trzy suknie, wyceni je na dwanaście gwinei.

- Obawiam się, że to przekracza moje możliwości - powiedziała pani Horne. - To doskonała cena, ale dla mnie jednak za drogo. Weźmiemy tylko wieczorową.

Krawcowa była wyraźnie rozczarowana.

- Zamówiła je pewna klientka i nie zapłaciła - wyjaśniła. - Dlatego jestem gotowa odstąpić je po cenie kosztów, żeby odzyskać choć część pieniędzy.

- Żałuję, ale nie mogę ich kupić. Weźmiemy tę błękitną. Czy będzie pani mogła ją dostarczyć na stację dyliżansów? Mamy w planie inne zakupy.

Po opuszczeniu pracowni Marianne powiedziała:

- Dziękuję, mam. To piękna suknia, ale bardzo droga.

- Chciałabym nabyć wszystkie trzy, lecz na to nas nie stać. Kupimy materiał i zanim wyjedziesz, zdążycie z Jo uszyć przynajmniej jedną popołudniową suknię.

- Ja też pomogę - zaofiarowała się Lucy.

- Dziękuję ci - powiedziała Marianne. - Stare suknie można ozdobić koronką i będą jak nowe.

- Mam w domu trochę koronki - przypomniała sobie pani Horne. - Sądzę, że wystarczy na twoje potrzeby. A zresztą kto wie? Może dostaniesz coś od ciotki?

- Masz na myśli lady Wainwright? Wolałabym, żeby nic mi nie dawała - odparła Marianne.

- Myślałam o Bercie - wyjaśniła pani Horne. - Zobaczmy, na co jeszcze możemy sobie pozwolić...

Kupiły dwie pary pantofli i botki, ale na kapelusik pieniędzy nie starczyło. Marianne wcale się tym nie przejęła. Nabyła trochę wstążki i kilka sztucznych kwiatów z jedwabiu, żeby w domu przerobić stare okrycie głowy. Obie z Jo miały dryg do robótek. Pod koniec wizyty w miasteczku Jo odwiedziła bibliotekę i wróciła z naręczem książek dla siebie i pięknie ilustrowanym tomem baśni dla Lucy. Po skromnym posiłku w zajęździe odebrały paczki ze sprawunkami i zmęczone, ale zadowolone wsiadły do dyliżansu, który jechał w stronę ich domu.

Na plebanii czekał na nie list od lorda Wainwrighta, w którym oznajmiał, że oddaje im do dyspozycji jeden z własnych powozów, aby Marianne mogła wygodnie i bezpiecznie dotrzeć do Kornwalii. W tej sytuacji można było zwrócić bilet na dyliżans, który przysłała ciotka Bertha, i odzyskać za niego pieniądze. Do listu lord Wainwright dołączył sakiewkę, w której znajdowało się dwadzieścia funtów w złocie.

Marianne nie wierzyła własnym oczom.

- To za dużo. Nie mogę przyjąć od wuja takiej sumy.

- Możesz, moja droga - orzekła pani Horne. - To bardzo miło z jego strony. Gdybyś zwróciła pieniądze, wuj by się obraził. Napisz list i podziękuj za jego dobroć.

- Z przyjemnością to zrobię.

- Musisz mieć ze sobą jakieś pieniądze. Zastanawiałam się, czy nie sprzedać swoich pereł... W tej sytuacji zamiast je sprzedawać, mogę ci je dać. Nie masz przecież nic poza srebrnym medalionem.

- Och, mamó! Dziękuję! Będę ich dobrze pilnować i zaraz po powrocie ci je oddam. Wydałaś dziś na mnie dziesięć funtów. Chcę, żebyś to sobie odebrała z pieniędzy od wuja. Zostanie mi drugie tyle, a to i tak więcej niż potrzebuję.

- Skoro nalegasz, wezmę pięć - zdecydowała matka. - Niewykluczone, że gdy obie z Jo wyjedziecie, wybiorę się z Lucy do Huntingdon.

- Weź dziesięć, proszę. Czuję się winna, że wydałaś na mnie wszystkie swoje oszczędności. Możesz nagle potrzebować pieniędzy, a mnie wystarczy połowa tej kwoty.

- Gdybym wiedziała, że wuj zamierza dać ci coś na drogę, kupiłabym trzy suknie - stwierdziła pani Horne.

- Nie ma czego żałować. Bela niebieskiego aksamitu była tania. Materiału wystarczy dla Jo i Lucy.

- Masz złote serce, Marianne. - Pani Horne spojrzała czule na najstarszą córkę. - Twój ojciec uważał, że dobrze wyjdiesz za mąż i dzięki tobie przyszłość nas wszystkich będzie zapewniona. Wierzył, że pewnego dnia spotkasz młodego arystokratę u lorda Wainwrighta albo u markiza Marlbecka.

- Znajomi wujostwa są zadufani w sobie i naprawdę trudno ich polubić. Poza tym wiesz, że nigdy nie zaproszono nas do Marlbeck. Uczestniczyliśmy jedynie w przyjęciach ogrodowych, tak samo jak reszta sąsiadów markiza.

- Niestety, markiz zmarł - powiedziała z westchnieniem pani Horne. - Nikt nie widział jego dziedzica. Nie wiem, czy to prawda, ale słyszałam, że podobno większość czasu spędza w Londynie.

- To bez znaczenia, gdzie on mieszka. Zapewne jest tak samo dumny i wyniosły, jak jego wuj i wątpię, by zechciał się ożenić z córką pastora - zauważyła rozsądnie Marianne.

- Nieważne. Liczy się tylko to, żebyś była szczęśliwa. Jeśli pokochasz dobrego człowieka bez pieniędzy, nie będę wam stała na przeszkodzie.

- Och, mamó! - Marianne poczuła pod powiekami łzy. - Miałyśmy wspaniałego ojca. Jestem pewna, że żadna z nas nie poślubi mężczyzny, który nie będzie mu dorównywał.

Tej nocy Marianne nie mogła zasnąć. Usiadła przy otwartym oknie i popatrzyła w usiane gwiazdami niebo. Myślała o wizycie u ciotecznej babki Berthy i o swojej przyszłości. Nie mając posagu, nie liczyła na tłum kandydatów do swojej ręki, mimo że rodzina i znajomi zgodnie uważali ją za piękność. Wiedziała, że wikary chciałby jej się oświadczyć, ale póki co nie było go stać na utrzymanie żony. Nie martwiła się tym, bo nie przyjęłaby matrymonialnej propozycji, oczywiście gdyby ją złożył.

W każdym razie ulżyło jej, że nie musi jechać do Bath. Nie bywała w towarzystwie, a ten jeden raz, kiedy ciotka zaprosiła ją na przyjęcie do dworu, pozostawił w jej pamięci złe wspomnienia i sprawił, że źle oceniała arystokrację. Dużo lepiej czuła się wśród zwykłych ludzi, takich jak jej ojciec czy dobrze znani sąsiedzi.

Usłyszała pukanie do drzwi, a po chwili do pokoju weszła Jo ubrana w nocną koszulę.

- Zobaczyłam, że u ciebie się świeci. Ja też nie mogę zasnąć. Ciągle myślę o lady Wainwright. Wiem, że jeśli zaproponuje mi wspólny wyjazd, nie zdołam odmówić choćby ze względu na Lucy. Jestem pewna, że nie spotkam nikogo, kto chciałby mnie poślubić, i wcale mi na tym nie zależy. Jednak muszę przynajmniej udawać, że się staram, by nie zaprzepaścić szansy Lucy.

- Gdyby ciotka Bertha mieszkała w swoim domu w Londynie, zaprosiłaby nas do siebie. Mnie nie zależy, bo i tak nie poślubię arystokraty, ale Lucy powinna mieć taką szansę.

Jo spojrzała czule na siostrę.

- Jesteś piękna, Marianne. Za jakiś czas Lucy dorówna ci urodą, ale ja nigdy nie będę taka jak wy. To moje przekleństwo! - Jo szarpnęła się za rude włosy opadające lokami na ramiona. - Wiem, że nie chcesz wyjść za mąż tylko

dla tytułu czy majątku. Może spotkasz miłego dżentelmena, takiego jak nasz ojciec...

- Tak byłoby najlepiej - przyznała szczerze Marianne. - Mam wątpliwości, czy uda mi się znaleźć kogoś równie wspaniałego.

- Myślę, że nie powinniśmy porównywać innych mężczyzn do papy. Wydaje mi się jednak, że byłabyś zadowolona jako żona duchownego.

- Chciałabym być kochana i sama kochać...

- Aha! Marzysz o romantycznej miłości - powiedziała z przekąsem Jo. - Nasi rodzice byli wspaniałą parą, ale obawiam się, że w przeciwieństwie do Lucy ja nie wierzę w miłość.

- Nie? A ja uważam, że jeśli ktoś ma szczęście, spotka w życiu miłość. Choć przyznaję, że wiele małżeństw zawieranych jest z zupełnie innych powodów.

- Do takiego związku chciała cię namówić lady Wainwright, prawda? Przecież jesteś ładniejsza od Annette! - rozzłościła się Jo.

- Naucz się panować nad tym, co mówisz. Jeśli powiesz coś takiego w towarzystwie, nie wyniknie z tego nic dobrego - łagodnie upomniała siostrę Marianne.

- Jeśli ciotka boi się, że przyniosę jej wstyd, to niech mnie nie zabiera - rzuciła Jo. - Wolę zostać w domu i chętnie jej to powiem. Boję się tylko, żeby nie odbiło się to na Lucy i na tobie, jeśli okaże się, że ciotka Bertha odeśle cię do domu z niczym.

- Nie jadę do ciotki Berthy po to, żeby coś od niej dostać, tylko dlatego, że się o nią troszczę. Nie przeraża mnie myśl o biedzie. Żałuję tylko, że papy nie ma z nami. Bardzo za nim tęsknię.

- Wszystkie za nim tęsknimy. Pora spać, gadanie i tak niczego nie zmieni - stwierdziła, ziewając Jo. Siostry ucałowały się na dobranoc.



Drew przyglądał się równo ustawionym skórzanym grzbietom książek zapelniających bibliotekę w Marlbeck Manor. Większość z nich nigdy nie została zdjęta z półki od czasu, gdy wuj je kupił, prawdopodobnie hurtem. Niewiele było tu pozycji wartych przeczytania.

Wyszedł do ogromnego holu, a jego kroki na marmurowej posadzce odbijały się głośnym echem. Marlbeck Manor był wspaniałą pod względem architektonicznym budowlą, pełną drogich mebli i cennych dzieł sztuki. Można tu było znaleźć wszystko, od złotych tabakierek, przez stare chińskie wazy aż do płócien dawnych mistrzów. Drew nie tak wyobrażał sobie dom. Gdyby mógł, to by sprzedał dwór albo go zburzył i postawił na jego miejscu coś, co bardziej nadawałoby się do mieszkania. Jednak był jedynie czasowym opiekunem rodowej spuścizny i gdy przyjdzie pora, przekaze ją w ręce kolejnego dziedzica.

Patrząc na swoje odbicie w wielkim lustrze, doszedł do wniosku, że być może nie chodzi o dwór. Niewykluczone, że nie akceptuje swojej nowej życiowej roli. Wolałby pozostać w armii i nie przejmować ani tytułu, ani rodzinnej posiadłości. Gdy pełnił służbę w wojsku, nie był pewny, czy dożyje następnego dnia, ale przynajmniej wiedział, kim jest i czego pragnie. Teraz zaś przyszłość jawiła mu się jako długie pasmo identycznych, nudnych i samotnych lat.

Na szczęście okazało się, że jest coś, co może zrobić, by ukoić ból, jaki nadal odczuwał po niepotrzebnej śmierci przyjaciół, którzy zginęli w zasadzce. Za wszelką ceną chciał wytropić szpiega, który sprzedał ich życie za garść złota. Od razu poczuł się lepiej, mając przed sobą cel. Gdy doprowadzi do zwycięstwa sprawiedliwości, rozejrzy się za kandydatką na żonę. Zamierzał założyć rodzinę i sprowadzić na świat syna, któremu przekaze tytuł i majątek.

Tylko gdzie znaleźć kobietę, z którą zdoła wytrzymać dłużej niż miesiąc? Przypomniwał sobie rumieniące się i chichoczące młode damy, które podsuwano mu za każdym razem, gdy pojawił się na przyjęciu czy balu. Potrzebował kogoś innego...

## *Rozdział drugi*

Marianne zerknęła na kobietę siedzącą naprzeciwko niej w wygodnym podróżnym powozie wuja Wainwrighta, który nie chciał, by siostrzenica odbyła podróż sama, i przydzielił jej do towarzystwa Sally, dwudziestopięcioletnią pomocnicę swojej gospodyni, bystrą i zaradną.

- Jeśli wszystko pójdzie gładko, spędzisz dwie noce w zajazdach. Gdyby jednak doszło do awarii powozu, niewiadomo, ile czasu musiałabyś czekać na naprawę. Bałbym się puścić cię samą - oznajmił wuj. - Wiem, że rozsądna z ciebie młoda dama, ale jesteś bardzo młoda i niewinna. Będę o wiele spokojniejszy, jeśli pojedziesz w towarzystwie Sally Jones, bo wiem, że ona o ciebie zadba.

- Skoro wuj tak uważa... Nie wiem, jak podziękować za tak wiele troski - odrzekła Marianne.

- Jesteś dobrą dziewczyną - stwierdził lord Wainwright i ucałował Marianne w policzek.

Jak na razie podróż przebiegała spokojnie, tyle że Sally spała i Marianne nie miała z kim rozmawiać. Niewykluczone, że i ona by się zdrzemnęła, ale widoki za oknem przyciągnęły jej uwagę. Myślami była już w Kornwalii i zastanawiała się, czy ciotka Bertha, której nie widziała od kilku lat, bardzo się zmieniła.

Nagle powóz zahamował, trzeszcząc i skrzypiąc tak głośno, że Sally otworzyła oczy.

- Co się stało, panienko?

- Nie wiem - odparła Marianne i wyjrzała przez okno. Zobaczyła kilku mężczyzn próbujących zepchnąć ze środka drogi zepsuty powóz. Wysiadła, żeby zasięgnąć języka.

- Musiałem się zatrzymać, panienko. Pomogę im zepchnąć powóz i niedługo ruszymy w dalszą drogę - wyjaśnił stajenny lorda Wainwrighta.

Marianne zobaczyła dwie damy, stojące obok zepsutego powozu, i ruszyła w ich stronę. Obie wyglądały na zdenerwowane i zmartwione, a młodsza miała łzy w oczach.

- Przykro mi z powodu wypadku. Może podwieźć panie do najbliższego zajazdu? - zapytała.

Starsza kobieta przyjrzała się uważnie Marianne, po czym skinęła głową.

- To bardzo miło z pani strony. Chętnie skorzystamy, prawda, Henriette? Stajenny zajmie się naprawą i pojedzie naszym śladem.

- Tak, mam - odparła dziewczyna, nie patrząc na matkę.

Utkwiła wzrok w jednym z mężczyzn zajętych spychaniem powozu.

Wysoki, o modnie podciętych włosach, stał tyłem i dyrygował stajennymi. Był bez surduta, podwinięte do łokci rękawy koszuli odsłaniały silne ramiona.

Marianne wraz z poszkodowanymi kobietami ruszyła z powrotem do powozu.

Kiedy znalazły się w środku, starsza dama powiedziała:

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem, lady Forester, a to moja córka Henriette. Udajemy się do przyjaciół w Devon.

- A ja nazywam się Marianne Horne i jadę dotrzymać towarzystwa mojej ciotecznej babce, która ostatnio niedomaga.

- Każda choroba pogarsza samopoczucie - stwierdziła sentencjonalnie lady Forester.

- To prawda... - Marianne usłyszała krzyk i wyjrzała przez okno. - Pani powóz przestał tarasować drogę. Wkrótce powinniśmy ruszyć.

W tym momencie kierujący podnoszeniem powozu mężczyzna odwrócił się i Marianne ujrzała twarz o regularnych rysach i ciemnoniebieskie oczy.

Musiła przyznać, że jest przystojny. Odniosła wrażenie, że nieznajomy patrzy wprost na nią, i poczuła się zarazem zmieszana i podekscytowana. Zarumieniła się i pospiesznie odwróciła wzrok. Kiedy ośmieliła się ponownie zerknąć w okno, mężczyzna wsiał na konia.

- Jak to miło, że ten dżentelmen nam pomógł, prawda, mamó? - spytała Henriette.

- Oczywiście, choć nie uważam, żeby było w tym coś wyjątkowego. Każdy porządny człowiek powinien tak postąpić - odparła obojętnym tonem lady Forester.

Powóz ruszył i po chwili zrównał się z siedzącym na koniu mężczyzną, który obrzucił Marianne wyzywającym spojrzeniem i nie odwrócił wzroku, póki powóz go nie minął. Poczuli, że nagle brakuje jej powietrza, a serce gwałtownie przyspiesza rytm. Uznała, że mężczyzna nie jest dżentelmenem, skoro tak śmiało na nią patrzył. Zerknęła na posmutniałą Henriette i zrozumiała, że młoda panienska zadurzyła się w nieznanym. Była pewnie niewiele starsza od Lucy.

- Panno Forester? Czy pani dużo czyta? - zapytała Marianne, żeby zająć dziewczynę rozmową.

- Uwielbiam poezję romantyczną - odparła Henriette i jej twarz rozjaśnił uśmiech.

Pani Forester potwierdziła i od tej pory rozmowa dotyczyła poetów, których panie zgodnie podziwiała. Przy tak wdzięcznym temacie podróż przestała się dłużyć i zanim się zorientowały, pora było się rozstać, bo powóz dojechał do najbliższego zajazdu.

- To ci dopiero przygoda - powiedziała Sally, kiedy ruszyły w dalszą drogę. - Szkoda, że lady Forester nie jechała do Kornwalii. Miałyby panienska odpowiednie towarzystwo.

- Może. Obie okazały się bardzo miłe, ale obawiam się, że więcej ich nie spotkamy.

Marianne oparła głowę o miękkie poduszki powozu i z wdzięcznością pomyślała o wuju, który zadbał o tak komfortową podróż. Przypuszczała, że droga zajmie im jeszcze co najmniej dwa dni. Wolałyby jechać konno, tak jak nieznanymi o niebieskich oczach. Był to dużo szybszy sposób podróżowania, a

poza tym zazdrościła mu poczucia wolności, jakie dawał galop na końskim grzbiecie.

Drew udało się znaleźć doskonale lokum. Dom leżał na ziemiach należących do lady Edgeworthy. Drew wysłał pośrednika, który ustalił warunki najmu z człowiekiem zarządzającym posiadłością starej damy. Przyjechał poprzedniego dnia i spotkał się z administratorem, który przekazał mu klucze.

- To solidny dom, choć od lat nikt tam niczego nie zmieniał. Poprzedni mieszkaniec spadł ze ścieżki prowadzącej krawędzią klifu i się zabił. Lady Edgeworthy zamierzała zamknąć dom na cztery spusty.

- Miło z jej strony, że zechciała mi go wynająć. Mówiłem już panu, że przyjechałem tu ze względów zdrowotnych. - Drew zakaszłał, zakrywając usta dłonią. - Morski klimat i spacerowanie pomogą mi odzyskać siły, a poza tym lubię obserwować mewy krążące nad klifem.

- Dom został posprzątny, panie Beck. Mogę też zatrudnić kobietę, która będzie panu gotować i dbać o porządek.

- Przywiozłem ze sobą służącego, który zajmie się tymi sprawami.

Drew przysunął fotel do okna. Było już dobrze po północy, lecz nic interesującego się nie wydarzyło. Uśmiechnął się, gdy do pokoju wszedł służący, niosąc na tacy szklanekę i karafkę brandy.

- Będzie mnie pan potrzebował? - zapytał.

- Dziękuję, Robbie. Na twoim miejscu poszedłbym spać. W ciągu najbliższych tygodni czeka cię dużo pracy i niewykluczone, że będziesz mi potrzebny także którejs nocy.

- Ma pan rację, kapitanie.

- Musimy wyglądać tak zwyczajnie jak to tylko możliwe. Wracam do zdrowia po ciężkiej chorobie, a ty jesteś moim sługą. I pamiętaj, masz się do mnie zwracać „panie Beck” - przypomniał Drew.

Robbie był jego wieloletnim zaufanym ordynansem. Towarzyszył mu w Hiszpanii, a potem wrócił razem z nim do kraju i nadal się o niego troszczył.

- Może powinien pan nazywać mnie „Harris”, Robbie może się niektórym wydać nazbyt poufałe. Jako markiz Marlbeck nie musi się pan tym przejmować, ale pan Beck powinien zachować więcej ostrożności.

- Chyba masz słuszość, ale gdy jesteśmy sami, to oczywiście bez znaczenia.

- Tak jest, kapitanie.

Drew zdawał sobie sprawę, że misja, którą zdecydował się podjąć, jest bardzo ryzykowna, i dlatego wziął ze sobą zaufanego człowieka. Robbie potrafi trzymać język za zębami i wykona każde polecenie. Agent zajmujący się wynajmem domu zadbał, by zaopatrzone go w zapasy żywności, a kucharz z Marlbeck Manor zaopatrzył ich w ogromny kosz z prowiantem. Drew miał świadomość, że kiedy zjedzą smakołyki kucharza ze dworu, będą skazani na proste potrawy, bo gotowanie nie było najmocniejszą stroną Robbiego.

Miał nadzieję, że wybierając dom leżący na uboczu, uchroni się od sąsiedzkich odwiedzin. Dobre maniery nakazywały jednak złożenie wizyty lady Edgeworthy choćby tylko po to, żeby jej się przedstawić.

Nagle przypomniał sobie zepsuty powóz na drodze i młodą kobietę, która zabrała jego pasażerów. W jej twarzy było coś, co zwróciło jego uwagę, choć nie umiał uściślić, co to takiego. Spostrzegł w jej oczach gniewny błysk i zrozumiał, że zbyt otwarcie jej się przyglądał. Pomyślał, że jej temperament musi dorównywać urodzie. Nie wątpił, że jest damą, ale na pierwszy rzut oka stanowiła przeciwieństwo potulnej istoty, jaką widział w roli swojej żony. Zresztą nie chciał się żenić z niewinną panią, bo złamałby jej serce. Skłaniał się raczej ku wdowie, która w zamian za wygodne życie będzie tolerować jego wybryki. Poza tym najprawdopodobniej nigdy już nie zobaczy pięknej nieznajomej.

- Marianne, moja droga. Tak się cieszę, że przyjechałaś. - Ciotka Bertha ucałowała policzek chrześnicy. - Bałam się, że podróż może cię zmęczyć, ale

widzę, że twój wuj zachował się wspaniałomyślnie i wysłał cię swoim powozem.

- Wuj był dla mnie bardzo dobry. Udało mi się odzyskać pieniądze za bilet, który ciocia mi przysłała. Mam je ze sobą i później je cioci oddam.

- Nawet o tym nie myśl. Zatrzymaj je. I tak zamierzałam podarować ci pewną kwotę. Potraktuj te pieniądze jako część prezentu ode mnie. Nie możesz przecież chodzić bez grosza przy duszy.

- Mam dziesięć funtów swoich pieniędzy. Do tego pięćdziesiąt szylingów, które dostałam za bilet. Nigdy w życiu nie miałam tyle pieniędzy, a przecież dałam jeszcze Sally gwineę za to, że troszczyła się o mnie podczas podróży.

Ciotka Bertha była drobną, szczupłą kobietą o siwych włosach i bystrym spojrzeniu. Popatrzyła na Marianne z widoczną przyjemnością.

- Cieszę się, moja droga. Mam nadzieję, że zostaniesz ze mną dość długo, ale kiedyś zechcesz założyć rodzinę. Założyłam ci fundusz powierniczy, który będzie twoim posagiem. Może pomyślę też o twojej matce, ale to w przyszłości. Sądzisz, że będziesz zadowolona z pobytu? - Starsza pani uśmiechnęła się do Marianne.

- Oczywiście. To przepiękna okolica. Już cieszę się na myśl o spacerach brzegiem klifu. Może zejść też na plażę.

- Większość plaż jest bezpieczna, ale zatoczka może stać się pułapką podczas przyływu. Poziom wody szybko się podnosi i jeśli nie zna się drogi, trudno uciec.

- Będę o tym pamiętać. Przepraszam, nie zapytałam, jak ciocia się czuje.

- Przeziębłam się i nie mogę dojść do siebie, lecz nie jestem przykuta do łóżka. Od czasu do czasu nawet wydaję przyjęcia, a bywa, że i sama wybieram się w odwiedziny. Ostatnio jednak czułam się tak słabo, że większość przyjaciół składała mi wizyty.

- Rozumiem, że nie bywa ciocia w londyńskim domu?

- Wynajęłam go dalekiemu kuzynowi zmarłego męża. - Lady Edgeworthy zmarszczyła brwi. - Mój jedyny syn zmarł, kiedy był malutki. Nie mam wnuków, dla których mogłabym trzymać ten dom. Sama go nie potrzebuję, a Joshua chciał go wynająć. Powiedziałam mu, że może go używać tak długo, jak zechce, choć z tego, co mówi, wynika, że w przyszłości zamierza osiedlić się na wsi.

- Nie pamiętam, żebym go kiedyś spotkała.

- Nazywa się Joshua Hambleton. Prawdę mówiąc, nie znam go. Pierwszy raz odwiedził mnie niecały rok temu i od tej pory przyjeżdża dość regularnie na kilka dni. To spokojny i skromny człowiek. Na pewno będziesz miała okazję go poznać.

- Z góry cieszę się na to spotkanie - odparła Marianne.

Do salonu weszła Jane Trevor, wysoka, szczupła kobieta w średnim wieku. Dama do towarzystwa lady Edgeworthy, w skromnej sukni i z mocno ściągniętymi na karku włosami wydawała się surowa i nieatrakcyjna. Podeszła bliżej, aby przywitać się z Marianne.

- Jak się pani miewa, panno Trevor?

- Dziękuję, dobrze. Cieszę się, że pani zostanie z lady Edgeworthy. Czasem wydaje mi się, że doskwiera jej brak towarzystwa.

- Jesteś dla siebie niesprawiedliwa, Jane - orzekła lady Edgeworthy. - Lubię twoje towarzystwo, ale od dawna chciałam zobaczyć moją cioteczną wnuczkę. Ile miałaś lat, kiedy cię poprzednio widziałam? Piętnaście?

- Dokładnie tyle, co Lucy teraz - odparła Marianne. - Tuż przed moim wyjazdem Jo uszyła jej niebieski aksamitny zakiet. Do tego obrębiłyśmy jej najlepszy czepek niebieską wstążką i ozdobiłyśmy go jedwabnymi niezapominajkami. Ślicznie w tym wyglądała.

- To urocze. Musi być bardzo miło mieć siostry, z którymi dzieli się wspólne zainteresowania - zauważyła pana Trevor. - Mój brat zaciągnął się na statek i uciekł na morze.



- Rodzice marzyli o synu, ale los obdarzył ich trzema córkami. Jo ubolewa nad tym, że jako kobieta musi się podporządkować obowiązującym zasadom. Jest bardzo inteligentna i gdyby była chłopcem, zostałaby pewnie prawnikiem albo lekarzem.

- Skoro mowa o lekarzach, przypomniało mi się, że muszę poprosić doktora Thompsona o następną porcję miętowej nalewki. Ten specjalny zdecydowanie pomaga mi na trawienie.

- Myślałam, że ciocia nie potrzebuje już doktora? - zdziwiła się Marianne.

- Doktor Thompson odwiedza mnie co piątek. Znamy się od lat. To bardzo miły człowiek, prawda, Jane?

- Tak przypuszczam. - Panna Trevor spłonęła rumieńcem. - Wiosną, kiedy pani chorowała, bardzo się o panią troszczył i wydaje mi się, że jego lekarstwa zdecydowanie pani pomogły.

- Tak, chyba tak. - Lady Edgeworthy westchnęła. - Wciąż nie jestem w pełni formy, ale na pewno wrócę do zdrowia teraz, gdy będę miała cię przy sobie, Marianne. Jane - starsza pani zwróciła się do panny Trevor - zaprowadź moją chrześcicę na górę. Trzeba się przebrać do obiadu. Dziś wieczorem jemy same, ale to nie powód, by się zaniedbać, prawda?

Marianne przyznała ciotce rację i wstała z krzesła. Kiedy razem z Jane wyszły z salonu, zapytała:

- Czy lady Edgeworthy była bardzo chora?

- Mocno się przeziębila. Teraz czuje się lepiej, ale nadal nie odzyskała dobrego samopoczucia. Nie wiem dlaczego. Ostatnio dużo wspomina. Może z tego powodu czuje się nieszczęśliwa.

- Nie wychodzi między ludzi?

- Bardzo rzadko. Od ubiegłego Bożego Narodzenia nie wybrała się dalej niż na spacer do ogrodu. Od czasu do czasu wpadają tu z wizytą przyjaciele i sąsiedzi, a podczas ostatniego pobytu pana Hambletona zaprosiła na kolację kilka osób. To było dwa miesiące temu.

- Nic dziwnego, że jest przygnębiona. Musimy zapewnić jej rozrywkę, panno Trevor.

- Mam na imię Jane, może pani tak do mnie się zwracać. Nie mam nic przeciwko temu.

- Zgadzam się, ale pod warunkiem, że i pani będzie mówić do mnie po imieniu.

- Miło będzie mieć takie młode towarzystwo. - Jane uśmiechnęła się zadowolona.

- Musisz mi powiedzieć, gdzie najlepiej wybrać się na spacer. Ciotka ostrzegała, że plaża nad zatoką bywa niebezpieczna z powodu przyływu.

- Na twoim miejscu w ogóle trzymałabym się z daleka od zatoki. - W oczach Jane błysnął niepokój. - Po co ryzykować, skoro w pobliżu są plaże, gdzie nic nie będzie ci zagrażało. Jeśli chcesz, rano pokażę ci, jak tam się dostać. Poza tym możesz spacerować po ogrodzie. Jest tu piękna aleja wysadzana rododendronami. A jeśli lubisz patrzeć na morze, wybierz się w pogodny dzień na klif, z którego roztaczają się wspaniałe widoki.

- Może przejdę się po klifie. Na plaży nasypie mi się piachu do butów.

Jane odprowadziła Marianne pod drzwi przeznaczonego dla niej pokoju i zostawiła ją samą, by mogła się przygotować do obiadu. Marianne rozejrzała się po dużym pomieszczeniu utrzymanym w błękitno-zielonej tonacji. Łóżko okrywała pikowana zielona kapa z jedwabiu, z którego uszyto też zasłony zdobiące okna. Po obu stronach szerokiego łóżka stały nocne szafki. Sofa i taboret były pokryte niebieską tkaniną. Na prawo od okna umieszczono gotowalnię z dużym owalnym lustrem, a po jego lewej stronie znajdowało się małe biurczko.

Marianne zauważyła, że jej bagaż został rozpakowany. Zerknęła na gotowalnię i dostrzegła tam swoje przybory toaletowe oraz srebrne bibeloty i chińskie wazy wypełnione suchymi płatkami kwiatów, co dodawało pokojowi elegancji i sprawiało, że wewnątrz stawało się bardziej przytulne.

Podeszła do szafy i po namyśle wybrała jedną ze swoich starszych sukien, chcąc zachować nowe na bardziej uroczyste okazje. Gdy zaczęła się przebierać, rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła jedna z pokojówek lady Edgeworthy, pytając, czy nie przyda się jej pomoc.

- Ta suknia zapina się z przodu, więc dam sobie radę.

- Może uczesać pani włosy?

- Dziękuję. Upnij je - poprosiła Marianne i usiadła przed lustrem.

Kiedy fryzura była gotowa, podziękowała z uśmiechem pokojówce i zerknęła na nieduży srebrny zegarek, który nosiła przypięty do sukni jak broszkę. Dostała go od ojca na siedemnaste urodziny i traktowała jak największy skarb. Było dziesięć minut do szóstej, wyjrzała więc przez okno.

Zobaczyła ogród, a w oddali klif i odcinającą się na tle jasnego nieba ciemną sylwetkę samotnego domu. Pomyślała, że zbudował go ktoś, kto chciał być blisko morza. Może kapitan statku? Wyobraziła sobie żonę kapitana, stojącą w oknie i wypatrującą godzinami jego statku, i roześmiała się rozbawiona własnymi myślami. Dużo bardziej prawdopodobne było, że w domu mieszkał strażnik. Było powszechnie wiadomo, że u wybrzeży Kornwalii kręcą się przemytnicy.

Mam zbyt bujną wyobraźnię, uznała Marianne. Rozległ się gong. Kiedy weszła do salonu, ciotka Bertha i Jane już tam były, a służba szykowała się do podania posiłku w małej jadalni.

Następnego dnia Marianne obudziła się wcześnie rano i ruszyła na zwiedzanie terenów otaczających rezydencję. Było ciepło i bezwietrznie. Spacerując wzdłuż klifu, obserwowała spokojną powierzchnię morza. Przystanąła, widząc siedzące na skałach mewy. Nagle spostrzegła ruch na znajdującej się poniżej klifu plaży. Pojawił się jakiś mężczyzna i ruszył w stronę dobijającej do brzegu niewielkiej łodzi. Rzuciło się jej w oczy jego nakrycie głowy: ściśle przylegało do czaszki i opadało na plecy jak zawiązana chustka, a do tego było czerwone. Przypomniała sobie, że podobne nakrycia głowy nosili

francuscy rewolucjoniści. Widziała je na rysunkach, które pokazał papa, kiedy czytał artykuł o prawach człowieka i o Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Mężczyzna wszedł do łodzi, która szybko odpłynęła od brzegu. Marianne dostrzegła duży statek żaglowy, który najwyraźniej czekał, żeby zabrać na pokład człowieka z łodzi. Instynkt podpowiadał jej, że to francuski statek.

Co robił tu o takiej porze? To prawda, że było jeszcze wcześniej, ale z drugiej strony dostatecznie jasno, by celnicy mogli go wypatrzeć. Dlaczego ludzie ze statku ryzykowali? Czemu nie przyплыnęli pod ochroną nocy?

Zwróciła głowę w prawo i przekonała się, że nie jest jedyną osobą przyglądającą się statkowi. Obok domu, który widziała ze swojego okna, stał mężczyzna i obserwował morze przez lunetę. W chwili gdy Marianne go dostrzegła, spojrział w jej kierunku. Czekala, co zrobi. Nie podszedł bliżej ani się nie odezwał. Złożył lunetę i skierował się w stronę klifu, najwyraźniej zamierzając zejść na plażę. Przypomniała sobie ostrzeżenie ciotki.

- Proszę uważać. Skały klifu są kruche, a zatoka może się zamienić w pułapkę podczas przyływu! - zawołała Marianne.

Gestem dłoni mężczyzna dał znak, że nie życzy sobie jej towarzystwa. Uznała, że to irytujące, bo przecież nie zamierzała mu się narzucać. Chciała go tylko ostrzec. Zatrzymała się w miejscu, gdzie prowadząca w dół ścieżka wydawała się w miarę bezpieczna, i spojrzała na mężczyznę, który dotarł na plażę. Z góry mogła dostrzec tylko czubek jego głowy i wąską wstążkę plaży.

Nagle mężczyzna z lunetą znikł jej z oczu. Zaskoczona doszła do wniosku, że tam na dole musi być grot. Prawdopodobnie Francuz wyszedł z tej groty, a mężczyzna z lunetą do niej wszedł.

Marianne ruszyła z powrotem do domu. Najwyraźniej coś się działo u wybrzeży zatoki. Jeżeli przemytnicy zostawiali tam towar, to powinna zawiadomić celników. Czy ciotka na pewno o niczym nie wiedziała? Marianne słyszała, że ludzie przemykali oko na przemyt, za co w zamian zostawiano im

brandy. Nie mieściło się jej w głowie, że lady Edgeworthy, której zmarły mąż był sędzią pokoju, mogła robić coś podobnego, ale nie miała pewności.

Postanowiła dowiedzieć się, kto mieszka w stojącym na uboczu domu. Jeśli okaże się, że celnik, nie będzie się wtrącać w jego sprawy. Zdecydowała, że na razie nie opowie ciotce o tym, co widziała, i w czasie odpływu poszuka grotty.

Była już niemal w domu, kiedy nagle uświadomiła sobie, że mężczyzna z lunetą mógł być tym samym, którego widziała na drodze przy zepsutym powozie lady Forester. Wyobraźnia płata mi figle, uznała, uśmiechając się do siebie i nie pojmując, dlaczego tamten drobny incydent tak mocno utkwił jej w pamięci.

- Przyjemnie było na spacerze? - zapytała lady Edgeworthy. - Kiedy byłam młodsza, często spacerowałam, ale zaniechałam przechadzek od czasu, gdy mój kuzyn zginął... Cedric spadł z klifu. Był uroczym młodym człowiekiem i wydawało się, że zna okolicę lepiej niż ktokolwiek inny. Mieszkał w stojącym nad brzegiem domu. Zamknęłam go po śmierci Cedrica. Stał pusty ponad rok, ale ostatnio wynajęłam go dżentelmenowi, któremu morskie powietrze ma pomóc wrócić do zdrowia po przebytej chorobie. Pan Beck wczoraj złożył mi wizytę. Gdybyś wcześniej przyjechała, mogłabyś go spotkać.

- Właśnie chciałam ciocię zapytać, kto tam mieszka, bo dzisiaj podczas spaceru widziałam mężczyznę obserwującego morze przez lunetę.

- To na pewno pan Beck. Wspomniał, że interesuje się mewami i że bardzo odpowiada mu tutejszy spokój i cisza. Zaprosiłam go na kolację, ale powiedział, że jeszcze nie czuje się całkiem dobrze i że chętnie skorzysta z zaproszenia w późniejszym terminie. Myślę, że musiał być naprawdę ciężko chory.

Marianne zadała sobie w duchu pytanie, czy mężczyzna, który tak sprawnie zbiegł stromą ścieżką z klifu, mógł być mieszkańcem stojącego na uboczu domu. Cokolwiek by o nim mówić, nie wyglądał na chorego. Jeśli.

tym samym człowiekiem, który dowodził spychaniem zepsutego powozu z drogi, nie brakowało mu zdrowia i siły.

- Muszę ci coś powiedzieć, ale zachowaj to dla siebie, bo nie chcę denerwować Jane - oznajmiła ciotka. - Myślę, że ktoś próbuje mnie zabić...

- Słucham?! - Marianne nie wierzyła własnym uszom.

- Jednego zamachu jestem pewna, nie wykluczam, że było ich więcej i że zabójca spróbuje ponownie. Wiem, że musi cię to szokować i niechętnie obarczam cię tą wiedzą, ale od kilku tygodni żyję w ciągłym strachu - wyznała starsza pani.

- Na jakiej podstawie ciocia tak uważa?

- To się zdarzyło, kiedy byłam chora. Doktor zostawił mi coś na sen, ale lekarstwo nie zadziało tak jak powinno i zamiast głęboko zasnąć, drzemałam. Słyszałam, że ktoś chodził po pokoju. Usłyszałam brzęknięcie szkła, obudziłam się i krzyknęłam. Ten ktoś uciekł, zanim zapaliłam świecę.

- Czy ciocia się zorientowała, kim była osoba, która weszła wtedy do pokoju?

- Było za ciemno. Zobaczyłam tylko zarys sylwetki. Mógł to być mężczyzna, ale nie jestem pewna. Zaczęłam na noc zamykać pokój na klucz. Lekarstwa też trzymam pod kluczem - wyjaśniła lady Edgworthy i dodała: - Dwa tygodnie temu ktoś próbował się włamać do domu. Jedna ze służących była na dole. Nie mogła spać, bo ząb ją bolał, i to ona wszczęła alarm. Powiedziała, że kiedy zaczęła krzyczeć, zobaczyła uciekającego mężczyznę w ciemnym ubraniu.

- Myśli ciocia, że to mógł być ten sam człowiek... że chciał się włamać, by podjąć ponowną próbę zamachu na życie cioci?

Marianne była wstrząśnięta i przestraszona. Jeśli ciotka się nie myli, to sprawa jest bardzo poważna.

- Kto był w domu tamtej nocy?

- Tylko służba, panna Rudge, moja osobista pokojówka, którą znam lata, ja i oczywiście Jane.

- Jest ciocia pewna, że to nie była panna Rudge albo Jane?

- Żadna z nich. Nie wierzę też, by ktoś ze służby chciał mnie skrzywdzić.

- Jeśli ktoś usiłował dostać się do domu, to znaczy, że tamtej nocy u cioci w pokoju ktoś był. Nie mogę sobie wyobrazić, kto chciałby cioci zrobić krzywdę.

- Jestem bogata. Oprócz tej posiadłości mam dom w Londynie i pieniądze zainwestowane w różne przedsięwzięcia. W domu jest biżuteria. Po śmierci Cedrica zmieniłam testament. Część pieniędzy zostawiłam twojej mamie, a resztę... - Starsza pani westchnęła. - Nie mogę uwierzyć, że Joshua chciałby mnie zabić. Przecież pozwoliłam mu korzystać z londyńskiego domu. Poza tym wydaje się dobrym i uroczym młodzieńcem.

- O ile dobrze zrozumiałam, wtedy, gdy ktoś dolał laudanum do nalewki na trawienie, jego tu nie było.

- Mówię o tym tylko dlatego, że on jest głównym spadkobiercą. Poza tym przeznaczyłam niewielkie kwoty dla doktora Thomsona i Jane.

- Proszę mi wybaczyć to pytanie, ale co stanie się z posiadłością i domem po cioci śmierci?

- Pewnie zostanie sprzedana. Czemu pytasz?

- Dziś rano zaobserwowałam w naszej zatoce coś podejrzanego i zastanawiam się, czy przypadkiem nie korzystają z niej przemytnicy. Widziałam statek.

- Nie rozumiem. - Lady Edgeworthy zmarszczyła brwi. - Czy chodzi o to, że chcieliby pozbyć się świadków swojego procederu?

- Właśnie.

- Możliwe. Od razu lżej mi na sercu. Byłabym zdruzgotana, gdybym odkryła śmiertelnego wroga wśród bliskich. Cieszę cię, że ci wszystko wyjawiałam, chociaż mam wyrzuty sumienia, że obarczam cię takim ciężarem.

- Nic nie szkodzi. Będę miała oczy i uszy szeroko otwarte. Jeśli zauważę coś podejrzanego, od razu cioci o tym powiem i razem się zastanowimy, jak zadbać o cioci bezpieczeństwo.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Marianne. - Lady Edgeworthy popatrzyła z czułością na siostrzenicę. - Przyznam ci się, że podejrzewałam Joshuę albo Jane i było mi z tym bardzo ciężko. To nie może być żadne z nich.

- A może któraś ze służących? Ta, co ją bolały zęby... Może przyszła do pokoju cioci, żeby pożyczyć trochę laudanum?

- Bessie nie kradnie - odparła z przekonaniem ciotka. - Jestem pewna, że gdyby potrzebowała lekarstwa, to by mnie poprosiła. Powiedziałabym jej, że Jensen trzyma butelkę laudanum na wypadek, gdyby ktoś ze służby potrzebował tego środka.

- Może nie chciała budzić Jensena? Butelka z laudanum była do połowy pusta i ciocia twierdzi, że lek przelano do miętowej nalewki na trawienie. Skąd ciocia o tym wie?

- Nie wiem. Przypuszczam i na wszelki wypadek wylałam nalewkę. Może rzeczywiście to ktoś ze służby... Wcześniej o tym nie pomyślałam.

- Musimy zachować czujność, ale ciocia nie powinna się denerwować. Niewykluczone, że jednak to była służąca szukająca laudanum - powiedziała Marianne, aby uspokoić lady Edgeworthy.

- Nie zamierzam wpadać w panikę. Odkąd jesteś, czuję się dużo pewniej.

- To dobrze. Cieszę, że mogę być przy cioci - zapewniła Marianne.

Idąc na górę, żeby się przebrać, rozważała całą sytuację. Nie wierzyła w to, że ktoś włamał się do domu tylko po to, aby ukraść laudanum. Postanowiła, że za wszelką cenę musi rozwikłać zagadkę, choćby tylko po to, żeby ciotka wreszcie zaznała spokoju.

Następne dwa dni upłynęły bez żadnych incydentów. Marianne powoli przyzwyczajała się do życia w nowym miejscu. Rano spacerowała albo wykonywała drobne prace. Przynosiła z ogrodu kwiaty i układała je w



wazonach. Zaczynały dojrzewać niektóre owoce i pewnego ranka pomogła zbierać czerwone porzeczki na galaretkę i maliny na soki i dżemy.

Popołudniami siadała w salonie w towarzystwie ciotki oraz Jane. Zajmowały się robótkami, grały w karty, czasami Jane czytała im na głos.

Marianne obserwowała damę do towarzystwa, wyczulona na oznaki żalu w stosunku do lady Edgeworthy, chlebodawczyni, ale na razie widziała tylko szczerą sympatię i szacunek. Jane zaczęła zdradzać oznaki pewnego podniecenia, gdy złożył im wizytę doktor Thompson. Podając mu herbatę i ciasto, rumieniła się i starannie unikała jego wzroku, a potem usiadła, wybierając krzesło obok lady Edgeworthy.

- O tej porze roku nie ma aż tylu przeziębień co zimą, prawda? - zagadnęła lady Edgeworthy.

- Istotnie, ale w Wheal Mary zdarzył się niedawno wypadek i musiałem opatrywać pięciu rannych górników. Niestety, dwaj nie zdołali się wydostać i zginęli pod ziemią.

- To straszne - powiedziała z westchnieniem lady Edgeworthy. - Mam wrażenie, że ta kopalnia jest wyjątkowo pechowa.

- Rzeczywiście. Rozmawiałem z sir Henrym Milburnem na temat bezpieczeństwa górników, ale obawiam się, że nie kiwnie palcem w tej sprawie dopóty, dopóki prawo go do tego nie zmusi.

- W tej części kraju nie ma wielu miejsc pracy. Ludzie muszą ryzykować w kopalniach lub na morzu. Tylko nielicznych od dziecka przyucza się do handlu.

- Taka nauka kosztuje, a tutejsi ludzie nie mają pieniędzy. Każdy zarobiony grosz idzie na jedzenie i ubranie. Rzadko kogo stać na opłacanie nauki dziecka przez siedem lat. - Doktor Thompson zwrócił się do Marianne:

- Pani pochodzi z innej części kraju i nie orientuje się, jak wygląda sytuacja. Nasza ziemia nie jest tak płodna jak na wschodzie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że życie tu jest takie ciężkie. - Marianne spojrzała na doktora z zainteresowaniem.

- Mama wspomagała każdego biedaka, który przyszedł na plebanię, ale większość z tych ludzi pracowała na ziemi, która ich karmiła i dawała dach nad głową.

- Co tydzień widzę ludzi niedożywionych i cierpiących na szkorbut. Mógłbym ich wyleczyć, ale musieliby mieć przyzwoity dom i jedzenie. A na to ich zarobki nie starczą.

- Taka sytuacja musi pana bardzo martwić.

- To prawda - przyznał. - Proszę mi wybaczyć, to nie są tematy odpowiednie dla dam.

- Nie ma powodu przeproszać. Mama nieustannie wspomagała biedaków.

- Jesteś dziś bardzo cicha, Jane - zauważyła lady Edgeworthy, zerkając na pannę Trevor, która od przyjścia doktora nie odezwała się ani słowem. - Dobrze się czujesz? Jeśli coś ci dolega, porozmawiaj z doktorem, zanim wyjdzie. W małym saloniku nikt nie będzie wam przeszkadzał.

Doktora podejmowano w dużym salonie. Marianne ubrała się w nową niebieską suknię, którą tuż przed wyjazdem z domu uszyła z pomocą Jo. Suknia była skromna, jedynie ozdobiona koronką pod szyją, a mimo to Marianne wyglądała w niej bardzo ładnie. Zadbala też o fryzurę.

- Nic mi nie dolega, proszę pani - odparła wyraźnie skrepowana Jane. - Nie ma potrzeby, żeby doktor tracił na mnie czas.

- Zapewniam, że nigdy nie uznałbym tego za stratę czasu. - Doktor Thompson zerknął na zegarek i wstał z krzesła. - Muszę panie opuścić. Mam pacjenta. Proszę mnie odprowadzić do drzwi, panno Trevor. Jeśli coś pani dolega, może zdołam pomóc.

- Odprowadzę pana, ale naprawdę nic mi nie jest - zapewniła Jane i podniosła się ze swego miejsca.

Kiedy oboje wyszli z salonu, lady Edgeworthy zerknęła na Marianne.

- Nie wydaje ci się, że Jane była dziwnie cicha? Nigdy wcześniej obecność doktora tak na nią nie wpływała.

- Może zmęczyły ją upały. Ostatnio jest naprawdę gorąco.

- Może. A jak ci się podoba doktor Thompson?

- Sympatyczny i przystojny mężczyzna.

- Jest bardzo oddany pacjentom i leczy ich najlepiej, jak umie, bez względu na to, czy mogą mu zapłacić, czy nie.

- Tak właśnie przypuszczałam. Jak może sobie na to pozwolić? Czy ma własny majątek?

- O ile wiem, jest młodszym synem i jego dochody są raczej skromne. Natomiast ma bogatych i wdzięcznych pacjentów, którzy sownie go wynagradzają.

- Musi należeć do ludzi, którym nie zależy na pieniądzach.

- Jest samotny. Kiedyś zapytałam go, czemu się nie żeni, i wtedy powiedział mi, że nie stać go na żonę. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie przeżył zawodu miłosnego...

Marianne nie zdążyła odpowiedzieć, bo wróciła Jane, która, sądząc z krótkiej nieobecności, nie zasięgnęła porady doktora.

- Lepiej ci już? - zapytała Marianne.

- Och... - Jane się zarumieniła. - To tylko ból głowy. Zaraz przejdzie. Prawdę mówiąc, już mi lepiej.

- Idź do siebie i poleż do obiadu - poleciła lady Edgworthy. - Jeśli po obiedzie nadal będzie cię bolała głowa, panna Rudge zaparzy ci ziółek.

Jane zastosowała się do polecenia chlebobawczyni.

- Dlaczego nie pozwoliła, żeby doktor jej pomógł? - zapytała starsza pani.

- Nie wiem, czemu tak postąpiła - odparła zamyślona Marianne. - Rano pójdę do wioski. Napisałam list do mamy i chcę go przesłać pocztowym dyliżansem.

- List może zanieść ktoś ze służby.

- Jeżeli nie będę cioci potrzebna, to chętnie sama to zrobię.

- Nie oczekuję, że będziesz przy mnie cały czas, moja droga. Idź, jeśli masz ochotę, ale weź ze sobą służącą. Wątpię, żeby coś mogło ci się stać, jednak w soboty w wiosce odbywa się targ i nigdy nie wiadomo, kto może się zjawić.

- Dziękuję.

Marianne ucałowała ciotkę i poszła na górę. Musiała się przebrać i napisać kilka słów do sióstr. Wiedziała, że Jo znajdzie sobie zajęcie, ale Lucy będzie za nią tęsknić, bo dotąd jeszcze się nie rozstawały.

Zastanawiała się nad zachowaniem Jane. Czyżby była niezadowolona, że doktor rozmawiał ze mną? - zadała sobie w duchu pytanie Marianne. Nie, chyba nie. Dlaczego taki drobiazg miałby jej zepsuć humor? Chyba że podkochuje się w doktorze. Uznała, że to niemożliwe, bo Jane była kilka lat starsza od niego, jednak przypomniała sobie wyraz jej oczu, kiedy wróciła po odprowadzeniu doktora. Była zdecydowanie bardziej zadowolona...

Jeśli jest zakochana, to dlaczego nie wspomniała o tym lady Edgeworthy? Może bała się, że chlebodawczyni zrezygnuje z jej usług? Z drugiej strony, ciotka wspominała, że doktor twierdził, iż nie stać go na żonę. Załóżmy, że dzięki kwotom, które ciotka każdemu z nich zamierza zostawić, mogliby się pobrać. Czy byliby zdolni uknuć spisek, żeby pozbyć się starszej pani i po jej śmierci otrzymać pieniądze? Przebiegł jej po plecach lodowaty dreszcz. Nie mogła sobie wyobrazić, by Jane była zdolna do takiego postępuku, ale czy zakochana kobieta nie robi wszystkiego, aby zdobyć ukochanego?

Lady Edgeworthy była miła dla Jane i dobrze ją traktowała. Zamierzała jej nawet zostawić pieniądze. Czy ta kwota wystarczy Jane na życie, czy też będzie musiała szukać kolejnej posady? Zresztą jeżeli jest zakochana...

Marianne nie zapomniała o panu Hambletonie. Nie była pewna, czy nie powinna również brać pod uwagę najemcy domu stojącego nad brzegiem morza. Spacerując w ogrodzie, kilkakrotnie widziała go z daleka, ale jeszcze ze sobą nie rozmawiali. Czasem, gdy nagle odwróciła się za siebie, widziała, że on stoi i

patrzy na nią z oddali. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy jej nie śledzi. Jednak w jakim celu miałyby to robić? Zresztą wtedy, gdy ktoś włamywał się do domu ciotki, jego tu nie było.

## *Rozdział trzeci*

- Tamtego ranka miałem szansę i ją straciłem. Zanim zareagowałem, ten człowiek siedział w łodzi - rzekł Drew, zły, ponieważ francuski statek więcej się nie pokazał.

- Nie mamy pewności, że to był szpieg - zauważył jego ordynans. - Może to przemytnik. Co prawda, w jaskini nic nie znaleźliśmy, ale sam pan mówił, że były tam ślady składowania beczek.

- Woda przyływu zalewa tylko pierwszą jaskinię, w głąb ciągną się następne. Nie poszedłem tam, bo nie wziąłem ani lampy, ani świecy, ale wydaje mi się, że widziałem tunel wykopany ludzką ręką i że on prowadzi w głąb łądu. W tych stronach w wielu miejscach są tunele pozostałe po starych kopalniach, z czasów, gdy odkryto miedź i cynę. Przemytnicy o tym wiedzą i wykorzystują je do własnych celów.

- Dlatego tak trudno ich złapać. Nie mogą transportować kontrabandy wozami przez wieś ani zwałć jej po prostu na brzeg. Ktoś by zauważył i wezwał straż przybrzeżną.

- Być może. Miejscowi niewiele mówią na ten temat. Jestem pewien, że cały przemyt jest składowany na terenie ziem lady Edgeworthy. Tunel gdzieś prowadzi. Przenoszą towar do zabudowań znajdujących się na obrzeżach posiadłości, a potem czekają na stosowny moment, żeby wysłać go dalej. Przypuszczam, że robią to etapami. Wysyłka od razu na miejsce przeznaczenia byłaby zbyt ryzykowna.

- Nie przypuszcza pan chyba, że lady Edgeworthy bierze w tym udział?

- Ktoś używa jej posiadłości do niecznych celów, ale jestem pewny, że ona o tym nie wie. Celnicy obserwują wybrzeże, a tymczasem przemycony towar bez przeszkód trafia do odbiorcy - odparł Drew.

- Poprosi ją pan, żeby pozwoliła przeszukać swoją posiadłość? - zapytał Robbie.

- Przypuszczam, że obecnie niczego tam nie ma. Uważam, że mężczyzna, którego wtedy widziałem, jest tym, kogo szukamy. Zszedł na brzeg razem z przemytnikami i zajął się swoimi sprawami. Statek wrócił specjalnie po niego, więc musi to być ktoś ważny.

- A może tylko ktoś, kto zajmuje się dopilnowaniem, aby przemycony towar został składowany i następnie rozwieszony - zasugerował Robbie.

- Może. Coś mi jednak mówi, że to był Francuz, z którym kontaktuje się nasz szpieg. Obserwowałem statek i łódź, a nie podejrzewałem, że ktoś czai się w grocie. Miałem go okazję złapać, do diabła!

- On wróci. Obojętne, czy zajmuje się przemytem, czy przekazuje informacje.

- Masz rację. Tym razem będę na niego czekał. Zamierzam śledzić wozy z towarem.

- Chyba że przemytnicy pierwsi pana zauważą - ostrzegł Robbie. - Taka akcja w pojedynkę to szaleństwo. Powinien pan poprosić przyjaciół o pomoc.

- Hal Beverley powinien się zgodzić.

- Bez wątplenia - przytaknął Robbie. - Niech pan do niego napisze. Powinien pan poprosić też kapitana Harcourta czy raczej lorda Harcourta. Mogę się założyć, że po opuszczeniu armii nudzi się tak samo jak pan. We czterech damy sobie radę.

- Napiszę zaraz do Harcourta i do Beverleya - zdecydował Drew - ale wątpię, czy Beverley przyjedzie. Ma teraz mnóstwo obowiązków. Kiedy jego brat zginął, ojciec zażądał, by Hal porzucił służbę wojskową.

- Pan też ma obowiązki. - Robbie popatrzył z dezaprobatą na chlebobawcę. - Człowiek o pana pozycji ma wiele do stracenia. Dobrze pan o tym wie! Gdyby się wydało, że przebywa pan tutaj pod fałszywym nazwiskiem, wybuchłby skandal.

- Wiem, że twoim zdaniem przyjazd tutaj to czyste szaleństwo. - Drew uśmiechnął się do wiernego sługi. - Mnie to bawi, a poza tym wyświadczam przysługę Jackowi...

- Jack uratował panu życie w Salamance. Zrobi pan to, co uzna za słuszne. Jak zwykle. Proszę jednak za bardzo nie ryzykować. Wielu ludzi od pana zależy...

- Wiem, ale mam dobrego rządcę, który umiejętnie zarządza posiadłością. Lubi swobodę w podejmowaniu decyzji i na razie mu na to pozwalam. Obiecuję, że nie będę niepotrzebnie ryzykował.

Drew wyszedł z domu, wracając pamięcią do dawnych czasów, kiedy to razem z przyjaciółmi się bawili, czerpiąc z życia pełnymi garściami... Nagle przed oczami stanęła mu przepiękna złotowłosa dziewczyna z oczami w kolorze morza. Przypomniał sobie, jak machała do niego, kiedy urwistą ścieżką schodził na plażę. Wtedy zirytowała go jej obecność. Obawiał się, że mężczyzna w łodzi może go zauważyć. Dopiero potem zadał sobie pytanie, czy to ta sama ślicznotka, którą widział w powozie. Uznał jednak, że to niemożliwe. Jakim sposobem miałyby się znaleźć na tym odludziu? Taka dziewczyna powinna bywać w towarzystwie i szukać odpowiedniego kandydata na męża.

Śmierć wuja uczyniła z niego dziedzica fortuny, odpowiedzialnego za losy wielu ludzi. Robbie miał rację, mówiąc, że jego obowiązkiem jest troszczyć się o ich dobro. Drew chciał znaleźć kobietę, która zrozumie jego potrzeby i zaakceptuje go takim, jaki jest. Najlepiej wdowę, która nie będzie od niego wymagała czegoś, czego on nie będzie mógł jej dać.

Marianne nadała listy i w doskonałym humorze opuściła punkt, w którym przyjmowano pocztę rozwożoną przez pocztowe dyliżanse. Tuż obok mieścił się

ruchliwy zajazd. Powozy przyjeżdżały i odjeżdżały, zabierając i wysadzając licznych podróżnych. W biurze skorzystano z okazji i wręczono jej pocztę czekającą na dostarczenie do posiadłości lady Edgeworthy. Jeden list był zaadresowany do Marianne, a przysłany przez Jo; dwa były przeznaczone dla ciotki Berthy. Jo napisała:

*Kochana siostrze, chcę ci powiedzieć, że ciotka Wainwright zdecydowała, że zabierze mnie ze sobą do Bath. Miałam nadzieję, że się rozmyśli, ale nic z tego. Wyjeżdżamy w przyszłym miesiącu. Dzisiaj mam iść do miary. Najwidoczniej ciotka uważa, że chodzę obdarta i musi mi sprawić nową garderobę. Nie wiem, jak to zniosę. Będę starała się pamiętać o twoich i mamy przestroгах. Boję się jednak, że po tygodniu pokłócimy się z ciotką. Ale dosyć o mnie! Napisz, co u ciebie.*

*Twoja kochająca siostra Jo*

W wiosce znajdował się niewielki sklep oferujący damom różne niezbędne drobiazgi, takie jak jedwabne nici do haftu czy przybory do pisania. Pełnił on też funkcję małej biblioteki. Za parę groszy można było wypożyczyć tomik poezji lub powieści popularnych autorów. Marianne zamierzała tam wstąpić, a idąc powoli ulicą, ponownie czytała list od Jo. Zatoniona w myślach, nie zauważyła mężczyzny idącego z naprzeciwka i niewiele brakowało, by na niego wpadła.

- Proszę uważać, panienko. - Mężczyzna przytrzymał ją za ramiona, bo wpadając na niego, nadepnęła mu na stopę i się potknęła. - Zależy mi na tych butach, bo to moje najlepsze, i nie wiem, czy kiedykolwiek znajdę drugie równie wygodne.

Marianne spojrzała na buty. Były to zwyczajne, trochę zniszczone czarne buty z cholewami wykończonymi pasem brązowej skóry. Przeniosła spojrzenie na twarz mężczyzny i zaskoczona napotkała spojrzenie błękitnych oczu.



Oto miała przed sobą człowieka, którego widziała zbiegającego ścieżką z klifu na plażę. Bez wątplenia to on kierował spychaniem z drogi zepsutego powozu lady Forester. Jego płaszcz i spodnie były dziełem świetnego krawca, ale tak jak buty one także pamiętały lepsze czasy. Marianne doszła do wniosku, że temu dżentelmenowi, być może, przestało dopisywać szczęście.

- Przepraszam. Czytałam list i nie zauważyłam pana. Mam nadzieję, że nie zrobiłam panu krzywdy?

Oto piękność z powozu! To zarazem ta sama młoda kobieta, którą spostrzegł na klifie wtedy, gdy ścigał Francuza. Drew widywał ją też w pobliżu domu lady Edgeworthy.

- To moja wina - powiedział. - Powinienem był zejść pani z drogi.

- Jest pan bardzo uprzejmy. List jest od mojej siostry i... Marianne urwała i się roześmiała.

Drew puścił ją i zrobił krok do tyłu. Zdusił w sobie nagle pożądanie, które poczuł, stojąc blisko tej niezwykle atrakcyjnej młodej damy.

- Nie powinnam iść i jednocześnie czytać. To moja wina. Wydaje mi się, że któregoś dnia widziałam pana na klifie i pomyślałam, iż to pewnie pan wynajął dom od mojej ciotecznej babki. Mam na myśli Cliff House...

- Mieszka pani u lady Edgeworthy? Mogę zapytać, na jak długo pani przyjechała?

- Nie wiem. Myślę, że zostanę dopóty, dopóki ciotka będzie mnie potrzebowała.

- Rozumiem. - Drew skinął głową. - Cieszę się, że panią poznałem. Życzę miłego dnia. - Skłonił głowę i odszedł.

Marianne widziała, jak mężczyzna zniknął w drzwiach zajazdu. Zastanawiała się, co takiego zrobiła czy powiedziała, że początkowo miły nieznajomy stał się nagle oschły i prawie niegrzeczny. Nawet się nie przedstawił, jak nakazywały dobre manierey.

Niczego nie wymyśliła, więc weszła do sklepu z galanterią, gdzie ujrzała obfitość towaru wystawionego na półkach i ladach. Poszukała drobiazgów niezbędnych do swoich robótek.

Kiedy ciotka Bertha wystosowała zaproszenie, Marianne przypuszczała, że spędzi u niej kilka tygodni. Po paru dniach pobytu przekonała się, że starsza dama liczy na znacznie dłuższą obecność nie tylko ze względów towarzyskich. Obawiała się o własne bezpieczeństwo. Marianne nie miała nic przeciwko pozostaniu w rezydencji lady Edgeworthy. Mogła urozmaicać sobie czas, odwiedzając sklepy w Sawlebridge lub udając się na przejażdżkę do Truro. Zdawała sobie sprawę, że będzie tęsknić za mamą i siostrami, ale ciotka Bertha najwyraźniej jej potrzebowała.

Po godzinie Marianne wyszła ze sklepu z jedwabnymi nićmi i koronką, którą zamierzała ozdobić swoją nocną koszulę. Rozejrzała się po ulicy i zauważyła, że mężczyzna, któremu nadepnęła na nogę, rozmawia ze stajennym przed budynkiem mieszczącym punkt pocztowy. Musiał wyczuć jej wzrok, bo odwrócił głowę i spojrzał wprost na nią.

Marianne poczuła, że pieką ją policzki. Szybko ruszyła w przeciwnym kierunku. Od domu ciotki dzielił ją dwudziestominutowy spacer, przy czym droga prowadziła pod górę. Upał minął i Marianne z przyjemnością szła szybkim krokiem. Już po chwili zobaczyła wzburzone morze, pocięte falami o spienionych grzbietach. Zadowolona pomyślała, że któregoś dnia rano ponownie wybierze się do Sawlebridge. Ciotka nie miała bowiem zwyczaju wstawać przed południem.

Wprawdzie dotarła do posiadłości lady Edgeworthy, lecz dom był usytuowany w pewnej odległości od klifu, więc Marianne musiała skierować się w głąb lądu. Będąc na szczycie klifu, obejrzała się za siebie i dostrzegła mężczyznę, który jeszcze niedawno rozmawiał we wsi ze stajennym. Doszła do wniosku, że ją śledzi, bo chcąc się dostać do swojego domu, nie musiał iść tą drogą. Postanowiła poczekać, aż się z nią zrówna.

- Chciał pan ze mną porozmawiać?

- Nazywam się Beck. Drew Beck. Przepraszam, że wcześniej się nie przedstawiłem. Zapewniam, że nie szedłem za panią. Po prostu tędy łatwiej mi dojść do domu. Lady Edgeworthy pozwoliła mi wchodzić na teren posiadłości. Przyjechałem tu, aby wrócić do zdrowia po chorobie - dodał Drew i zakaszał, zakrywając usta dłonią.

- Rzeczywiście tędy ma pan bliżej i może bezpieczniej niż klifem - przyznała chłodnym tonem Marianne. - Myślę, że powinnam się przedstawić. Nazywam się Marianne Horne. Lady Edgeworthy jest moją cioteczną babką. Na długo pan tu przyjechał, panie Beck?

- Może na kilka miesięcy. Potrzebuję morskiego powietrza, ciszy i spokoju, żeby wyzdrowieć.

Marianne przyjrzała się panu Beckowi, który jej zdaniem wyglądał jak okaz zdrowia, ale pomyślała, że nie każdą chorobę widać na pierwszy rzut oka. Pamiętała jednak, jak popychał powóz, i trudno jej było uwierzyć, by rekonwalescent mógł mieć tyle siły. Instynktownie wyczuła, że może mu zaufać, choć jednocześnie podejrzewała, że skłamał na temat swojej choroby. Mimo to dopóki nie miała dowodów, że kłamał, postanowiła wziąć jego słowa za dobrą monetę. Uprzejmie skinęła głową. Powstrzymała się jednak od uśmiechu.

- W tej sytuacji na pewno będziemy od czasu do czasu się spotykać. Ciotka lubi gości i planuje wkrótce wydać kolację dla kilku osób. Pana też zapewne zaprosi, ale jestem pewna, że zrozumie, jeśli odmówi pan... ze względu na stan zdrowia.

- Jeśli zostanę zaproszony, na pewno przyjdę - odparł Drew, zanim zdążył pomyśleć. Miał się trzymać z daleka od ludzi, ale ta młoda kobieta wyjątkowo go pociągała i nie umiał się temu oprzeć. Poza tym, uznał, dzięki tej znajomości będzie mógł poruszać się po całej posiadłości, nie budząc podejrzeń. - Proszę przekazać lady Edgeworthy, że jutro złożę jej wizytę.

- Skoro zamierza nas pan odwiedzić, proszę przyjść na herbatę. Jestem pewna, że ciotka będzie zachwycona - odparła nieco zdziwiona Marianne, bo przypuszczała, że pan Beck woli własne towarzystwo.

Jakiś czas szli razem, równając krok, aż dotarli do miejsca, gdzie ich drogi się rozdzielały.

- Muszę iść w tę stronę - Drew wskazał kierunek - a pani w tamtą. Zapewne wkrótce się spotkamy.

- Niewykluczone. Życzę miłego dnia. I proszę uważać. Przestrzegano mnie, że w czasie przyływu woda w zatoczce szybko się podnosi i bywa tam niebezpiecznie.

- Zapewne, jeśli ktoś jest nieostrożny. Dziękuję za ostrzeżenie. Proszę uważać na klifie. Słyszałem, że zdarzają się tu wypadki.

Idąc w stronę domu, Marianne zastanawiała się nad tymi słowami. Czy pan Beck próbował ją ostrzec, by trzymała się z daleka od tej części wybrzeża? A jeśli tak, to dlaczego?

Wydawał się porządnym, spokojnym człowiekiem, ale Marianne czuła, że powinna zachować w stosunku do niego pewien dystans. Nie mówił prawdy o swoim zdrowiu. Nie miała pojęcia, kim jest i po co wynajął dom. Nie potrafiła orzec, dlaczego za każdym razem, gdy spacerowała, widziała go nad brzegiem morza. Nie powinno jej to interesować, a jednak nie dawało spokoju.

Ciotka wspomniała, że pan Beck oświadczył, iż pragnie samotności, ale skoro zamierzał przyjąć zaproszenie na kolację, najwyraźniej zmienił zdanie. Zastanawiała się, co robił w Sawlebridge. Nie to, żeby budził w niej nieufność, ale czuła, że coś ukrywa.

W tej chwili zauważyła podjeżdżający pod dom ciotki powóz. Wsiadł z niego mężczyzna. Nie widział jej i mogła spokojnie mu się przyjrzeć. Uznała, że ma około trzydziestu pięciu lat. Był średniego wzrostu, a jego strój świadczył o tym, że jest dżentelmenem.

Krótkie jasnobrązowe włosy miał zaczesane do przodu zgodnie z obecną modą i wydawał się dosyć przystojny.

Odwrócił się i wtedy Marianne zobaczyła jego miłą i łagodną twarz.

- Nigdy się nie spotkaliśmy - powiedział, podchodząc - ale pani musi być Marianne Horne. Jestem Joshua Hambleton. Mam nadzieję, że lady Edgeworthy o mnie wspominała?

- Pan Hambleton, oczywiście. - Marianne lekko skłoniła głowę.

Wyciągnęła dłoń, ale on zamiast ją uścisnąć, podniósł ją do ust i pocałował. .

- Urocza, doprawdy urocza - szepnął, gdy Marianne cofnęła rękę. - Słyszałem, że jest pani piękną kobietą, ale nie przypuszczałem, że aż tak...

Przesadne komplementy wprowadziły Marianne w wyraźne zakłopotanie.

- Czy ciotka Bertha pana oczekuje? Rano nie wspominała o pana przyjeździe.

- Wysłałem list, powinna go dostać - odparł. - W zasadzie nie muszę jej uprzedzać i przyjeżdżam wtedy, kiedy mi wygodnie. Czy odzyskała już dobre samopoczucie? Gdy napisała do mnie, zawiadamiając o pani wizycie, miałem nadzieję, że to pozytywnie wpłynie na jej nastrój.

- Od kiedy tu jestem, ciocia wydaje się pogodniejsza. Ze względu na mnie postanowiła od czasu do czasu przyjmować gości. Wyjeżdżając z Londynu, odcięła się od przyjaciół, i to sprawia, że czuje się jeszcze bardziej samotna.

- To miejsce rzeczywiście jest dosyć odludne - przyznał z zatroskaną miną Joshua. - Sugerowałem, żeby lady Edgeworthy przeniosła się na pewien czas do Bath, a zarząd nad posiadłością zostawiła w moich rękach. Chętnie dopilnuję tutejszych spraw w czasie jej nieobecności.

- Proszę nie zapominać, że to jest jej dom. Choć nie zaprzeczam, że czasami zmiana miejsca może mieć korzystny wpływ. Jednak decyzja należy do ciotki - stwierdziła Marianne.

- Musi mi pani pomóc ją przekonać - nalegał Joshua. - Jestem pewien, że w Bath nie skarżyłaby się pani na nudę.

- Do niczego nie będę cioci nakłaniać. Jeśli chodzi o mnie, to jest mi tu zupełnie dobrze. Może zimą, jeśli ciotka będzie miała takie życzenie... Jak powiedziałam, to zależy tylko od niej. Nie zamierzam poddawać jej presji.

Stanowisko Marianne wyraźnie nie spodobało się Joshui, a ona wyczuła, że ten człowiek ukrywa prawdziwe uczucia i że jest na coś zły. Oboje zamilkli i w tym momencie na schodach pojawiła się Jane.

- Zastanawiałam się, co pana zatrzymało - powiedziała. - O, Marianne. Obawiałam się że zablądziłaś.

- Byłam w Sawlebridge, a to jednak kawałek drogi, a potem zatrzymałam się jeszcze, żeby porozmawiać z nowym najemcą ciotki Berthy.

- Najemcą... - Joshua bacznie przyjrzał się Marianne. - Domyślam się, że chodzi o dom na klifie. To nierozsądne wynajmować go człowiekowi, o którym nic się nie wie. Nie pojmuję, czemu lady Edgeworthy to zrobiła.

- Pan Beck wygląda na dżentelmena. Wydaje się uczciwym i porządnym człowiekiem - oznajmiła Jane. - Proszę, wejdźmy do środka. Pański pokój jest jak zwykle gotowy, panie Hambleton. Lady Edgeworthy wkrótce zejdzie na lunch. Marianne poszła przodem, zostawiając pozostałą dwójkę, która, sądząc z tonu rozmowy, znała się i była w dobrych stosunkach. Chciała się przebrać i odświeżyć przed zejściem do salonu. Ranek dostarczył jej materiału do przemyśleń. Poznała panów Becka i Hambletona i jej zdaniem każdy z nich coś ukrywał. Na razie jedyne, co mogła zrobić, to mieć oczy i uszy szeroko otwarte oraz zapewnić spokój cioci Bercie.

Wracając do wynajmowanego domu, Drew nie mógł przestać myśleć o Marianne, choć to go rozpraszało i nie pozwalało skupić się na celu, w jakim przybył nad kornwalijskie wybrzeże.

Nagle przypomniał sobie, że mając czternaście lat, odwiedził wuja i pewnego dnia spotkał w lesie dziewczynkę zbierającą czarne jagody. Nie mogła mieć wtedy więcej niż jedenaście lat. Przyłączył się do niej, a gdy znajdował wyjątkowo ładną i dużą jagodę, przekomarzał się z dziewczynką, dopóki nie

wzięła jej ustami wprost z jego palców. Potem pocałował ją w policzek, a ona roześmiała się i zaprosiła go na plebanię, żeby spróbował wspaniałego ciasta jagodowego, które piecze jej mama. Nie udało mu się jednak odwiedzić plebanii, bo następnego dnia został wysłany do szkoły.

Dziewczynką musiała być Marianne. Na szczęście ona nie pamięta tego wydarzenia i nie należy robić niczego, co mogłoby przywołać wspomnienie. Nie zdołał sobie przypomnieć, czy wtedy się jej przedstawił, czy tylko powiedział, że markiz Marlbeck jest jego wujem. Może wyjawiał, że ma na imię Andrew i mieszka w Marlbeck Manor u wuja?

Nie był pewny, co nim kierowało, kiedy dziś zasugerował, że na pewno wkrótce znowu się spotkają. To idiotyczne! Przed laty zauroczyły go figlarne iskierki, które dostrzegł w jej oczach. Gdyby nie wyjechał, na pewno odwiedziłby plebanię. Uroczą dziewczynka wyrosła na piękną młodą kobietę. Czuł, że jej pozorny chłód kryje ognisty temperament. Czy dlatego podświadomie pragnął, by go sobie przypomniawszy, chociaż to mogłoby zagrozić jego misji?

Do diabła! Przecież to było tak dawno. Może wybrać się na kolację do lady Edgeworthy bez obaw, że Marianne go rozpozna. Drew próbował się uspokoić, ale w głębi duszy wiedział, że ta wizyta może się okazać niebezpieczna także z innych powodów. Igrał z ogniem - niewiele spotkał w życiu kobiet, które tak silnie na niego działały.

Przybył tu w konkretnym celu i byłby głupcem, gdyby ryzykował powodzenie całego przedsięwzięcia ze względu na kobietę. Najpierw obowiązki. Na przyjemności przyjdzie czas, kiedy załatwi to, po co tu przyjechał. To nie jest stosowna pora na uganianie się za ładną panną!

Marianne przebierała się do kolacji, kiedy nagle usłyszała dobiegające zza okna głosy. Wychyliła się i zobaczyła Jane i doktora Thompsona zatopionych w rozmowie. Nagle Jane się roześmiała. Marianne zobaczyła twarz szczęśliwej kobiety. Nie była to zahukana, szara myszka, krzątająca się wokół

chlebodawczyni. Jane wyglądała jak zakochana dziewczyna, rozkwitająca na widok zachwyty w oczach kochanka.

Marianne nie potępiałaaby Jane, gdyby nawet szukała pocieszenia w ramionach kochanka. Zdawała sobie sprawę, że życie damy do towarzystwa musiało być uciążliwe. Jej obowiązkiem było towarzyszyć starszej pani i być na każde jej skinienie. Czy dodając laudanum do miętowej nalewki, o ile oczywiście zrobiła to Jane, miała nadzieję, że chlebodawczyni zaśnie i więcej się nie obudzi? Śmierć lady Edgeworthy, zapis, jaki ona uczyniła na rzecz Jane i doktora Thompsona, stwarzały zupełnie nowe możliwości tej parze.

Jak mogę posądzać Jane o zbrodnicze zamiary? - zreflektowała się. Pan Hambleton, który na pierwszy rzut oka wydawał się miłym człowiekiem, też nie zasługiwał na to, by go podejrzewać o nieczne plany wobec lady Edgeworthy. Okazała mu dużo serca i byłby niewdzięcznikiem, gdyby chciał ją zabić, licząc na majątek, który mógł otrzymać w spadku.

Im więcej nad tym rozmyślała, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że to jedna z pokojówek chciała pożyczyć laudanum, a słysząc krzyk, uciekła. Postanowiła sprawdzić, kto zajmuje się wydawaniem leków służbie. Ciotka mówiła, że kamerdyner trzyma leki pod kluczem. Czy pokojówki o tym wiedzą?

Schodząc na dół, zauważyła pokojówki, które niosły do jadalni sztuce i kieliszki. Poszła za nimi. Dziewczyny nakrywały stół, wesoło rozmawiając, ale kiedy zobaczyły Marianne, zamilkły.

- Możemy w czymś pani pomóc? - zapytała jedna z nich.

- Odczuwam ból głowy - odparła Marianne. - Jeśli go nie powstrzymam, będę musiała się położyć. Jak myślicie, co może mi pomóc?

- Panna Rudge może pani zaparzyć ziółek - odparła zatroskana pokojówka.

- Ziółka na mnie nie działają. Już to wypróbowałam.



- Laudanum mogłoby okazać się skuteczne - doradziła Bessie. - Pan Jensen trzyma je pod kluczem w swoim pokoju. Dał mi trochę, kiedy bolały mnie zęby, i ból przeszedł, jak ręką odjął. Nie zużyłam wszystkiego, bo pojechałam do Truro wyrwać ząb. Mogę panience przynieść to, co mi zostało.

- Dziękuję, Bessie. Pomyślałam, że może jednak najpierw zastosuję ziółka - odparła Marianne.

Uznała, że to nie Bessie zakradała się nocą do pokoju lady Edgeworthy. Była zbyt bezpośrednia i otwarta. A skoro nie ona, to kto? Może ciotka wszystko sobie wymyśliła? Rozważała tę ewentualność i doszła do wniosku, że lady Edgeworthy tak by nie postąpiła, ponieważ była osobą racjonalną i zrównoważoną.

Wieczór był ciepły i Marianne wyszła do ogrodu, żeby przed kolacją odetchnąć świeżym powietrzem. Nad morze było za daleko, postanowiła więc pójść w stronę strumienia płynącego między bujnie rosnącymi rododendronami. Wprawdzie rododendrony przekwitły, ale i tak przyjemnie było tamtędy spacerować.

Doszła do strumienia i pożałowała, że nie ma dość czasu, by iść dalej. Przecież nie mogła pozwolić, żeby czekali na nią z kolacją. Przedzierając się przez zarośla, dostrzegła idącego w jej kierunku mężczyznę. Co on tu robi o tej porze? - zadała sobie w duchu pytanie.

- Zgubił się pan, panie Beck? - zainteresowała się Marianne, bo znajdowali się z dala od ścieżki prowadzącej grzbietem klifu.

- Nie. Obserwowałem ptaki i zawędrowałem dalej, niż zamierzałem.

- Doprawdy? Jakie ptaki pan obserwował?

Przyjrzała mu się spod zmarszczonych brwi. Mewy było widać z klifu, tutaj można było dostrzec tylko kosy i wróble.

- Wydawało mi się, że widziałem orła - odparł Drew. - Nie jestem pewien, bo to chyba niemożliwe, prawda?

- Raczej nie. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby orły wily gniazda w rododendronach.

- Występuje gatunek orłów zaliczany do ptaków morskich. Czasem gnieźdzą się na klifach. Ten, którego widziałem, poleciał w głąb ładu. Musiałem się pomylić.

- Tak sędzę.

Marianne nie słyszała o morskich orłach i wąpiła, by takie ptaki żyły na Wyspach Brytyjskich. Uznała, że pan Beck znów minął się z prawdą i że powiedział pierwsze, co mu wpadło do głowy. Być może wcale nie obserwował ptaków. W takim razie co tu robił? Na pewno jej nie śledził, bo przecież nie mógł przewidzieć, że będzie spacerować właśnie tutaj.

- Może to była wyjątkowo duża mewa?

- Bardzo prawdopodobne - zgodził się skwapliwie Drew.

Przypomniał sobie, że są orły żywiące się rybami, ale żyją w Afryce i polują na słodkich wodach. Sklął się w duchu za tę wpadkę i miał nadzieję, że Marianne nie zwróciła na to uwagi.

- Często pani tutaj spaceruje?

- Nie, choć przypuszczam, że wczesnym latem jest tu bardzo pięknie. Wolę widok z klifu. Tak jak pan, panie Beck. Czasem można tam zobaczyć zaskakujące rzeczy, prawda?

- Ma pani rację. Kilka razy widziałem foki, no i oczywiście mewy.

- Chodziło mi raczej o statki niż o mewy. Pewnego razu zaobserwowałam w zatoce statek, który wyglądał mi na francuski.

- To dziwne! Kto by przypuszczał? Nasze stosunki z Francją ciągle są dość napięte.

- Przyszło mi do głowy, że to mogli być przemytnicy.

- Przemytnicy...

Drew uważnie przyjrzał się Marianne. Najwyraźniej była spostrzegawcza i dociekliwa. Niedobrze. Wiedział, że jeśli przypadkiem zobaczy za dużo, znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie.

- Istnieje taka możliwość. Zapotrzebowanie na francuskie towary nie słabnie, bez względu na to, jak się układają stosunki pomiędzy Anglią a Francją. Ludzi kusi możliwość zarobku z ominięciem podatków. Jeśli pani zobaczy taki statek, lepiej o tym zapomnieć. Zdesperowani ludzie są zdolni do desperackich czynów.

- Czy to ostrzeżenie?

- Niech pani udaje, że nic nie widzi. Dla własnego dobra i dla spokoju lady Edgeworthy.

- Wydaje mi się, że więcej pan wie o przemytnikach niż o ptakach, a orzeł, którego pan zobaczył, zabłąkał się bardzo daleko od domu - dodała, bo przypomniała sobie, co czytała o orłach w atlasie zwierząt. - Żegnam pana.

Drew patrzył za oddalającą się Marianne. Wiedział, że pokpił sprawę. Nabral podejrzania, że bystra panna nie uwierzyła ani w jego chorobę, ani w to, że zobaczył orła. Jeśli nie chce zostać zdemaskowany, musi bardziej się kontrolować, uznał.

Pogrążona w myślach Marianne zmierzała do domu. Była coraz bardziej pewna, że pan Beck nie jest tym, za kogo się podaje. W pewnym momencie spostrzegła Joshuę Hambletona. Wydawał się zajęty podziwianiem widoków, ale kiedy ją zauważył, ruszył w jej kierunku. Uśmiechał się nieco zbyt przymilnie jak na jej gust i choć prawie go nie znała, poczuła do niego antypatię.

- Tu pani jest. Panna Trevor powiedziała mi, że wybrała się pani na przechadzkę przed kolacją. Często spaceruje pani wieczorami?

- Raczej nie. Zazwyczaj wstaję ze słońcem i wolę poranne spacerowanie, kiedy większość ludzi jest jeszcze w domach. Wtedy panuje spokój.

- To malownicza okolica. Osobiście wolę jeździć konno.

- Ja też kiedyś jeździłam konno, a jeśli chodzi o spacery, to najbardziej lubię chodzić na klif. Przy dobrej pogodzie są stamtąd wspaniałe widoki.

- Najlepiej trzymać się z dala od zatoki. O wiele bezpieczniejsze są ścieżki po jej drugiej stronie. To właśnie przy zatoce kuzyn lady Edgeworthy spadł z klifu i zginął. Na pewno pani o tym słyszała. Mieszkał tu całe życie i powinien wiedzieć, że klif bywa zdradliwy.

- Może zgubił się we mgle?

- Nie mam pojęcia. Nie było mnie tutaj, kiedy doszło do tragedii - odparł Joshua Hambleton. - Wypadek zdarzył się wtedy, gdy przebywałem w Hiszpanii. Przez jakiś czas służyłem w wojsku, ale nie brałem udziału w walkach. Byłem oficerem łącznościowym i większość czasu spędzałem w sztabie, ponieważ mam dosyć wątłe zdrowie. Przed kilkoma miesiącami pożegnałem się ze służbą. Wróciłem do kraju, a lady Edgeworthy była tak dobra, że pozwoliła mi zamieszkać w swoim domu w Londynie.

- Przykro mi, że był pan zmuszony zrezygnować z kariery w wojsku.

- Miałem szansę wysoko zajść. Mogłem pójść do służby dyplomatycznej, ale wybrano kogo innego. W tej sytuacji musiałem zadowolić się czymś znacznie skromniejszym. Niewielki dochód pozwala mi na całkiem wygodną egzystencję.

- Musiał pan przeżyć rozczarowanie, ale przecież może pan spróbować jeszcze raz.

- Może kiedyś. - Joshua uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Przyznam, że trochę się rozleniwiłem. Wolę widywać się z przyjaciółmi i od czasu do czasu wydać przyjęcie. Udało mi się zrobić kilka dobrych inwestycji, mam więc z czego żyć.

Marianne nie pojmowała, dlaczego Joshua opowiada jej o swojej sytuacji finansowej.

- Cieszę się, że jest pan zadowolony ze swojego życia. Nie zawsze mamy wpływ na własne losy, ale miło wiedzieć, że zrobiło się coś wartościowego.

- Odnoszę wrażenie, że jest pani bardzo rozsądną młodą damą. - Joshua kiwnął głową z aprobatą.

- Kto wie, czy gdybyśmy się lepiej poznali, nie zmieniłby pan zdania - odparła ze śmiechem Marianne.

- Drażni się pani ze mną, panno Horne. A może mógłbym zwracać się do pani po imieniu? Lady Edgeworthy bardzo panią lubi i ja także cieszę się, że pani dotrzymuje jej towarzystwa. Odniosłem wrażenie, że ona lepiej się czuje, i uważam, że to pani zasługa.

- Cieszę się, że pan tak myśli - odparła Marianne.

Nie pozwoliła Joshui zwracać się do siebie po imieniu. Wyczuła w nim fałszywą nutę. Teraz próbował się z nią zaprzyjaźnić, choć była pewna, że gdy się dowiedział o jej przyjeździe, był wyraźnie zły.

Gdyby szykował zamach na życie lady Edgeworthy, moja obecność w domu byłaby mu nie na rękę, pomyślała Marianne, ale zaraz przywołała się do porządku. Na razie nie było powodów do podejrzeń. Po prostu nie wzbudził jej sympatii. Inaczej było z panem Beckiem. Jego polubiła od pierwszej chwili i mimo, że wyraźnie coś ukrywał, od razu nabrała pewności, że może mu zaufać. Podejrzewała, że odgadła powody, dla których pan Beck przyjechał w tę okolicę. Pan Hambleton nie budził w niej zaufania. Postanowiła więc zachować dystans, choć oczywiście musiała być dla niego uprzejma. Był przecież gościem jej ciotki.

Coś wyrwało Marianne ze snu. Leżąc w ciemnym pokoju, zastanawiała się, co to mogło być, gdy nagle usłyszała dziwny dźwięk. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Stała nieruchomo dłuższą chwilę, ale dźwięk się nie powtórzył. Słyszać było tylko wiatr i bijący o szyby deszcz. Otworzyła drzwi sypialni, które zamknęła na klucz, idąc spać, i wyszła na korytarz. Podeszła do drzwi pokoju ciotki i delikatnie poruszyła klamką. Drzwi były zamknięte. Poczowała ulgę, że ciotce nic nie grozi, ale dziwny dźwięk nie dawał jej spokoju.

Zastanawiała się, co to mogło być. Skrzypienie drzwi czy raczej odgłos wleczenia czegoś po kamiennej podłodze?

Ściskając w rękę lichtarz, Marianne zeszła na dół. Była boso, więc nie robiła najmniejszego hałasu. Nagle dostrzegła chybotliwy płomyk świecy. Ktoś nadchodził od tej strony domu, w której znajdowały się kuchnie i pokoje służby. Ukryła się za dużym zegarem.

Korytarzem szedł mężczyzna, a świeca, którą trzymał w rękę, oświetlała jego twarz. Marianne zawahała się, po czym wyszła z ukrycia.

- Przestraszył mnie pan. Myślałam, że ktoś włamał się do domu.

Pan Hambleton był wyraźnie zaskoczony jej nagłym pojawieniem się.

- Co pani tutaj robi, panno Horne? - zapytał ostro.

- Usłyszałam dziwny dźwięk i zeszłam sprawdzić, co to było - wyjaśniła.

Ze zdumieniem zauważyła, że pan Hambleton miał na sobie kompletne ubranie, a rękawy surduta były pokryte pajęczynami.

- A więc pani też to słyszała? - zapytał po chwili wahania. - Zszedłem na dół i sprawdziłem wszystkie okna i drzwi.

- Myśli pan, że powinniśmy obudzić służbę? - zapytała Marianne. Nie bardzo wierzyła w jego słowa.

- Sprawdziłem. Dom jest bezpieczny - odparł lekko zirytowany. -

Uważam, że oboje słyszeliśmy, jak wiatr szarpnął dachem, a potem to już były odgłosy mojego sprawdzania okien i drzwi. Nie ma potrzeby nikogo budzić. Po co niepokoić lady Edgeworthy.

Niewątpliwie miał rację. Taka pobudka w środku nocy bardzo by zdenerwowała starszą panią.

- W takim razie wracam do siebie. Dobranoc panu.

- Gdyby zamiast mnie, był tu włamywacz, znalazłaby się pani w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Następnym razem proszę bardziej uważać.

- Co za szczęście, że jest pan w domu i może zadbać o nasze bezpieczeństwo - odrzekła Marianne i okręciła się na pięcie.

Kiedy dotarła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i wróciła do łóżka. Zastanawiała się, co takiego robił Joshua i dlaczego była pewna, że kłamał? Powiedział, że tak jak ona usłyszał dziwny odgłos, ale coś jej mówiło, że go spowodował. Cokolwiek robił, wyraźnie nie chciał, żeby ona o tym wiedziała

Musiało to być coś podejrzanego. Czego mógł szukać nocą pod schodami? Zaczęła się zastanawiać, czy to jednak nie on próbował otruć lady Edgeworthy. Jako główny spadkobierca odniósłby z jej śmierci największe korzyści.

Sytuacja, w jakiej Marianne się znalazła, była bardzo nieprzyjemna. Dość miała wietrzenia we wszystkim podstęp, ale wiedziała, że ciotka liczy na jej pomoc i że musi zrobić wszystko, by zapobiec kolejnej próbie zamachu na życie starszej pani.

Nikogo z dotychczasowych podejrzanych nie mogła wykluczyć, ale Joshua Hambleton wyraźnie wysuwał się na pierwsze miejsce. Miała świadomość, że nie powinna go osądzać, wcale go nie znając, ale z drugiej strony, brak zaufania i antypatia, jaką w niej budził, wykluczały bliższe poznanie... Westchnęła i mocniej otuliła się kołdrą.

## *Rozdział czwarty*

Następnego dnia od rana padało i Marianne musiała zostać w domu. Ranek spędziła na drobnych pracach domowych. Ułożyła kwiaty w wazonach i policzyła poustawiane na półkach słoiki z przetworami. Próbowała nie myśleć o wydarzeniach ostatniej nocy i na razie nie zamierzała o nich informować ciotki Berthy.

Starsza pani była dzisiaj blada i zmęczona i dopiero po południu, gdy została sama z Marianne, wyznała jej, że w nocy źle się poczuła.

- Uznałam, że wieczorem zjadłam za dużo i przed pójściem do łóżka napiłam się miętowej nalewki, ale najwyraźniej mi nie posłużyła.

- Może pora zamówić nową.

- Właśnie zaczęłam butelkę, którą doktor dopiero co przysłał - odparła lady Edgeworthy i się rozejrzała po salonie. - Trochę mi zimno. Bądź tak dobra i zamknij drzwi, dobrze?

- Czy lekarstwo było trzymane pod kluczem? - zapytała Marianne, kiedy spełniła prośbę ciotki.

- Tak. Wprawdzie kluczyk do szafki, w której je zamykam, leży w pudełku na toalecie, ale nie wierzę, żeby ktoś... chciał mnie otruć - powiedziała lady Edgeworthy, lecz była wyraźnie przygnębiona.

- Uważam, że powinna ciocia zmienić miejsce trzymania kluczyka do szafki z lekami. Na wszelki wypadek wyrzucimy tę butelkę z nalewką.

- Zgoda. Porozmawiajmy o czymś innym, żeby się nie denerwować. Jesteś pewna, że pan Beck zamierza złożyć nam dziś po południu wizytę?

- Wczoraj wieczorem spotkałam go przy strumieniu, tam gdzie rosną rododendrony. Obserwował ptaki. Powiedział, że możemy się go spodziewać.

- Wspominał, że to jego hobby - przypomniała sobie starsza pani. - Chyba lepszym punktem obserwacji jest klif niż zarośla nad strumieniem.



- Myślę, że on lubi spacerować, a posiadłość jest bardzo malownicza. Zdaje się, że ciocia pozwoliła mu wchodzić na swój teren.

- Chyba tak. Kiedy w domu na klifie mieszkał kuzyn, często tu do mnie przychodził. Traktował ten dom jak własny. Kochałam go jak syna... - Lady Edgeworthy ciężko westchnęła, bo wspomnianie Cedrica ciągle jeszcze było zbyt bolesne. - Nie pojmuję, dlaczego spadł z klifu. Nikt nie znał tych ścieżek lepiej niż on. Często się zastanawiam, jak mogło do tego dojść...

- Jest ciocia pewna, że to był wypadek?

- A cóż innego mogło się wydarzyć?

- Mówiłam cioci, że być może przemytnicy korzystają z kryjówek w zatoce. Może Cedric zobaczył coś, czego nie powinien, i dlatego zginął.

- Dobry Boże! - Lady Bertha przycisnęła rękę do piersi. - To musiał być wypadek. Nawet nie chcę myśleć, że mogło być inaczej. Jestem pewna, że Cedric spadł z klifu... - Starsza dama tak bardzo przejęła się przypuszczeniem, że jej ukochany kuzyn mógł zostać zamordowany, że Marianne pożałowała, iż poruszyła ten temat.

- Nie denerwuj się, ciociu, proszę. Tylko tak pomyślałam.

- Nie wierzę. To niemożliwe...

Do salonu wkroczył pan Hambleton i od razu zauważył, że lady Edgeworthy jest wytrącona z równowagi.

- Wierzę, że nie kłóci się pani z szanowną ciocią, panną Horne? - zapytał z uśmiechem.

- Skądże znowu - odparła natychmiast starsza dama.

Sama nie wiedziała, dlaczego obecność Joshui zaczęła ją irytować. List, w którym miał ją rzekomo zawiadamiać o swoim przyjeździe, nadal nie doszedł. Nie podobało się jej, że przyjechał bez uprzedzenia.

- Zdenerwowałam się, bo Marianne zaczęła się zastanawiać, czy Cedric rzeczywiście zginął na skutek nieszczęśliwego wypadku.

- O ile wiem, nikt dotąd nie wziął pod uwagę innej przyczyny jego śmierci. - Joshua Hambleton obrzucił baczny spojrzeniem lady Edgeworthy.

- Marianne podejrzewa, że przemytnicy mogą używać mojej zatoki do swoich celów. Gdyby tak było, Cedric mógłby zobaczyć coś, czego nie powinien. Jednak nie chce mi się w to wierzyć. - Lady Edgeworthy machnęła trzymanym w rękę wachlarzem. - Nie rozmawiajmy więcej na ten temat.

- Jestem pewien, że nie ma podstaw do takich podejrzeń - oznajmił uspokajająco Joshua, patrząc przy tym znacząco na Marianne. Najwyraźniej uważał ją za winną wzburzenia lady Berthy. - W tej okolicy nie mieliśmy problemów z przemytnikami. Myślę, że ponosi panią wyobraźnia, panno Horne. Niepotrzebnie zdenerwowała pani lady Edgeworthy.

Pan Hambleton nie zdążył powiedzieć nic więcej, ponieważ do salonu weszła Jane. Oznajmiała, że widziała przez okno pana Becka, który najwyraźniej wybrał się do nich z wizytą. Natychmiast zorientowała się, że coś jest nie w porządku, i spojrzała pytająco na chlebodawczynię.

- Czy coś się stało?

- Nie - odparła starsza dama i ze zdziwieniem popatrzyła na pana Hambletona, który niemal rzucił się do drzwi. - Nie zostaniesz na herbacie? Myślałam, że zechcesz poznać mojego najemcę.

- Jestem z kimś umówiony we wsi, wrócę na kolację - wyjaśnił Joshua, spoglądając z wyraźną dezaprobatą na

Marianne i wyszedł z salonu.

Marianne podeszła do okna, ale nie zauważyła pana Hambletona. Najwidoczniej użył bocznego wyjścia. Zupełnie jakby chciał uniknąć spotkania z panem Beckiem, pomyślała, ale od razu skarciła się za zbyt dużą podejrzliwość. Wystarczy, że niepotrzebnie zasugerowała ciotce, że jej ukochany Cedric zginął z rąk przemytników. Postanowiła nie wspominać o wątpliwościach, jakie budził w niej pan Hambleton, by jeszcze bardziej nie denerwować ciotki.

- Dzień dobry paniom. - Drew powitał trzy kobiety siedzące w salonie. - Mam nadzieję, że dobrze pani się czuje, lady Edgeworthy. - Skłonił głowę przed starszą damą. - Obie panie wyglądają dziś przepięknie - dodał, kłaniając się Marianne i Jane.

- Och... panie Beck. - Jane się zarumieniła. - Ja nie jestem ładna, to Marianne jest piękna.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Marianne. - Widziałam cię wczoraj wieczorem z doktorem Thompsonem. Byłaś szczęśliwa, śmiałaś się i wyglądałaś naprawdę ślicznie. Gdybyś tylko chciała, mogłabyś wyglądać dużo ładniej.

- Rzeczywiście, doktor zajął wczoraj z wizytą. - Jane zaczerwieniła się jeszcze bardziej. - Przyniósł lekarstwo dla lady Edgeworthy i chwilę rozmawialiśmy. Opowiadał coś zabawnego. Nie pamiętam co, ale doktor często zabawia nas różnymi anegdotami, prawda, proszę pani?

- Istotnie - przyznała lady Edgeworthy. - Co zrobiłaś z lekarstwem, które wręczył ci doktor?

- Zniosłam je do pani sypialni i zostawiłam na toalecie. Nie znalazła go pani?

- Znalazłam. Widziałam, jak wychodzisz z mojego pokoju i sama je schowałam do szafki.

- Czy coś się stało? - Jane nerwowo mięła w dłoniach chusteczkę do nosa. Widać było, że czuje się winna.

- Ależ skąd. Nic się nie stało. Proszę nam wybaczyć, że o panu zapomnieliśmy. Zechce pan usiąść. Jane, zadzwoń po herbatę.

Marianne zadała sobie w duchu pytanie, czy Jane mogła dolać trucizny do nalewki. Była wyraźnie zdenerwowana, ale to wcale nie oznaczało, że zamierzała zgładzić swoją chlebodawczynię. Powód mógł być całkiem inny.

- Widział pan ponownie orła? - Marianne zwróciła się do pana Becka. Liczyła na to, że wprawi go w zakłopotanie, ale zachował całkowity spokój.

- Nie, panno Horne, nie dopisało mi szczęście - odparł z błyskiem w oku.  
- To musiał być jastrząb lub, jak wczoraj pani sugerowała, wyjątkowo duża mewa.

- Nigdy nie widziałam tu orłów, ale nie znam się za dobrze na ptakach - przyznała lady Edgeworthy.

- Interesuję się ptakami od czasu, gdy zachorowałem. Pomyślałem, że takie hobby pomoże mi wypełnić czas - powiedział Drew.

- Można spytać, na co pan właściwie chorował? - zapytała Marianne.

- To miło, że interesuje się pani moim zdrowiem. Chorowałem na tyfus i przez kilka tygodni byłem w bardzo ciężkim stanie. Obecnie czuję się o wiele lepiej. Najwidoczniej morskie powietrze dobrze mi robi.

- Marianne wspominała, że lubi pan przechadzki - wtrąciła lady Edgeworthy. - Pozwalam panu spacerować po mojej posiadłości, tylko proszę uważać na klifie. Miejscami jest niebezpiecznie.

- Z przykrością usłyszałem o wypadku pani kuzyna. To musiała być dla pani wielka strata.

- Rzeczywiście. Na szczęście teraz mam przy sobie Marianne i oczywiście Jane. W tej chwili gości u mnie z wizytą kuzyn mojego zmarłego męża, pan Joshua Hambleton. Musiał nas opuścić w pilnej sprawie. W przyszłą sobotę wydaję przyjęcie, wtedy będzie pan mógł go poznać. Dawno nie przyjmowałam gości, bo nie starcza mi sił, ale teraz jest Marianne i ona mi pomoże, prawda kochanie?

- Oczywiście, ciociu. Chętnie wypiszę zaproszenia i zajmę się wszystkim, o co ciocia poprosi.

- Zamierzam gościć nie więcej niż tuzin osób. Znamy się od czasu, kiedy przyjechałam tutaj jako panna młoda - odparła wyraźnie ożywiona lady Edgeworthy. - Najwyższa pora, żebym ich zaprosiła. Niektórzy z nich często bywają we wsi, więc mógł ich pan spotkać - zwróciła się starsza pani do pana

Becka. - Pan John Pembroke prowadzi interesy, a sir Edgar Bright ma wielką posiadłość graniczącą z moim majątkiem od północy.

- Od czasu przyjazdu rzadko opuszczałem dom i nie nadarzyła się okazja do zawarcia znajomości, ale teraz, kiedy czuję się już zupełnie dobrze, chętnie ich poznam.

- Wiedziałam, że tutejsze powietrze dobrze panu zrobi - ucieszyła się lady Edgeworthy. - Oto nasza herbata - dodała, widząc, że Bessie wnosi do salonu tacę. - Należysz nam, Marianne? Jane ci pomoże.

Dalsza rozmowa dotyczyła pogody, wysokich cen herbaty i wrogich stosunków z Francuzami. Mówiono o Austrii, która niedawno wypowiedziała wojnę Francji, i o nadziei na rychłe rozwiązanie problemu.

- Mój agent wspominał, że walczył pan w Salamance pod dowództwem Wellingtona - zagadnęła lady Edgeworthy.

- Walczyłem w wielu miejscach, między innymi w Salamance. Kilka miesięcy temu musiałem wrócić do kraju ze względu na sprawy rodzinne, a potem zachorowałem.

- To smutne. Na pewno brakuje panu przyjaciół z wojska.

- Bardzo mi ich brakuje - przyznał szczerze Drew. - Jest przy mnie mój ordynans i troszczy się o mnie, tak jak to robił w Hiszpanii.

- Pan Hambleton też był w Hiszpanii, lecz nie brał udziału w walkach, zajmował się logistyką. Chyba tak to się nazywa, prawda?

- Tak. Mam nadzieję, że nie należał do głupców, którzy gubili to, co było akurat najbardziej potrzebne. Bardzo często okazywało się, że stanowiące o naszym życiu lub śmierci zaopatrzenie ginęło, i musieliśmy żywić się tym, co udało się nam kupić albo skonfiskować. Zdarzało się też, że amunicja była wysyłana nie tam, gdzie trzeba, co powodowało powstanie trudnych i niebezpiecznych sytuacji...

- Nie pojmuję, jak to możliwe, ale wiem, że Joshua zbyt często zapadał na gorączkę i musiał zrezygnować z wojska ze względów zdrowotnych.

- Jaki miał stopień? - zapytał grzecznie Drew.

- Nie było go stać na patent oficerski, wspinał się więc mozolnie po szczeblach kariery, a kiedy dosłużył się stopnia porucznika, musiał zrezygnować.

- To przykre - wtrąciła z westchnieniem Jane. - Wiem, że zimą chorował na płuca, bo prosił doktora Thompsona o poradę... - Jane urwała i się zarumieniła. - Chyba nie powinnam o tym mówić...

- Teraz wydaje się zupełnie zdrowy - stwierdziła Marianne i zmieniła temat. - Jeszcze herbaty, panie Beck? A może kawałek ciasta?

- Dziękuję, zjadłem już trzy kawałki - odrzekł z uśmiechem Drew. - Proszę mnie nie kusić, kuchnia Robbiego nie może się równać z tymi smakołykami.

- W takim razie powinien pan korzystać z tego, co przyrządza kucharz lady Edgeworthy - zażartowała Marianne, spoglądając na pana Becka.

Uśmiechnął się, a w jego niebieskich oczach pojawiły się iskierki. Nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy i nagle nabrała pewności, że dawno temu już ją widziała. Drew dostrzegł wyraz zamyślenia na twarzy Marianne. Wiedział, że prędzej czy później przypomni sobie ich pierwsze spotkanie, a wolał, żeby doszło do tego w innych okolicznościach.

- Muszę już iść. - Zerwał się z krzesła. - Będę czekał na zaproszenie od pani, lady Edgeworthy.

- Marianne, odprowadź pana. - Starsza pani skinęła głową. - A ty, Jane, nalej mi jeszcze herbaty. Chcę z tobą porozmawiać...

Marianne z ociąganiem opuściła salon. Domyśliła się, że z osobą pana Becka wiąże się jakaś tajemnica, a mimo to uznała, iż może mu zaufać. Jednak sposób, w jaki czasem na nią patrzył, sprawiał, że czuła się trochę niepewnie.

- Proszę nie robić takiej groźnej miny - powiedział Drew, kiedy znaleźli się przy drzwiach. - Zapewniam, że nie ma pani czym tak się przejmować.

- Kim pan jest naprawdę, panie Beck, i co pan tutaj robi?

- Byłoby lepiej, gdyby nie zadawała pani takich pytań. Zapewniam, że nie zamierzam skrzywdzić pani ciotki ani pani. Proszę mi wierzyć.

- Chciałabym, ale to wszystko jest takie zagadkowe... Drew wyczuł, że Marianne ma na myśli coś więcej niż tylko wątpliwości co do jego osoby.

- Co panią martwi? Marianne spojrzała mu w oczy.

- Nie wiem, czy mogę panu to wyjawić, ale rzeczywiście komuś muszę.

- Jeśli zdecyduje się pani ze mną porozmawiać, proszę przyjść jutro rano nad strumień, tam, gdzie rosną rododendrony. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby pani pomóc.

- Dziękuję.

Marianne stała, patrząc, jak pan Beck zmierza do granicy posiadłości. Ponownie odniosła wrażenie, że skądś go zna.

Przez całą noc Marianne męczyły koszmary, ale po przebudzeniu niewiele z nich pamiętała. Wydawało się jej, że były związane z osobą pana Becka i z przemytnikami. Sen mara. Bóg wiara, powiedziała sobie i postanowiła przestać o tym myśleć.

Zanim wyszła na spacer, zajrzała do sypialni lady Edgeworthy. Panna Rudge porządkowała ubrania chlebobawczyni, ale na widok Marianne przerwała pracę, uśmiechnęła się i wyszła. Ciotka siedziała na łóżku, trzymając na kolanach tacę.

- Jak się czujesz, ciociu?

- Dziękuję, nie najgorzej. Panna Rudge zrobiła mi napar z mięty i wydaje mi się, że jej ziółka służą mi lepiej niż nalewka doktora Thompsona. Myślę, że na razie nie będę go prosić o kolejną butelkę.

- Jeśli chodzi o ziółka panny Rudge, to wiemy przynajmniej tyle, że są świeżo zaparzone - odparła Marianne. - Idę na spacer i chciałam się upewnić, że cici niczego nie trzeba.

- Te poranne spacery dobrze ci robią. Nie jesteś już taka blada, jak po przyjeździe. Po południu przyda mi się twoja pomoc przy wypisywaniu zaproszeń, ale teraz nie zamierzam zatrzymywać cię w domu.

- Cieszę się, że ciocia lepiej się czuje.

Marianne pocałowała w policzek lady Edgeworthy i wyszła na korytarz. Schodząc na parter, zauważyła, że pan Hambleton wchodzi do domu. Był w stroju do konnej jazdy, a na cholewach jego butów były zaschnięte bryzgi słonej wody. Czyżby jeździł po plaży? Przywitali się i pan Hambleton zapytał, czy Marianne wybiera się na spacer.

- Jest piękna pogoda, z klifu będzie wspaniale widać. Był pan na przejażdżce?

- Tak, pojeździłem wokół domu. Kiedy jestem na wsi, lubię wcześniej wstawać. Gdybym wiedział, że pani ma ochotę na przejażdżkę, wypożyczyłbym dla pani konia.

- Dziękuję, ale spacer zupełnie mi wystarczy - odparła Marianne skrepowana jego baczny spojrzeniem.

Joshua Hambleton próbował być w stosunku do niej miły i przyjacielski, jednak ona by wolała, żeby przestał się starać. Skinęła mu głową i wyszła przed dom. Upalne lato miało się ku końcowi. Wprawdzie w rozmowie z Hambletonem wspomniała o klifie, ale udała się nad zarośnięty rododendronami strumień.

Pan Beck czekał na nią niemal w tym samym miejscu, w którym spotkali się poprzednim razem. Na jego widok Marianne od razu poprawił się jej humor.

- Długo pan czeka? - zapytała z uśmiechem.

- Kręcę się po okolicy niemal od świtu. To zaskakujące, ile można zobaczyć wczesnym rankiem...

- To intrygujące. Nie chce pan chyba powiedzieć, że znów widział orła?

- Już mówiłem, że wtedy musiałem się pomylić. Widziałem coś znacznie ciekawszego: miejscowy rybak spotkał się z kimś w zatoce.



- Kim był ten drugi? Dżentelmenem?
- W pewnym sensie - odrzekł Drew.
- Może pan to wyjaśnić?
- Jeśli się nie mylę, był to okryty hańbą młodszy oficer naszej armii.

Jednak nie mam całkowitej pewności.

- Czy chodzi o pana Hambletona? - zapytała pod wpływem impulsu Marianne.

- Może teraz tak się nazywa. Wtedy był to porucznik Joe Humble. Wyrzucono go z wojska za oszukiwanie podczas gry w karty. Zarzucano mu chyba także niewłaściwe traktowanie własności armii, ale nie jestem pewien. Z jakichś powodów całą sprawę zatuszowano.

- Pan Joshua Hambleton jest kuzynem zmarłego męża mojej ciotki - powiedziała Marianne i zamilkła, zastanawiając się, czy wspomnieć o podejrzanych nocnych hałasach i o spotkaniu z panem Hambletonem, który pojawił się od strony pokoi służby.

- To już słyszałem... Zapewniam, że może mi pani zaufać. Przysięgam, że nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić pani ani pani rodzinie. Wierzy mi pani?

Patrząc w jego niesamowicie błękitne oczy, Marianne zapomniała, co chciała powiedzieć. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Nagle pan Beck chwycił ją w ramiona. Poczula na wargach jego usta. Delikatny pocałunek zupełnie ją rozbroił. Rozchyliła wargi i dała się ponieść nieznannej dotąd przyjemności. W odpowiedzi na jej uległość Drew mocniej przyciągnął ją do siebie. Coraz bardziej podniecony pogłębił pocałunek i zacisnął dłonie na krągłych pośladkach Marianne. Jej ciało reagowało instynktownie. Z namiętnością, o którą się nie podejrzewała, oddała pocałunek.

Gdy oderwali się od siebie, Marianne zaskoczył smutny wyraz oczu pana Becka. Nagle otworzyła się jakaś klapka w jej głowie. Miała wtedy dziesięć lat i poszła do lasu na jagody. Spotkała tam chłopca. Pomagał jej zbierać jagody,

droczył się z nią... wspomnienie było zamazane, nie pamiętała, o czym rozmawiali.

- Czy spotkaliśmy się przed laty w lasach Marlbeck? - zapytała.

- Owszem. - Drew spojrzął z obawą na Marianne. - Była pani uroczą dziewczynką i zbierała jagody. Powiedziała mi pani, że jest córką pastora. Kiedy niedawno mi się pani przedstawiła, pomyślałem, że z tamtej dziewczynki wyrosła piękna młoda kobieta.

- Pamiętam, że pomagał mi pan zbierać jagody, no i ten niesamowity kolor pańskich oczu. Dziwię się, że przypomniało mi się to właśnie teraz.

- Może dlatego, że wtedy panią pocałowałem, a pani się roześmiała.

- Nie było w tym nic złego, ale... - Marianne się zarumieniła.

- Wtedy byłem naiwnym i impulsywnym chłopcem. Dzisiaj nie mogę się tłumaczyć brakiem doświadczenia i obycia. Pocałowałem panią, bo wprost nie mogłem się oprzeć. Nie chciałem pani obrazić, przepraszam.

- W pana zachowaniu nie było nic obraźliwego i nie zamierzam udawać, że to, co pan zrobił, było niemiłe. Mimo to proszę, aby nie całował mnie pan bez pozwolenia.

Drew zaśmiał się w głos, bo szczerłość i otwartość Marianne zachwyciła go na równi z jej urodą. Do tej pory miewał romanse i spotykał piękne kobiety, lecz żadna z nich nie działała tak mocno na jego zmysły, jak Marianne.

- Następnym razem zapytam - obiecał z uśmiechem. - Choć nie obiecuję, że zaczekam na pani odpowiedź. A teraz pytam ponownie, czy pani mi ufa?

- Myślę, że tak.

- Czy wobec tego zechce pani powiedzieć, co panią niepokoi?

- Boję się, że ktoś może spróbować zabić moją cioteczną babkę.

- Coś podobnego! Odgadłem, że panią coś martwi, ale nie przypuszczałem, że to tak poważna sprawa. Skąd się wzięły pani obawy?

Marianne opowiedziała o laudanum i o nalewce, po której ciotka poczuła się gorzej, a nie lepiej.

- Tuż przed moim przyjazdem, w nocy, ktoś próbował włamać się do domu cioci - dodała Marianne. - Jedna z pokojówek nie spała, bo bolała ją ząb, narobiła krzyku i wypłoszyła złodzieja. Widziała, jak uciekał. Ciotka Bertha jest bardzo dzielna i próbuje sobie wmówić, że to jakieś nieporozumienie, ale wiem, że ogromnie się niepokoi.

- Trudno się jej dziwić. Ciekawe...

- Czy ma to coś wspólnego z wydarzeniami w zatoce? Wiem, że nie przyjechał pan tutaj na rekonwalescencję, lecz po to, by śledzić przemytników, i dlatego wynajął pan dom na klifie, prawda, panie Beck? O ile rzeczywiście tak pan się nazywa.

- Nie najlepiej to wymyśliłem, skoro pani mnie rozszyfrowała. - Drew zmarszczył brwi.

Zrozumiał, że Marianne nie kojarzy go z markizem Marlbeckiem. Uznał, że jako osoba inteligentna prędzej czy później wszystkiego się domysli. W tej sytuacji postanowił odkryć przed nią część prawdy.

- Ma pani rację. Nie przyjechałem tu z powodów zdrowotnych. Po pewnym czasie nabrałem przekonania, że kontrabanda jest składowana gdzieś na terenie posiadłości pani ciotki.

- Też tak myślę. Widziałam kiedyś, jak do brzegu zatoki podpłynęła łódź. Czekał na nią wyglądający na Francuza mężczyzna. Łódź popłynęła do zakotwiczonego niedaleko statku, zdaje mi się, francuskiego. Chociaż może się mylę.

- Nie pomyliła się pani. To był francuski statek. Jego kapitan bardzo ryzykował, podchodząc tak blisko za dnia. Musiał mieć coś ważnego do załatwienia, a poza tym zatoka jest dostępna tylko w czasie przypływu. Wtedy pomyślałem, że ten mężczyzna musi być kimś ważnym, ale teraz zaczynam podejrzewać, że mógł być tylko pośrednikiem.

- Zmienił pan zdanie po tym, co pan widział dziś rano na plaży?

- Nie powiem pani wszystkiego. Gdyby wypsnęło się pani choć słowo, oboje moglibyśmy się znaleźć w ogromnym niebezpieczeństwie. Proszę w ogóle nie wspominać o przemytnikach. Niech pani nie wierzy w to, co o nich opowiadają ludzie. Przemytnicy to nie dżentelmeni, tylko bezwzględne zbiry. Korzystają z bardzo wielu miejsc na wybrzeżu Kornwalii. Ich kryjówki są wszędzie tam, gdzie znajdują się plaże, do których można podpłynąć, i grotty. Właściciele tych terenów często przymykają oko na kontrabandę, a przemytnicy odwdzięczają się im, zostawiając w prezencie brandy. Czy słyszała pani, że w posiadłości lady Edgeworthy doszło do czegoś podobnego?

- Kiedyś wspomniałam o tym ciotce, ale ona uważa, że to niemożliwe. A może wcale nie chodzi o przemyt? Może ta sprawa dotyczy czegoś zupełnie innego?

- W takim razie trzeba się zastanowić, kto zyskuje na śmierci pani ciotki.

- Moja mama, która była tu zaledwie jeden raz. Moje siostry i ja. Także Jane i doktor Thompson, ale głównym spadkobiercą jest pan Hambleton.

- Znowu nasz przyjaciel Hambleton. Na pani miejscu bardzo bym na niego uważał. Jeśli okaże się, że to ten sam człowiek, o którym myślę, to uprzedzam, że jest zdolny zabić każdego, kto stanie mu na drodze.

- Twierdzi, że nie było go w posiadłości, kiedy dolano laudanum do nalewki ciotki.

- Nie musiał ujawnić swojej obecności. Nie zapominajmy o próbie włamania do domu.

- Myśli pan, że wrócił, by doprowadzić do śmierci lady Edgeworthy? Co za straszny człowiek!

- Jeśli Hambleton i porucznik Humble to ta sama osoba, może dojść do najgorszego.

- W takim razie muszę bardzo uważać szczególnie wtedy, gdy on jest w domu. Którejś nocy usłyszałam dziwny dźwięk. Zeszłam na dół, aby sprawdzić, co się dzieje, i spotkałam pana Hambletona. Wychodził z korytarza

prowadzącego do pokoi służby. Twierdził, że on także słyszał hałas i chciał skontrolować, czy nic się nie stało.

- Rozumiem, że pani mu nie uwierzyła?

- Jestem pewna, że robił coś, co chciał zachować w sekrecie. Chciałabym wiedzieć co.

- Hambleton nie może się zorientować, że pani go obserwuje. Jeśli zacznie podejrzewać, że pani odgadła jego zamiary...

- Będę miała wypadek i spadnę z klifu - powiedziała ponurym głosem Marianne. - Lady Edgeworthy wyjawiała, że większość pieniędzy zapisała Cedricowi, ale po jego śmierci zmieniła testament i teraz głównym spadkobiercą jest Joshua...

- Gdzie był pan Hambleton, kiedy zginął Cedric?

- Podobno w Hiszpanii. Nie wierzę w ani jedno jego słowo. Nie lubię go i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to on dolał trucizny do nalewki ciotki.

- To tylko nasze spekulacje. Być może krzywdzimy niewinnego człowieka, ale na wszelki wypadek proszę na siebie uważać.

- Może pan zwracać się do mnie po imieniu.

- Dziękuję, panno Marianne. Mogę panią znowu pocałować? - zapytał z uśmiechem.

- Nie, panie Beck. Nie może pan - odparła, ale w jej oczach błyskały figlarne iskierki. Pozwoliła mu zwracać się do siebie po imieniu, co było w pełni przyjęte między znajomymi. - Ledwie się znamy. Może kiedyś... Kiedy oboje się polubimy... - dodała, czując, że palą ją policzki.

- Ja już panią lubię, ale ma pani rację. Jestem w tej chwili zaangażowany w niebezpieczną sprawę i pani przypadkiem też. Oboje musimy zachować zdrowy rozsądek i to nie jest odpowiedni czas na flirt.

Marianne była trochę rozczarowana, że pan Beck tak łatwo pogodził się z odmową, bo prawdę mówiąc, kusił ją, by wyrazić zgodę.

- Muszę już iść, inaczej spóźnię się na lunch. Przez kilka dni będę zajęta, ale może...

- Spotkamy się - powiedział Drew. - Może być pani pewna, że jest nam to przeznaczone. Choćby na przyjęciu pani ciotki.

Padało od trzech dni. Marianne stała w salonie i patrzyła na smagane deszczem drzewa. Chętnie spotkałaby się z panem Beckiem, lecz przy takiej pogodzie nie było mowy o spacerach. Zresztą on pewnie też siedział w domu i czekał, aż przestanie padać.

- Panno Horne - rozległ się głos pana Hambletona. - Okropna pogoda. Rano wyszedłem z domu i całkiem przemokłem. Boję się, że znowu zachoruję. - Zakaszłał, zakrywając usta dłonią. - Nie powinienem wychodzić, ale byłem umówiony.

- Czy ta sprawa nie mogła poczekać?

- Musiałem załatwić naprawę koła w moim powozie, bo jutro wyjeżdżam.

- Nie weźmie pan udziału w przyjęciu? - zapytała zaskoczona Marianne. - Ciotka będzie zawiedziona. Naprawdę nie może pan zostać o jeden dzień dłużej?

- To urocze, że myśli pani o lady Edgeworthy. - Pan Hambleton uśmiechnął się w sposób, który Marianne uznała za wyjątkowo głupawy. - Obserwuję, jak pani się do niej odnosi, i muszę powiedzieć, że postępuje pani wzorowo. Mam o pani bardzo wysokie mniemanie - dodał, patrząc przy tym tak, jakby chciał powiedzieć znacznie więcej.

Marianne udawała, że niczego nie rozumie i nie widzi. Jego uczucia zupełnie jej nie obchodziły. Miała nadzieję, że nie zechce z nią flirtować ani się do niej zalecać, bo wszelkie próby były z góry skazane na niepowodzenie i mogły mu przynieść wyłącznie wstyd i zakłopotanie.

- Jest pan bardzo miły - odparła, starając się nie okazywać irytacji. - Ciotka jest mi bardzo bliska i to naturalne, że się o nią troszczę. Nie odpowiedział pan jednak na moje pytanie.

- W Londynie czekają na mnie pilne spotkania. Niestety, nie mogę ich przełożyć - odparł przepraszącym tonem. - Na ogół przyjeżdżam na dłużej. Obiecuję, że wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe.

Marianne milczała. Nie lubiła tego człowieka. Próbował być czarujący, ale jej wydawał się fałszywy i podstępny. Kiedy zostawała z nim sam na sam, nie czuła się pewnie.

- Nic pani nie mówi. Pozwolę sobie przypuszczać, że mój nagły wyjazd panią zmartwił. Odważę się też powiedzieć, że nie mogę się doczekać, kiedy po powrocie znowu panią zobaczę, moja droga.

Jeśli uważał, że ją ujął swoim zachowaniem, to był w błędzie. Marianne była przeświadczona, że nie potrafiłaby mu zaufać. Mogła mieć jedynie nadzieję, że nie będzie próbował jej się narzucać.

- Przyznaję, że jestem rozczarowana pana wyjazdem, ale tylko ze względu na ciotkę. Źle pan odczytał moje milczenie. Proszę mi wybaczyć, muszę coś przynieść ze swojego pokoju.

Wyszła z salonu i skierowała się w stronę schodów. Czuła na sobie jego spojrzenie i czuła, że był zły, ale się nie odwróciła. Jakim prawem robił jej awanse! Przecież niczym go do tego nie zachęciła.

Weszła do sypialni ciotki i sprawdziła, czy szafka z lekami jest zamknięta na klucz. Wszystko wydawało się w porządku, poszła więc do siebie. Przez ostatnie kilka dni bacznie obserwowała domowników, ale nie zauważyła niczego podejrzanego.

Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Jane lub doktor Thompson byli zdolni do popełnienia zbrodni, a to czyniło Hambletona jedynym podejrzanym. Postanowiła dopilnować, żeby dziś wieczorem ciotka zamknęła się w pokoju na klucz. Dziwił ją niespodziewany wyjazd pana Hambletona. Pilne spotkania w mieście? Przecież od przyjazdu nie dostał żadnego listu. Skąd więc nagła decyzja o wyjeździe? Mniejsza z tym. Najważniejsze, że Hambletona nie będzie w domu lady Edgeworthy. Na odległość nie zdoła jej skrzywdzić.

Uspokojona, przypomniawszy sobie spotkanie z panem Beckiem. Nie tylko że mu się nie oparła, to jeszcze oddała pocałunek! Musiała szczerze przyznać, że zrobiła to chętnie i tak się zatraciła, że pragnęła, by pocałunek się nie skończył.

Obiecała sobie, że ponownie nie pozwoli sobie na takie nieodpowiedzialne zachowanie.

Polubiła przystojnego, inteligentnego i zuchwałego pana Becka i nabrała do niego zaufania, ale powinna zachować ostrożność.

Utwierdziwszy się w tym postanowieniu, dołączyła do lady Edgeworthy, która w towarzystwie Jane siedziała w małym saloniku.

## *Rozdział piąty*

Marianne wyszła na poranny spacer zadowolona, że pan Hambleton opuścił dom bardzo wcześnie. Idąc w stronę strumienia, ze zdziwieniem zauważyła odcisnięte w miękkiej ziemi ślady końskich kopyt. Wiedziała, że poprzedniego ranka Joshua zażywał konnej przejażdżki, a poza tym stajenni od czasu do czasu objeżdżali konie zaprzęgane do powozu. Marianne ruszyła za śladami, nie odrywając od nich oczu. Nagle się urwały.

Rozejrzała się wokół. Przecież konie, które zostawiły te ślady, nie mogły się rozpuścić w powietrzu. Dolina zarośnięta rododendronami kończyła się stromym i kamienistym wzniesieniem, na które nie weszłyby nawet kucyki. Czy możliwe, żeby tak daleko od brzegu znajdowało się ukryte wejście do tunelu prowadzącego do groty przy plaży?

Z wahaniem zbliżyła się do kępy krzaków i nagle zobaczyła, że jeden z nich się poruszył. Zamarła przerażona, że niechcący znajdzie się oko w oko z przemytnikiem. Po chwili zza krzaka wyszedł mężczyzna.

Miał na sobie skórzane spodnie, rozpiętą pod szyją koszulę i górniczy kapelusz z przymocowaną z przodu świecą. Dostrzegli się w tym samym momencie.



- Marianne? Co pani tu robi, do diabła? Czy nie ustaliliśmy, że nie będzie pani się wtrącać do tych spraw?

- Nie ma potrzeby używać tak grubiańskich słów - odparła, dumnie unosząc głowę, bo niesłuszne oskarżenie uraziło jej ambicję. - Często tędy chodzę. A dziś zauważyłam ślady kopyt i zaciękało mnie, gdzie tak nagle zniknęły.

- Oczywiście - powiedział już spokojniej Drew. Pomyślał, że większość młodych dam w ogóle nie zwróciłyby uwagi na ślady kopyt. - Jeśli dobrze się przyjrzeć, można dostrzec, że do ukrytego tunelu prowadzi więcej śladów. Można się nim dostać do kilku jaskiń. Myślę, że dawno temu wykuli go w skale górnicy wydobywający ołów gdzieś blisko morskiego brzegu. Na skraju posiadłości lady Edgeworthy znajdują się też stare kopalnie żelaza.

- To całkiem możliwe, bo niektóre drogi są przejezdne tylko przez część roku. Kiedy odkrył pan tunel? - zapytała.

- Wkrótce po przyjeździe. Szukałem miejsca, gdzie przemytnicy mogą ukryć towar, zanim wysłą go dalej w głąb lądu. Myślę, że te ślady prowadzą do starej kopalni.

- Nie wydaje się panu dziwne, że ryzykowali przewożenie kontrabandy w czasie deszczu? Musieli zdawać sobie sprawę, że w rozmięklej ziemi zostaną ślady kopyt i że ktoś, idąc za śladami, znajdzie kryjówkę?

- Może nie mieli wyboru, może te ślady mają zmylić tego, kto je zauważy, albo go zwabić w pułapkę. Tak czy inaczej proszę, żeby w ciągu najbliższych dni omijała pani tę część posiadłości. Niewykluczone, że przemytnicy korzystają z tego miejsca od lat, a nikt tego dotąd nie odkrył. Mogli się roz-  
zuchwalić. Zresztą obojętne, jak jest naprawdę, to miejsce nie jest bezpieczne.

- Myśli pan, że zastawili tę pułapkę na pana? Może próbują zwabić pana w jakieś odludne miejsce i zaaranżować „wypadek”, w którym pan zginie. Gdyby spadł pan z klifu, mogłoby to wzbudzić podejrzenia, ale kto znajdzie pana ciało w szybie jakiejś zapomnianej kopalni.

- Staralem się nie budzić podejrzeń, ale przyznam, że też o tym pomyślałem.

- Od początku nie wierzyłam w pana historyjkę o chorobie. Inni też mogli nie uwierzyć.

- Miałem nadzieję, że dołączy do mnie przyjaciel, ale nie odpisał na mój list. W tej sytuacji wezmę ze sobą Robbiego. W Hiszpanii nieraz mnie asekurował, tutaj także może to zrobić.

- Musi być panu bardzo oddany. Obiecuję, że nie będę tu przychodzić przez jakiś czas. Mam dla pana wiadomość. Pan Hambleton wyjechał rano. Podobno ma jakieś pilne spotkania w Londynie.

- Kawał drogi do Londynu, dziwne, że chciało mu się tu przyjeżdżać na tak krótko. Nie wzbudziła pani jego podejrzeń? Czasem wystarczy jedno nieostrożne słowo albo spojrzenie.

- Przez trzy dni nie wychodziłam z domu ze względu na deszcz. Odnoszę wrażenie, że pan Hambleton... mnie polubił. Musiałam się bardzo starać, żeby nie odczuł, iż jego uczucia nie są odwzajemniane, ale jestem pewna, że z niczym się nie zdradziłam.

- W takim razie może naprawdę musi załatwić w Londynie jakieś sprawy.

- Może...

- Będę spokojniejszy, wiedząc, że nie przebywacie pod tym samym dachem. Wierzę, że na noc zamyka pani drzwi na klucz, ale...

- Przypuszczam, że to on dybie na życie mojej ciotki. Odkąd wyjechał, jestem dużo spokojniejsza.

- Nie wiem na pewno, czy pan Hambleton i Joe Humble to ta sama osoba, ale uważam, że rzeczywiście próbuje on przyczynić się do śmierci lady Edgeworthy.

- Podejrzewa pan, że wyjechał, żeby się nie spotkać z panem podczas przyjęcia? Pamiętam, jak szybko opuścił dom, kiedy Jane oznajmiła, że właśnie pan nadchodzi. To było wtedy, gdy ciotka zaprosiła pana na herbatę. I nie

wyszedł frontowymi drzwiami. Specjalnie patrzyłam przez okno. Widział go pan z daleka, więc on także mógł pana spostrzec.

- Bystra z pani osoba, Marianne. Bardzo prawdopodobne, że Hambleton stara się uniknąć spotkania z kimś, kto może go rozpoznać jako okrytego hańbą porucznika Humble'a.

- Jeśli próbował otruć ciotkę, to by znaczyło, że desperacko potrzebuje pieniędzy, które ma po niej odziedziczyć. A skoro poprzednio przyjechał tu po kryjomu, może to zrobić ponownie.

- Myśli pani, że nie wrócił do Londynu?

- Tak podejrzewam, choć nie jestem pewna, czy go nie krzywdzę.

- Żałuję, że go nie spotkałem podczas spaceru. Widziałem go tylko z daleka. Wydał mi się podobny, ale nie jestem przekonany. Mogę się mylić...

- Żadne z nas nie ma pewności. Nie chcę dłużej pana zatrzymywać, przypuszczam, ma pan jeszcze coś do zrobienia i marzy o tym, żebym sobie wreszcie poszła.

- Naprawdę chce pani wiedzieć, o czym marzę? Marianne nie musiała pytać, domyśliła się, że chce ją pocałować.

- Powinniśmy się skupić na ważniejszych sprawach.

- Mogę panią pocałować, Marianne?

- Nie, panie Beck. Nie może pan.

Urażona ambicja kazała jej trzymać go na dystans, bo wiedziała, że jeśli pozwoli mu się zbliżyć, ulegnie.

- To nie jest właściwa pora ani miejsce. Muszę wracać do domu. Zobaczymy się jutro wieczorem, a kto wie, czy nie wcześniej.

- Pozwolę pani odejść, ale ostrzegam, że nie zawsze tak będzie. Szczególnie jeśli będzie pani patrzeć na mnie tak jak teraz.

- Miłego dnia, panie Beck. Nie mogę się doczekać jutrzejszego wieczoru.

- Proszę zachować ostrożność. Nie zawsze mogę być blisko, żeby nad panią czuwać, ale jeśli pani po mnie przyśle, może być pewna, że się stawię.

Marianne miała nadzieję, że pan Beck nie odgadł, jak bardzo pragnęła, by ją pocałował. Jednak nie była to ani odpowiednia pora, ani miejsce. Poza tym nie miała gwarancji, że tym razem też skończyłoby się na pocałunkach. Wcale nie była pewna, czy chciałaby się uwolnić z jego ramion.

Był atrakcyjnym mężczyzną, a do tego go polubiła. Być może czuła do niego coś więcej niż sympatię, ale nic o nim nie wiedziała, na przykład, czy jest żonaty. To, że Drew Beck nie krył, że jej pożąda, nie znaczyło wcale, iż ją kocha i chce się z nią ożenić.

Przez resztę dnia i przez cały następny ranek Marianne pomagała w przygotowaniach do przyjęcia. Lady Edgeworthy chciała, aby było to wydarzenie towarzyskie. Prano najlepsze obrusy, czyszczono srebra i przygotowano elegancką zastawę z chińskiej porcelany. Kompozycje kwiatowe stały w każdym pokoju, który zamierzano udostępnić gościom, a podniecone przygotowaniem pokojówki zarzuciły Marianne pytaniami. Zakładały, że nie ma rzeczy, której ona nie wie na temat organizacji przyjęć, i choć było to dość męczące, Marianne nie narzekała. Całe to zamieszanie i atmosfera radosnego oczekiwania sprawiały jej przyjemność.

Dopiero po herbacie udało się jej wymknąć do ogrodu. Chciała sprawdzić, czy na krzewach zostały jeszcze róże, bo jeden z wazonów był ciągle pusty. Kiedy zbliżała się do rozarium, usłyszała radosny śmiech Jane i głos doktora Thompsona. Nie chciała im przeszkadzać i zastanawiała się, czy nie wrócić do domu, gdy nagle pojawili się na ścieżce tuż przed nią objęci ramionami i roześmiani. Jane patrzyła na doktora rozkochanym wzrokiem. Thompson spostrzegł Marianne i szepnął coś do Jane. Zwróciła głowę w jej stronę i mocno się zarumieniła.

- Och... co ty sobie o mnie pomyślisz? Jestem ci do czegoś potrzebna? - zapytała zdenerwowana.

- Nie. Wszystko gotowe. Przyszłam po róże do wazonu. Przepraszam, że wam przeszkodziłam. - Marianne chciała odejść, ale Jane ją zatrzymała.

- Proszę, nie mów o tym lady Edgeworthy, dobrze? Wkrótce zamierzamy się pobrać, ale chciałabym sama przekazać tę nowinę milady. Doktor Thompson właśnie poprosił mnie o rękę. Od lat się przyjaźniliśmy, ale nie liczyliśmy na to, że kiedyś będziemy mogli wziąć ślub. Teraz wszystko się zmieniło. Doktor dowiedział się, że jego wuj zostawił mu trochę pieniędzy. Niewiele, zaledwie kilka tysięcy funtów, ale to wystarczy, by mógł się w końcu ożenić.

- Cieszę się, Jane. Wiem, że ciotka Bertha będzie za tobą tęsknić, ale jestem pewna, że życzy ci szczęścia.

- Dzisiaj jest jej wielki dzień. Przyjęcie i goście. Nie chcę jej tego zepsuć. Postanowiłam, że na razie nie powiem jej o ślubie. Za kilka dni Simon złoży jej wizytę i wtedy razem to zrobimy.

- Tak będzie najlepiej - zgodziła się Marianne. - Cieszę się twoim szczęściem. Przyznam, że od pewnego czasu przypuszczałam, że jesteście sobie bliscy.

- Muszę się do czegoś przyznać. Kiedy Simon przyszedł na herbatę, byłam o ciebie zazdrosna. Ty piękna i inteligentna panna z dobrego domu, a ja tylko dama do towarzystwa. Jednak Simon właśnie mnie kocha i gdyby wcześniej miał pieniądze, dawno poprosiłby mnie o rękę.

- Na pewno będziecie szczęśliwi. To wspaniale, że doktor dostał spadek. Myślę, że ciotka zechce dać ci prezent, przecież byłaś przy niej przez wiele lat.

- Na nic nie liczę. Płaciła mi za moją pracę i było mi tu dobrze. Zakochałam się i nic na to nie mogę poradzić.

- Sprawy serca nie podlegają kontroli rozumu. - Marianne uśmiechnęła się do Jane. - Nie pozwól, żebym wam dłużej przeszkadzała. Sądzę, że mamy dosyć kwiatów.

Marianne wróciła do domu. Wiedziała, że ciotka będzie tęsknić za Jane i że minie kilka miesięcy, zanim przyzwyczai się do nowej damy do towarzystwa. W tej sytuacji jej pobyt tu potrwa dłużej, niż zaplanowała.

Marianne przebrała się w wieczorową suknię i zajrzała do pokoju ciotki. Starsza pani siedziała w fotelu, melancholijnym wzrokiem wpatrując się w okno.

- Czy coś się stało?

- Zastanawiałam się nad czymś, moja droga. Niedługo muszę podjąć pewne decyzje, ale to nie jest temat na dzisiejszy wieczór.

- Chętnie posłucham.

- Może jutro. - Lady Edgeworthy wstała i wzięła do ręki wachlarz. - Pora zejść na dół. Lada chwila zaczną nadjeżdżać goście.

Marianne czuła, że ciotkę coś martwi, ale nie chciała się dopytywać, by nie zepsuć jej wieczoru, w przygotowanie którego wszyscy włożyli tak wiele pracy i starań.

Kiedy starsza pani wraz ze swoją chrześnicą zeszły do salonu, zastały tam Jane. Miała na sobie jasnoszarą jedwabną sukienkę, której Marianne wcześniej nie widziała i inaczej niż zwykle uczesane włosy. Zarumienione policzki i błyszczące oczy były najlepszym dowodem, że jest szczęśliwa, a perspektywa rychłego małżeństwa dodała jej pewności siebie.

Marianne włożyła nową błękitną suknię, którą dostała od mamy i Jane od razu ją pochwaliła. Marianne odwzajemniła się komplementem.

- Rzeczywiście nigdy nie wyglądałaś tak ładnie jak dzisiaj - zwróciła się do Jane lady Edgeworthy.

Zaczęli się zjeżdżać goście, których lokaj wprowadzał do salonu. Jedynie Simon Thompson i pan Beck byli młodszy, pozostali zaproszeni należeli do pokolenia gospodyni. Marianne przyglądała się starszym ludziom i stwierdziła, że wyglądają miło i przyjaźnie. Wyraźnie cieszyli się, że ich przyjaciółka znowu zaczęła przyjmować, i od razu uznali, że to dzięki przyjazdowi młodej krewnej.

- Pani ciotka zdaje się w dużo lepszym nastroju - zauważył pan Pembroke, prowadząc Marianne do jadalni. - Zdziwiłem się, widząc zaproszenie, ale powiedziano mi, że to przyjęcie jest na pani cześć.

- Lady Edgeworthy stęskniła się za przyjaciółmi - odparła z uśmiechem Marianne. - Ostatnio rzeczywiście była w kiepskim nastroju, ale od kiedy tu jestem, ma się coraz lepiej.

Lady Edgeworthy zajęła honorowe miejsce u szczytu stołu. Po jej prawej ręce siedzieli kolejno pan Beck, Marianne i pan Pembroke. Kiedy Marianne skończyła rozmawiać ze starszym panem, pan Beck od razu skorzystał z okazji.

- Pięknie pani dziś wygląda - pochwalił z błyskiem w oczach. - Doskonale pani w tym kolorze, choć przypuszczam, że w worku na kartofle wyglądałaby pani równie uroczo.

- Dziękuję - odparła, odwracając wzrok, ponieważ bliskość pana Becka wprawiała ją w zakłopotanie. - Uważam, że Jane wygląda dzisiaj wyjątkowo ładnie - dodała. - Wreszcie jest szczęśliwa.

- Czy jest coś, o czym pani wie, ale trzyma to w sekrecie? - zapytał rozbawiony. - A może to nieodpowiednia pora na takie pytania?

- Nie najlepsza.

- W takim razie spotkajmy się jutro tam, gdzie zawsze.

Marianne nie zareagowała na tę propozycję. Głośno, by inni też usłyszeli, zapytała:

- Jak pan myśli, czy to, że Austria wypowiedziała wojnę Napoleonowi, przyspieszy rozwiązanie konfliktu z Francją?

- Wierzę, że Wellington i jego sprzymierzeńcy powstrzymają Bonapartego. Nie można pozwolić, żeby panoszył się w Europie, choć nie wiem, jak to osiągnąć.

- Trzeba go powiesić. To jedyny pewny sposób - odezwał się dżentelmen z drugiego końca stołu. - Cholerny parweniusz, śmie nazywać siebie cesarzem! Uważam, że to szaleniec.

- Jest pan niesprawiedliwy, majorze Barr - skarciła go lady Smythe. - Spotkałam Bonapartego w Egipcie, gdy mój mąż pełnił służbę w dyplomacji. Co prawda, zdarzyło się to jakiś czas temu, ale wtedy był uroczy.

- Napoleon Bonaparte to niebezpieczny człowiek. Gdyby nie Wellington, Anglii mogłaby grozić inwazja - powiedział Drew.

- To chyba niemożliwe - odparła lady Smythe i zmrużyła oczy, żeby lepiej przyjrzeć się rozmówcy. Odniosła wrażenie, że widziała go kilka tygodni temu w Londynie. Jednak nie była pewna, czy pamięć jej nie zawodzi.

- Jest pan wojskowym? - zapytał major Barr. - Nie dosłyszałem, przepraszam.

- Doszedłem do stopnia kapitana, lecz obecnie nie służę w armii - odparł Drew.

Prawda była taka, że wolał pozostać kapitanem, by walczyć ramię w ramię ze swoimi żołnierzami. Dlatego konsekwentnie odmawiał przeniesienia do dowództwa i awansu.

- Kapitan Beck. - Major skinął głową. - Od razu poznałem, że jest pan wojskowym. Nadal może pan używać swojego stopnia, wie pan o tym, prawda? To nieważne, że zdrowie zmusiło pana do zdjęcia munduru.

Drew uśmiechnął się, ale nie podtrzymał tematu, goście zaczęli więc rozmawiać o czym innym. Do końca kolacji nie udało mu się porozmawiać z Marianne, dopiero gdy odprowadzała go do drzwi, zdołali zamienić kilka słów.

- Cieszę się, że mógł pan przyjść, kapitanie. Myślę, że może pan zacząć używać swojego stopnia, bo teraz i tak wszyscy będą pana nazywać kapitanem - powiedziała Marianne.

- To prawda - przyznał z żalem. - Polubiłem majora Barra. Właśnie takich oficerów najbardziej podziwialiśmy, kiedy zaczynaliśmy służbę. Żałuję tylko, że zrobił z tego taką wielką sprawę.

- Dlaczego?

- Powiem pani jutro. Przyjdzie pani?

- Przyjdę, ale trochę wcześniej niż ostatnio. Później będę potrzebna w domu.

- Lady Edgeworthy wydawała mi się dzisiaj nieco roztargniona.



- Może odrobinę. Muszę wracać, zanim zauważą, że zbyt długo mnie nie ma.

- Dobranoc, moja słodka. - Drew pochylił się i pocałował Marianne w rękę.

Z uśmiechem na twarzy wróciła do salonu. Pan Beck czy też kapitan Beck nadal był tajemniczą postacią. Ciekawe, czy rzeczywiście tak się nazywa? Czowała, że w dalszym ciągu coś przed nią ukrywa.

- Odkrył pan coś, kapitanie? - zapytał Robbie, gdy wieczorem siedzieli w kuchni, popijając brandy. - Myśli pan, że ktoś z nich wie, co się dzieje w zatoce?

- Nie wykluczam, że lady Smythe popiera Bonapartego, ale wątpię, żeby była zdrajczynią. Poznała go w Egipcie i myślę, że wtedy był młody i uroczy. Major Barr z radością powiesi każdego francuskiego szpiega, którego spotka. Może się okazać użyteczny. Zaprosił mnie na obiad i chyba skorzystam z zaproszenia... Major powinien wiedzieć, na którym z tutejszych celników mogę polegać, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Wiemy, gdzie chowają towar, ale jeśli chcemy ich złapać na gorącym uczynku, musimy poczekać, aż przyplynie następny transport - stwierdził Robbie. - Kto wie, kiedy to nastąpi. Może nawet za kilka tygodni. Najpierw przecież muszą rozprowadzić to, co przywieźli poprzednio.

- Jeden z nas powinien obserwować kryjówkę. Może uda się odkryć, gdzie powędruje kontrabanda. Zanim ją sprzedadzą, przejdzie przez wiele skrytek. Szkoda, że Hal nie odpowiedział na mój list. We trzech mielibyśmy większe szanse przyłapać ich na gorącym uczynku.

Drew celowo wziął ze sobą tylko Robbiego, ale teraz zrozumiał, że przydałoby się im wsparcie choć jednego dobrze zbudowanego stajennego.

- Dziś na pewno się nie zjawią ze względu na przyjęcie u lady Edgeworthy. Za dużo ludzi. Poza tym zechcą pewnie poczekać, aż ziemia obeschnie. Gdyby nie deszcz, nie zauważylibyśmy śladów kopyt. Dziwię się, że ryzykowali przewożenie towaru w taką pogodę.

- Musieli mieć powód. Stara kopalnia jest zapewne tylko jedną z wielu skrytek. Orientujesz się, że nie chodzi mi o przemytników. Oczywiście działają na szkodę Anglii, bo nie płacą cła, ale nie przyjechałbym tutaj z ich powodu. Na razie nie zdradzę władzom miejsca, gdzie przemytnicy składują kontrabandę. Chcę złapać szpiega czy też szpiegów. Na razie dowiedzieliśmy się, że jeden jest Anglikiem i że kontaktuje się z francuskim łącznikiem.

- Myśli pan, że to Hambleton jest szpiegiem?

- Uważam, że porucznik Humble może być zdrajcą. Jeśli Humble i Hambleton to ta sama osoba...

- To niebezpieczny człowiek - wtrącił Robbie. - Może nie dla pana, bo pan potrafi dawać sobie radę z takimi typami. Starsza pani i jej piękna chrześnica są bezbronne. Ktoś taki jak Humble pozbywa się wrogów, strzelając im w plecy.

- Lady Edgeworthy i panna Marianne Horne. Trochę więcej poważania, Robbie.

- Przepraszam, kapitanie. Spodobała się panu ta młodsza, co?

- Czasem toleruję twój brak szacunku do mojej osoby, ale nie pozwolę na to w stosunku do panny Horne.

- A więc to tak. - Robbie uśmiechnął się szeroko. - Gratulacje, kapitanie. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zdecyduje się pan na małżeństwo. Ta panna jest naprawdę wyjątkowa i w dodatku to dama.

- Jesteś bezczelny, powinienem cię wyrzucić - rzucił Drew.

- Jutro mam wartę, więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym się położyć - oznajmił Robbie, jak zwykle nic sobie nie robiąc z pogrózek kapitana.

- Oczywiście, dobranoc.

Drew usiadł w fotelu i zapatrzył się w dal. Żarty Robbiego sprawiły, że zaczął się zastanawiać nad przyszłością. Marianne jest piękna i bystra, ale... Wcześniej zakładał, że ożeni się z jakąś damą, może wdową, by doczekać się

dziedzica. Wszak spoczywał na nim obowiązek przedłużenia rodu. Nie myślał o małżeństwie z miłości. Nie przypuszczał, że spotka kobietę, która zrobi na nim tak silne wrażenie, jak panna Horne.

Stracił oboje rodziców, kiedy był małym chłopcem. Czuł się wtedy bardzo samotny, a wuj Marlbeck, surowy i poważny mężczyzna, nie był czułym opiekunem. Przez lata wychowaniem małego Drew zajmował się stary, oschły nauczyciel, a w wieku czternastu lat chłopca wysłano do szkoły z internatem. Przez cztery lata ani razu nie był w domu, a gdy skończył osiemnaście lat, opuścił szkołę, mając do wyboru karierę akademicką albo wojsko. W tamtym okresie żył jeszcze Barney, syn wuja Marlbecka, przyszły dziedzic. Zmarł przedwcześnie, a po śmierci wuja tytuł i majątek przeszły na Drew.

Pomyślał o czułości i ciepłe, jakimi mogła obdarzyć go kochająca kobieta, a jakich on nigdy nie zaznał. Nie miał pojęcia, jak by zareagował na takie uczucia; nie wiedział, czy umiałby dać szczęście kobiecie. Skąd pewność, czy po pewnym czasie małżeństwo nie zaczęłoby go nużyć i nie wróciłby do dawnego stylu życia? Do tej pory Marianne obudziła w nim jedynie silną namiętność. Dopiero żarty Robbiego zmusiły go, żeby poważniej zastanowił się nad swoim stosunkiem do pięknej panny. W efekcie tych rozważań doszedł do wniosku, że powinien zatroszczyć się o dobro Marianne.

Następnego ranka Marianne wyszła z domu wcześniej rano. Nie chciała się spóźnić na spotkanie z Drew i zależało jej na tym, by wrócić do domu, zanim ciotka zejdzie na dół.

Zorientowała się, że starsza pani czymś się martwi, i chciała z nią o tym porozmawiać w cztery oczy.

Na widok Drew jej serce przyspieszyło rytm. Uśmiechnęła się do niego, ale zamiast odpowiedzieć uśmiechem, przybrał poważny wyraz twarzy.

- Ma pan dla mnie jakieś wieści? - zapytała, zastanawiając się, czy mogła go czymś urazić.

- Tak jak przypuszczałem, w starej kopalni ukryto beczki brandy i bele jedwabiu. Dziwię się, że jest tego tak mało. Nocami będziemy czuwać na zmianę z Robbiem. Może uda nam się wyśledzić, dokąd powędruje towar. A co u was?

- Ciotka znów jest niespokojna. Wczoraj nie chciała o tym rozmawiać, ale dzisiaj po powrocie do domu spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej. Jeśli chodzi o Jane i doktora, to myślę, że można ich skreślić z listy podejrzanych. Zamierzają się pobrać. Jane jest szczęśliwa i otwarcie opowiedziała o okolicznościach, które im umożliwiły ślub.

- W takim razie zostaje Hambleton. Jeśli nie pojechał do Londynu, to gdzie się podziewa? Zapewne gdzieś blisko... Jak mogłem na to nie wpaść! Niewykluczone, że zaszył się w bezpiecznej kryjówce, do której mają przewieść towar. To on zajmuje się sprzedażą kontrabandy. Wszystko się zgadza. Przecież wspomniała pani, że co kilka tygodni przyjeżdża tu z wizytą. Świetna przykrywka dla takiej działalności.

- Mówił, że znalazł nowe źródło dochodów... - Marianne popatrzyła na Drew. - Myśli pan, że to miał na myśli?

- Wszystko na to wskazuje. Dlatego ponownie proszę, żeby zachowała pani ostrożność, gdy Hambleton się pojawi.

- Będę uważać. Czy jednak nie jest groźniejszy teraz, kiedy, jak pan twierdzi, ukrywa się na terenie posiadłości?

- Niewykluczone. Im szybciej ta sprawa zostanie wyjaśniona, tym lepiej. Na razie proszę, żeby pani tu nie przychodziła, a podczas spacerów trzymała się bliżej domu.

- W takim razie kiedy pana zobaczę? - zapytała impulsywnie Marianne i zaraz tego pożałowała.

- Przyjdę, jak tylko będę wiedział coś nowego. Jeśli przemytnicy się zorientują, że odkryłem ich kryjówkę, spotkania ze mną mogą narazić panią na

niebezpieczeństwo. Jeśli pani będzie mnie potrzebowała, proszę posłać kogoś z listem do domu na klifie.

- Dobrze. Powinnam wracać - powiedziała Marianne i ruszyła z powrotem do domu.

Zostałam odprawiona, pomyślała. Poczwała żal i rozczarowanie. Nie chciała, żeby pan Beck zobaczył łzy, których nie zdołała powstrzymać. Była zbyt dumna, by okazać słabość.

Drew patrzył, jak Marianne odchodzi, i przeklinał się w duchu za to, że sprawił jej przykrość właśnie wtedy, gdy nabrała do niego zaufania. Teraz zniechęci się do niego, to pewne. W gruncie rzeczy może to i lepiej, pomyślał. Marianne zasługuje na kogoś lepszego niż ja. Kogoś zdolnego do miłości, kogoś, kto ją pokocha, obdarzy troską i otoczy czułością.

- Aaa, jesteś. - Jane ucieszyła się na widok Marianne. - Lady Edgeworthy... - Urwała. - Czy coś się stało?

- Nie, skądże. Coś wpadło mi do oka - skłamała Marianne i zmusiła się do uśmiechu. - Chciałaś powiedzieć, że ciotka mnie potrzebuje?

- Odniosłam wrażenie, że coś ją martwi. Prosiła, żebyś do niej zajrzała po powrocie ze spaceru.

- Dziękuję, już idę. Kiedy spodziewasz się wizyty doktora Thompsona?

- W piątek, jak zwykle. Trochę się denerwuję. Nie wiem, jak zareaguje lady Edgeworthy. Na szczęście teraz ty tu jesteś. Inaczej musiałabym odwlec ślub, a Simon nie chce dłużej czekać.

- Nie martw się, Jane. Ciotka życzy ci jak najlepiej. Zostanę z nią dopóty, dopóki nie znajdzie kogoś na twoje miejsce.

Marianne zastała lady Edgeworthy w łóżku. Na kolanach trzymała pulpit do pisania, a obok piętrzyła się korespondencja.

- Są dla mnie listy, ciociu?

- To nie jest dzisiejsza poczta. Przeglądam stare listy od przyjaciół i znajomych, którzy mieszkają zbyt daleko, żeby wybrać się do mnie z wizytą.

- Wobec tego nie będę ci przeszkadzać. Wrócę, kiedy będziesz wolna.

- Zostań, ja tylko trochę wspominałam. Zastanawiam się, czy ten dom nie jest dla mnie za duży. Może lepiej go sprzedać i kupić coś mniejszego w Bath albo w innym miejscu.

- I to ciocię tak martwi? - zapytała Marianne, przyglądając się badawczo starszej pani.

- Joshua chciałby wynająć tę posiadłość. Przedstawił mi wszystkie dobre strony takiego rozwiązania. Powiedział też, że gdybym zdecydowała się na sprzedaż, pożyczę pieniądze i kupię ode mnie dom wraz z ziemią.

- Uważam, że nie powinien na ciocię wywierać presji - odrzekła Marianne, nie kryjąc niezadowolenia. Powinna się domyślić, że za zmartwieniem ciotki kryje się Joshua. - To jest twój dom, ciotciu. Rób to, na co masz ochotę. Być może pan Hambleton jest prawowitym spadkobiercą, ale ty jesteś właścicielką.

- Ta posiadłość nie należała do mojego męża i jego spadkobiercy nie mają do niej żadnych praw. Dostałam ten dom od ojca. Po ślubie przejął go oczywiście mój mąż, jednak zgodnie z testamentem ojca, dom jest wyłączony ze spadku po moim mężu. Nasze małżeństwo było zaaranżowane przez rodziców, ale byliśmy szczęśliwi. Gdyby nasze dziecko nie umarło...

- Słyszałam o tym od mamy. Bardzo cioci współczuję.

- To była ogromna strata, ale był jeszcze Cedric, syn mojej ciotki. Nie była młoda, gdy go urodziła. Zająłam się nim po jej śmierci. Był dla mnie jak syn, bardzo go pokochałam. Jego ojciec był wojskowym, zmarł na gorączkę gdzieś w Indiach. Cedric zamieszkał w domu na klifie i codziennie mnie odwiedzał. Ogromnie przeżyłam jego nagłą śmierć. Był młody, sympatyczny, ujmujący... Kilka miesięcy później przyjechał z wizytą Joshua i przyszło mi do głowy, że... - Lady Edgeworthy urwała i pokręciła głową. - Nie chcę o nim źle myśleć, ale ostatnio... trochę się go przestraszyłam.

- Groził cioci?

- Nie wprost. Chodzi raczej o sposób, w jaki do mnie mówił. Sugerował, że jeśli zostanę w tym domu, będę chorować i w końcu mogę całkiem stracić zdrowie. Nalegał, żebym jak najszybciej przeniosła się do Bath. Mówił też, że powinnam zapewnić ci warunki do bywania w towarzystwie.

- Bardzo proszę, aby ciocia nie rozważała sprzedaży domu ze względu na moją osobę. Jest mi tu dobrze, a teraz, skoro okres żałoby się skończył, mama i siostry także chętnie tu przyjadą.

- Posiadłością zarządza agent. Dochody nie są takie jak kiedyś. Kopalnia została zamknięta dziesięć lat temu, a gospodarstwo nawet na siebie nie zarabia. Nie wiem, co Joshua widzi w tym miejscu. Chyba że chce szukać miedzi albo cyny. Wiem, że kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, chodził po starych kopalniach.

- Uruchomienie zamkniętej kopalni wymaga dużo pieniędzy. Musiałby odkryć bardzo bogate złożę, żeby to się opłacało - zauważyła Marianne, choć była przekonana, że pod pozorem poszukiwań nowych złóż Hambleton chciał swobodnie, bez budzenia podejrzeń, składować i rozwozić kontrabandę.

- Powiedziałam mu dokładnie to samo, ale upierał się, że znajdzie sposób, aby posiadłość zaczęła przynosić zyski.

- Pan Hambleton nie ma prawa wywierać na ciocię nacisku. Ten dom należy do cioci i tylko ciocia ma prawo decydować, co z nim zrobić.

- Masz rację, moja droga. Tak się cieszę, że tu jesteś. Chętnie spotkam się z twoją mamą. Muszę przemyśleć kilka spraw, ale powiem ci, że po tej rozmowie od razu mi ulżyło.

- Nie pozwolę, żeby ktoś ciocię zmuszał do podejmowania decyzji wbrew cioci życzeniom.

- Przy tobie czuję się dużo bezpieczniej.

- Niech mi ciocia obieca, że nie będzie się zamartwiać. Nie chcę, żeby się ciocia rozchorowała.

- Od kiedy nie używam nalewki, czuję się dużo lepiej. Może wcale mi nie służyła?

- Może - zgodziła się Marianne.

Uważała, że to raczej zasługa zamykania na klucz drzwi do sypialni i szafki z lekami. Jeśli pan Hambleton zamierzał pozbyć się ciotki, zrzucając winę na Jane i na doktora, przekonał się, że to mu się nie uda. Być może dlatego spróbował zmusić starszą panią do wyjazdu.

Marianne zastanawiała się, w czym mogła przeszkadzać obecność ciotki. Co za przedsięwzięcie wymagało aż takich środków bezpieczeństwa, że za wszelką cenę chciał mieć dom wyłącznie dla siebie?

## *Rozdział szósty*

Wieczorem Marianne długo nie mogła zasnąć, a następnego dnia obudziła się wcześnie rano. Martwiła się o ciotkę Berthę, a poza tym niepokoiła ją zmiana zachowania pana Becka. Co takiego uczyniła, że nagle zaczął trzymać się na dystans? Czyżby zauważył jej zainteresowanie i uznał, że próbuje go złapać na męża? Co za bzdury. Nawet gdyby poprosił ją o rękę, na razie nie mogła myśleć o małżeństwie. W najbliższym czasie musiała się zająć sprawami ciotki. Po chwili zastanowienia uznała, że pan Beck doszedł do wniosku, iż okazywane jej względy mogą doprowadzić do sytuacji, która zmusiłaby go do oświadczeń.

Była to myśl wysoce upokarzająca i denerwująca. Przecież nie wyszłaby za mąż w takich okolicznościach! Nie mogła sobie znaleźć miejsca, postanowiła więc wybrać się do wsi. Liczyła na to, że dostanie list od Jo, bo już od dawna nie miała od niej żadnych wiadomości.

W biurze pocztowym czekały na nią cztery listy. Dwa do niej i dwa do lady Edgeworthy.

Wsunęła je do torebki i skierowała się w stronę sklepu z towarami tekstylnymi. W tej samej chwili jej wzrok padł na mężczyznę, który przeszedł



przez ulicę i zniknął w wejściu do obskurnie wyglądającego małego zajazdu, mieszczącego się na końcu ulicy. Mężczyzna nie zwrócił uwagi na Marianne, a ona, choć widziała tylko jego plecy, poznała płaszcz i sylwetkę.

Przekonała się, że instynkt jej nie zawiódł. Pan Hambleton wcale nie przebywał w Londynie. Nie mógł w tak krótkim czasie dojechać do miasta, odbyć spotkań i wrócić. Najwyraźniej na miejscu załatwiał sprawy, i to takie, które trzymał w tajemnicy przed lady Edgeworthy.

Wahała się przez chwilę, bo wiedziała, że ten obskurny zajazd nie jest miejscem, do którego powinna wejść. Żadna szanująca się kobieta nie postawiłaby tam nogi, więc jej obecność została natychmiast zauważona. Niezadowolona zastanawiała się, co zrobić, gdy nagle zauważyła, że do zajazdu wchodzi kolejny mężczyzna. Był ubrany jak rybak, ale mimo tego przebrania Marianne rozpoznała kapitana Becka. Czy śledził Hambletona? A może sprowadziły go tu sprawy, o których jej nie powiedział?

Przeszła przez ulicę i weszła do sklepu, w którym poprzednio tak miło spędziła czas. Zamierzała kupić wstążkę, aksamit i usztywniane płótno. Postanowiła, że w prezencie ślubnym zrobi dla Jane zielony elegancki kapelusik

W drodze do domu rozmyślała o przemytnikach, którzy wyraźnie działali w tej okolicy już od jakiegoś czasu. Coś musiało się zmienić, skoro pan Hambleton tak bardzo chciał się pozbyć ciotki z domu. Chyba nie przypuszczał, że starsza pani albo ona sama będą się zapuszczać w korytarze starych kopalni? Musiał mieć inne powody...

Przypomniała sobie noc, podczas której obudził ją dziwny dźwięk. Spotkała wtedy Joshuę wracającego od strony skrzydła kuchennego. Czyżby pod domem znajdowały się piwnice, do których można było się dostać z zewnątrz przez tunel?

Zadała sobie w duchu pytanie, czy Hambleton domyślił się, iż Drew szuka dowodów działalności przemytników i celowo skierował go do starej kopalni, specjalnie zostawiając w rozmięklej ziemi ślad. Wybrał deszczową noc i

podrzucił do kopalni parę beczek brandy i trochę jedwabiu. Liczył na to, że Drew uwierzy, że znalazł kryjówkę, i będzie ją obserwował, dzięki czemu przemytnicy odzyskają swobodę ruchów i spokojnie przewiozą towar w inne miejsce.

Przeczenie mówiło Marianne, że ma rację. To wyjaśniało, dlaczego Hambleton koniecznie chce się pozbyć ciotki z domu. Piwnice pod domem miały stać się skrytką na specjalny transport, a on najwidoczniej wiedział, jak się do nich dostać z zewnątrz. Przebiegł ją zimny dreszcz, bo to znaczyło, że Joshua w każdej chwili może wejść do domu niezauważony i tak samo z niego zniknąć.

Uznała, że podejrzeniami musi podzielić się z kapitanem Beckiem. Postanowiła zająć do domu na klifie i zostawić mu wiadomość. Było dość późno, należało się więc pospieszyć, jeśli nie chciała spóźnić się na lunch.

Idąc klifem, zerknęła na zatokę. Rano zaczął się odpływ i morze odsłoniło całkiem szeroki pas piasku. Nagle na plaży pojawili się dwaj mężczyźni. Domyśliła się, że wyszli z grotty, o której wspominał kapitan Beck. Jeden z mężczyzn wyglądał na miejscowego rybaka, a drugim był Joshua. Musieli nadejść od strony plaży przy wiosce, co zajęło im znacznie mniej czasu niż Marianne, która wspinała się na klif. Wyglądało na to, że mężczyźni się kłócą. W pewnym momencie rybak ruszył w stronę plaży przy wiosce, a Joshua spojrzał w górę.

Marianne odskoczyła od krawędzi, ale nie była pewna, czy Joshua jej nie zauważył. Podbiegła do domu na klifie i zastukała do drzwi. Po dłuższej chwili w stanął w nich mężczyzna wyglądający na byłego żołnierza i zmierzył ją badawczym spojrzeniem. Z opaską na oku wyglądał niczym pirat.

- Panna Horne, jak się domyślam. Jeśli chciała pani zobaczyć się z kapitanem, to niestety, nic z tego nie będzie. Nie ma go w domu. Wróci za godzinę albo dwie.

- Nie mogę tyle czekać. Mam ważne wiadomości dla kapitana.

Wyjęła elegancki mały notesik i ołówek. Opisała w skrócie swoje podejrzenia co do piwnic pod domem i dodała, że widziała Hambletona na plaży.

- Gdyby mógł pan oddać to kapitanowi - poprosiła Marianne, podając mężczyźnie kawałek papieru.

- Nazywam się Harris. Dla kapitana i dla przyjaciół - Robbie. Proszę się nie martwić. Oddam mu tę wiadomość, a pani niech wraca do domu.

- Tak zrobię. Miło było pana poznać, panie Harris.

- Nawzajem. Wcale się nie dziwię, że kapitan nie wie, co się z nim dzieje - powiedział z uśmiechem Robbie.

Skinęła mu głową i szybkim krokiem ruszyła w stronę posiadłości lady Edgeworthy.

Po posiłku Marianne zabrała się do czytania listów od sióstr. Lucy opisywała kwiaty, które ostatnio zasuszyła w swoim pamiętniku, wyprawę z mamą do Huntingdon i nową suknię.

*Tęsknię za tobą, najdroższa, ale mama tłumaczy mi, że muszę się z tym pogodzić, bo przecież pewnego dnia wyjdiesz za mąż i opuścisz dom. Obiecuj mi, że będę mogła z tobą zamieszkać, bo nie wyobrażam sobie, jak miałabym żyć, wcale cię nie widując. Szukuję dla ciebie prezent na urodziny. Nie zdradzę jednak, co to będzie, bo chcę, żebyś miała niespodziankę.*

Marianne kochała najmłodszą siostrę. Wiedziała, że Lucy musiała pisać ten list, będąc w kiepskim nastroju. Może padał deszcz? Uśmiechnęła się i sięgnęła po list Jo.

*Ciotka Wainwright odłożyła nasz wyjazd do Bath o kilka tygodni, bo wujek spadł z konia i złamał sobie rękę. To opóźnienie wcale mnie nie martwi.*

*Tym bardziej że wuj pozwolił mi do woli korzystać ze swojej biblioteki. Jest dobrym człowiekiem i szkoda, że ciotka nie umie tego docenić. Nie powinnam tego mówić, bo mama będzie na mnie zła, ale wiesz, co mam na myśli.*

*Ale dosyć o mnie. Jak ci się żyje u ciotki Berthy i kim jest tajemniczy pan Beck, o którym wspominałaś w ostatnim liście? Naprawdę myślisz, że grota jest używana przez przemytników? To takie podniecające! Szkoda, że mnie tam nie ma. Lucy też żałuje. Zaczęłyśmy szyć nową suknię, ale bez ciebie nie jest już tak wesoło. Poza tym żadna z nas nie szyje tak dobrze jak ty. Mam nadzieję, że dobrze się bawisz i wcale za nami nie tęsknisz.*

*Twoja kochająca siostra Jo*

Marianne ponownie przeczytała oba listy i w końcu odłożyła je do szkatułki, którą dostała od ojca. Dotknęła dłonią miękkiej czerwonej skóry i uśmiechnęła się do siebie. Miała szczęście, że przyszła na świat w domu, gdzie wszyscy się kochali.

Pomyślała, że byłoby wspaniale, gdyby ciotka Bertha zaprosiła do Sawlebridge mamę i Lucy. Gdyby Jo nie pojechała do Bath, mogłaby się z nimi zabrać. Postanowiła, że jeszcze dziś wieczorem do nich napisze.

Tym razem Drew wynalazł lepszą kryjówkę. Nie tylko widział rozmawiających, ale także słyszał, jak kłócili się o transport, który miał nadejść w ciągu kilku dni. Potem Joshua wrócił do groty, a rybak skierował się w stronę wsi. Drew poczekał, aż rybak zniknie mu z oczu, i dopiero wtedy wyszedł z ukrycia.

Przypuszczał, że towary, które znalazł w starej kopalni, są tylko niewielką częścią dostawy, a resztę ukryto gdzie indziej. Może w głębiej położonych korytarzach kopalni? Od początku ślady końskich kopyt wydawały mu się podejrzane. Wiedział już na pewno, że mężczyzna podający się za Hambletona to zhańbiony porucznik Humble, a to kazało mu uznać, że ślady zostawiono po to, żeby wprowadzić go w błąd. Humble liczył, że Drew będzie obserwował

starą kopalnię, a tymczasem on i jego wspólnicy bez żadnych przeszkód przejmą nowy transport. Kto wie, może tym razem Humble oczekiwał czegoś ważniejszego niż kontrabanda? A jeśli Drew miał rację, że przemysł jest przykrywką dla czegoś znacznie groźniejszego? Trzeba powstrzymać Hambletona. Ktoś z jego koneksjami mógł przekazywać Francuzom naprawdę ważne informacje.

Drew zastanawiał się, gdzie Hambleton się ukrywa. Na razie znalazł tylko jeden tunel prowadzący z groty w zarośla rododendronów przy strumieniu, ale wszystko wskazuje na to, że musi być jeszcze jeden. Drew nie mógł ruszyć na poszukiwania, bo Hambleton nie opuścił groty. Postanowił jednak wrócić później i sprawdzić, czy za pierwszym razem czegoś nie przeoczył.

Doszedł do wniosku, że przemytnicy przechowują towar na terenie posiadłości. Znajdowało się tu kilka nieużywanych budynków, ale Drew niczego w nich nie znalazł. Wiedział, że jego obecność w domu na klifie i częste spacerowanie po okolicy musiały zostać zauważone. Pewnie dlatego zjawił się tu Hambleton, który najwyraźniej był mózgiem całej szajki.

Jeśli Jack Harcourt się nie pomylił i to Humble vel Hambleton rzeczywiście wydał ich w Hiszpanii w ręce Francuzów, musiał być szefem.

Porucznik Humble był okrutnym i bezwzględnym człowiekiem, dla którego pieniądze były ważniejsze niż lojalność wobec przyjaciół. Jeśli ktoś stał mu na drodze, nie cofał się przed niczym, a to znaczyło, że Marianne i jej ciotka znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie.

Drew zamierzał trzymać się z daleka od Marianne. Wiedział, że jeśli będzie się z nią widywał, za którymś razem nie zapanuje nad sobą i nie poprzestanie na pocałunkach. Będzie musiał się oświadczyć, a nie chciał skazywać jej na życie ze sobą. Ta piękna, inteligentna i wrażliwa dziewczyna zasługiwała na lepszego od niego towarzysza życia. Chętnie uczyniłby z niej swoją kochankę, bo jak żadna inna kobieta silnie na niego działała, ale pannie z

dobrego domu nie mógł złożyć takiej propozycji. Mimo tych obiekcji nie potrafił o niej zapomnieć.

Drew przywołał się do porządku i nakazał sobie skupić się na schwyтaniu szpiega. Chodzący na wolności był groźny dla Marianne i lady Edgeworthy. Nie mówiąc o tym, że działał przeciwko krajowi.

Doktor Thompson przyjechał na herbatę wcześniej niż zwykle i poprosił o rozmowę z lady Edgeworthy. Marianne wyszła do ogrodu, żeby przynieść kwiaty do wazonu. Wcześniej ustaliła z ogrodnikiem, co może ścinać, żeby nie poczynić szkód. Miała już w koszyku kilka róż, gdy zauważyła, że do domu zbliża się kapitan Beck. Jego widok obudził w niej gwałtowną tęsknotę, serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem. Mimo to postanowiła traktować go chłodno i z dystansem, aby nie przyszło mu do głowy, że zamierza złapać go na męża.

- Dostał pan mój list?

- Tak. Dzisiaj rano przekonałem się, że Hambleton to osławiony porucznik Humble. Nie wiem, czy wstąpił do wojska pod fałszywym nazwiskiem, czy też podszył się pod kuzyna męża lady Edgeworthy. Czy ona dobrze go zna?

- O ile wiem, pierwszy raz widziała go dopiero kilka tygodni po śmierci Cedrica.

- Pani ciotka opłakiwała Cedrica i wtedy zjawił się Joshua, twierdząc, że jest kuzynem jej męża. Nie uważa pani, że to podejrzane?

- Wprawdzie ciotka odniosła wrażenie, że jest w nim coś fałszywego - wyjaśniła Marianne - ale wydaje się go lubić. Nie napisałam tego w liście. Otóż Hambleton przed wyjazdem usilnie namawiał ciotkę do wynajęcia mu domu i wyjazdu do Bath. Oczywiście ze względu na jej zdrowie. Bardzo ją tym zdenerwował.

- Potrzebny mu pusty dom - stwierdził Drew. - Najwidoczniej szykuje się duży transport i może nie chodzi tu wyłącznie o kontrabandę.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

Drew spojrział w oczy Marianne i się zawahał. Wiedział, że przy ostatnim spotkaniu sprawił jej przykrość, i dlatego teraz traktowała go z rezerwą.

- Nie powinienem tego mówić, bo ta wiedza może sprawić, że pani znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- Jeśli będę wiedziała, co mi grozi, mogę postępować ostrożniej.

- Podejrzewam, że Humble vel Hambleton, obojętne, jak się nazywa, szpieguje dla Francuzów. To bardzo zły człowiek. Jeśli dotąd próbował pozbyć się lady Edgeworthy w subtelny sposób, to tylko dlatego, że nie chciał budzić podejrzeń. Gdyby pani tu nie przyjechała, prawdopodobnie śmierć starszej pani uznano by za naturalną.

- Ciotka nigdy nie zrobiła mu nic złego. Przeciwnie, była dla niego bardzo dobra. Och, Drew, co zrobić? - Przejęta Marianne nie zdawała sobie sprawy, że użyła imienia kapitana Becka, zdradzając tym więcej, niż chciała czy powinna.

- Musi pani być czujna, nic innego nie pozostaje - odparł, z trudem powstrzymując się, by nie chwycić Marianne w ramiona. - Ten człowiek podszył się pod kuzyna męża lady Edgeworthy, żeby wkraść się w jej łaski, a następnie ją okraść i nawet zgładzić. Myślę, że nie liczył na to, iż starsza pani zechce mu zostawić posiadłość. A może wybrał ją ze względu na położenie domu, który doskonale odpowiadał jego potrzebom? Obojętne, jak było, na pewno nie wiedział, że pani tu zamieszka i swoją obecnością popsuje mu szyki.

- Uważa pan, że powinnam powiedzieć ciotce o naszych podejrzaniach?

- Jeszcze nie. Muszę złapać Hambletona i jego francuskiego łącznika na gorącym uczynku. Jeśli uda mu się zbiec, zmieni nazwisko i stracę jego ślad.

- Bardzo panu na tym zależy - zauważyła Marianne, czując, że Drew nie powiedział jej wszystkiego.

- Jestem przekonany, że to przez niego dwudziestu moich ludzi wpadło w zasadzkę i zginęło. Nasza misja była tajna, ale przeciwnik o niej się dowiedział i czekał. Ktoś nas zdradził i uważam, że zrobił to porucznik Humble. Odpowiadał

wtedy za transport amunicji, żywności i naszych bagaży. Na co dzień go nie dostrzegaliśmy. Dopiero kiedy zaopatrzenie nie docierało na czas, zaczynaliśmy narzekać. Może miał do nas żal. Nie wiem. Na pewno żałował, że wyrzucono go z wojska za oszukiwanie przy karcianym stoliku.

- Och, Drew... musiał pan rozpaczać po śmierci swoich ludzi.

- Nie mogłem się z tym pogodzić. Sam chciałem umrzeć. Gdyby nie dobry przyjaciel, pewnie bym zginął. To on uratował mi życie i pomógł dojść do siebie.

- Drew... - Marianne odruchowo położyła mu dłoń na ramieniu.

Temu nie zdołał się oprzeć. Porwał ją w ramiona, a kiedy spojrzała na niego z uśmiechem, zawładnął jej ustami. Przywarła do niego całym ciałem i poczuła, jak on drży. W tym momencie zrozumiała, że łączy ich coś więcej niż pożądanie. Zapomniała o urażonej dumie.

- Przepraszam, nie zapytałem o pozwolenie - powiedział Drew, opuszczając ramiona.

- Wątpię, bym odmówiła, choć to nie jest zachowanie przystające młodej skromnej kobiecie - odparła Marianne.

- Proszę się nie obawiać. Nie posunę się dalej, niż byś sobie życzyła. - Drew musnął jej policzek czubkami palców. - Nigdy w życiu nie wziąłem siłą kobiety, a dla ciebie mam zbyt dużo sympatii i szacunku, żeby przysparzać ci strapień. Dopóki ta sprawa się nie skończy, dopóty nie mogę o tobie myśleć. Jeśli Hambleton wróci, zachowaj daleko posuniętą ostrożność. On nie może się domyślić, że łączy nas coś więcej niż zwykła znajomość. Mógłby cię skrzywdzić.

- Będę uważać - obiecała Marianne.

Uśmiechnęła się, bo poczuła się szczęśliwa. Zrozumiała, że zakochała się w Drew, i zdecydowała, nic mu nie powie, dopóki on się nie oświadczy. A może nie powinna ukrywać swoich uczuć? - zadała sobie w duchu pytanie, ale zaraz



sama sobie odpowiedziała, że to byłoby nieprzyzwoite. Poza tym należało skupić się na zagrożeniu.

- Hambleton jest przekonany, że mu wierzę i niczego nie podejrzewam.

Dla dobra ciotki i własnego będę udawać, że nic nie wiem.

- Mam nadzieję, że lady Edgeworthy nie zamierza opuścić domu?

- Gdyby mnie tu nie było, pewnie by wyjechała. Jeśli zechcą skorzystać z piwnic, Hambleton będzie się starał, żebyśmy niczego nie usłyszały.

- Zastanawiam się, czy jednak nie byłoby lepiej, żeby lady Edgeworthy zdecydowała się na krótkie wakacje.

- Może... Obawiam się, że jeśli raz opuści dom, może tu nie wrócić.

- Poproś, aby uważała, w jakich słowach mu odmawia. Jeśli uznasz, że grozi wam niebezpieczeństwo, natychmiast wyślij do mnie kogoś z wiadomością.

- Obie zamykamy się na noc na klucz - powiedziała Marianne. Usłyszała bicie zegara. - Muszę wracać. Może wejdiesz na herbatę?

- Nie mogę. Wieczorem chcę zajrzeć do groty. Poprzednio znalazłem jeden tunel, ale jestem pewien, że musi być jeszcze drugi, prowadzący do piwnic pod domem.

- Myślę, że łatwiej byłoby na niego trafić, zaczynając szukanie od piwnic. Chyba był zamknięty od środka i przypuszczam, że te dziwne dźwięki, które mnie pewnej nocy obudziły, to był właśnie odgłos otwierania przejścia.

- Może i tak. Jednak najpierw spróbuję, czy uda mi się znaleźć wejście do tunelu od strony groty. Wkrótce znowu się tu zjawię, a na razie uważaj na siebie, moja słodka.

Marianne stała, patrząc, jak Drew odchodzi, i uśmiechała się do siebie. Nie wiedziała, jakie miał wobec niej zamiary na przyszłość, ale zatroszczył się o nią, i na razie zupełnie jej to wystarczało.

Kolejne dwa dni były chłodne i mokre. Deszcz nie padał bez przerwy i Marianne zaryzykowałyby spacer na klif, ale ciotka nie czuła się zbyt dobrze i

nie chciała zostać sama. Jane nadal mieszkała razem z nimi, bo zapowiedzi w kościele miały być czytane dopiero w przyszłą niedzielę.

- Nie chcielibyśmy czekać ze ślubem. Lady Edgeworthy pozwoli mi odejść po zapowiedziach, a do tej pory powinniśmy zdążyć z niezbędnymi przygotowaniem. Nie wyjeżdżamy na miesiąc miodowy, bo ani jemu, ani mnie na tym nie zależy. Simon jest bardzo zajęty. Ciągle nie mogę uwierzyć, że będę miała własny dom... - Jane się zarumieniła. - Oczywiście nie było mi tu źle...

- Wiem, że nic nie zastąpi własnego domu, i rozumiem, co czujesz.

- Jestem szczęśliwa. Nigdy nie przypuszczałam, że wyjdę za mąż. Mam wszystko, o czym mogłam marzyć.

Jane była szczęśliwa. Marianne widziała to po jej sprężystym kroku i promiennej twarzy. Lady Edgeworthy ucieszyła się, że Jane ułożyła sobie życie u boku ukochanego mężczyzny.

- Postanowiłam podarować Jane pięćset funtów w prezencie ślubnym - oznajmiła. - Zapiisałam jej taką kwotę w testamencie, ale myślę, że równie dobrze mogę dać te pieniądze już teraz. Zresztą i tak zamierzam zmienić testament.

- Jane będzie bardzo zadowolona.

- Tak sędzę. Przez lata była dobrą przyjaciółką i mam nadzieję, że nadal nią pozostanie. Zamieszka w pobliżu i liczę na to, że od czasu do czasu złoży mi wizytę. Posłałam po prawnika. Zmieniłam zdanie i już nie chcę, żeby to Joshua był głównym spadkobiercą.

- Decyzja należy do cioci - odparła Marianne. - Czy pan Hambleton wie, że ciocia planowała zostawić mu posiadłość?

- Nie jestem pewna. Nigdy mu o tym nie mówiłam. Kopia testamentu leży w sekretarzyku w małym salonie i wydaje mi się, że jeszcze przed twoim przyjazdem ktoś przeglądał tamte dokumenty.

- Zanim dolano trucizny do nalewki?

- Tak. Doszłam do wniosku, że byłam głupia. Po śmierci Cedrica czułam się bardzo samotna. Twoja matka była w żałobie, nie chciałam wam przeszkadzać w oplakiwaniu męża i ojca. Byłam przekonana, że Joshua jest moim przyjacielem, ale teraz nie jestem tego pewna.

- Widziała go ciocia przed śmiercią Cedrica?

- Nie... A czemu pytasz?

- Jest ciocia pewna, że to naprawdę kuzyn cioci męża?

- Nie miałam powodów, żeby kwestionować pokrewieństwo. - Lady Edgeworthy była zaskoczona. - To na pewno Joshua. Zna sprawy rodziny, choć rzeczywiście o pewnych rzeczach nie wiedział. Mówił, że gdyby nie wojsko i wyjazd do Hiszpanii, znacznie wcześniej by mnie odwiedził, ale jego ojciec i mój mąż byli skłóceni. Uwierzyłam mu. Myślisz, że pochopnie? - Starsza pani popatrzyła pytająco na Marianne.

- Ciocia potrzebowała kogoś, kto zastąpiłby Cedrica. Jeśli ten człowiek wykorzystał cioci dobre serce, to jest winny, bez dwóch zdań. Nie mam jednak całkowitej pewności, że pan Hambleton jest oszustem.

- Mąż miał kuzyna, ale nigdy o nim nie wspominał. Joshua pasuje wiekiem... - Lady Edgeworthy westchnęła. - Nie wynajmę mu swojego domu, ale może jednak po ślubie Jane pojedziemy do Bath? Kto wie, może tam mi się spodoba i sprzedam dom, ale na pewno nie uczynię tego wcześniej.

- Powinna ciocia robić to, na co ma ochotę. Z radością pojedę tam, gdzie ciocia zechce się wybrać.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Marianne. Chyba poleżę do obiadu, czuję się zmęczona.

- Na pewno nic cioci nie dolega?

- Na pewno. Ostatnio źle spałam. Zastanawiałam się, co powinnam zrobić, ale teraz, gdy podjęłam decyzję, na pewno zasnę.

Marianne poczuła się uspokojona. Lady Edgeworthy udała się do swojego pokoju, a ona zamieniła kilka słów z Jane i wyszła do ogrodu. Idąc przed siebie,

dotarła aż do stawu, a kiedy wracała, zauważyła na podjeździe powóz Joshui Hambletona. Wiedziała, że w zaistniałej sytuacji jego obecność zdenerwuje ciotkę, i była zła, że przyjeżdżał tu jak do swojego domu, bez zaproszenia czy choćby uprzedzenia o wizycie. Kiedy ponownie spojrzała w stronę domu, zobaczyła, że Joshua stoi przy powozie i wyraźnie na nią czeka.

- Wrócił pan - stwierdziła, nie chcąc, by podejrzewał, że wiedziała, iż nie był w Londynie. - Załatwił pan swoje sprawy pomyślnie?

- Tak, i teraz będę mógł zostać dłużej - odparł z uśmiechem. - Nie ma pani pojęcia, jak bardzo tęskniłem, żeby panią znów zobaczyć, droga panno Marianne. Jak czuje się lady Edgeworthy?

- Myślę, że dobrze - odparła. Nie mieściło się jej w głowie, jak można być tak fałszywym, ale udało się jej zachować spokój. Najchętniej powiedziałałaby mu, co o nim myśli, ale wiedziała, że dla dobra sprawy nie wolno jej tego zrobić. - Ciocia poszła do siebie, żeby odpocząć, a następnie przebrać się do obiadu, a ja wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Tym razem zamierzam panią lepiej poznać. Pamiętałem o pani i przywiozłem pani prezent.

- Nie znam pana na tyle dobrze, żeby przyjmować prezenty - odparła Marianne. - Przepraszam, muszę wracać do domu - oznajmiła i odeszła wyprostowana jak struna, z dumnie uniesioną głową.

Drew ostrzegał, by nie okazywała Hambletonowi niechęci, ale jego zachowanie działało jej na nerwy. Każde kolejne spotkanie utwierdzało ją w przekonaniu, że to właśnie on próbował wpędzić ciotkę Berthę w chorobę, a może nawet ją zabić. Jeśli wiedział, że odziedziczy posiadłość, mógł chcieć przyspieszyć tę chwilę, szczególnie że dom był mu prawdopodobnie potrzebny do niecznych celów.

Podejrzewała, że po zmianie testamentu Joshua dojdzie do wniosku, iż jego obecność tutaj nie jest niezbędna. Na razie musiała być bardzo czujna ze względu na dobro ciotki i własne.

Drew wpatrywał się w okna Sawlebridge House, domu lady Edgeworthy. Ostatnio zachodził tu wieczorami i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku, nie ujawniając przy tym swojej obecności. Do tej pory nie zauważył niczego niepokojącego, ale to go nie zaskoczyło, bo jeśli coś miało się dziać, to raczej w tunelu prowadzącym do piwnic.

Widział, jak w zgasła ostatnia świeca i dom pogrążył się w ciemności. Poczekał jeszcze kilka minut niepewny, co go trzyma na miejscu, i nagle zobaczył, że z domu ktoś wychodzi. Ciemna sylwetka szybko wtopiła się w mrok, ale instynkt podpowiedział Drew, że to Hambleton.

Zrozumiał, że nadeszła pora, by wezwać pomoc. Jeśli się nie mylił, Hambleton wkrótce wykona swój ruch. Musi być gotowy...

Następnego dnia Marianne wyszła z domu wcześniej rano. Chciała sprawdzić, czy Drew przypadkiem nie wybrał się nad strumień. Zamierzała mu przekazać wiadomość o powrocie Hambletona.

Przedzierała się przez zarośla, gdy nagle usłyszała czyjś głos. Cofnęła się w gęste krzewy i zamarła.

- Mówiłeś, że stara je ci z ręki - rozległ się męski głos - a mimo to wynajęła dom temu człowiekowi. Wiem, że on nie jest tym, za kogo się podaje. Kręci się po całej posiadłości, znalazł beczki, które kazałeś nam zostawić w kopalni...

- To go powinno zadowolić. Marianne rozpoznała głos Hambletona.

- Dopóki on i jego pomocnik obserwują starą kopalnię, możemy robić swoje.

- Składowanie towaru w tym domu jest niebezpieczne. Tunel nie był używany od ponad stu lat i miejscami wygląda tak, jakby miał się zawalić. Zrobiłem, co mogłem, żeby go zabezpieczyć, ale to może nie wystarczyć. Poza tym, chcąc nie chcąc, będziemy hałasować. A jeśli ktoś zejdzie sprawdzić, co się dzieje?

- Będę tam i wszystkim się zajmę - odparł uspokajająco Hambleton. -  
Prędzej czy później Beck i tak by odkrył starą kopalnię. Lepiej było  
naprowadzić go na jej trop, po czym zmienić kryjówkę.

- Pozbądź się ludzi z domu albo więcej nie będę z tobą pracował.

- Zrobiłem, co mogłem, ale stara nie dała się zastraszyć. Ta jej chrześciana  
jest jeszcze bardziej uparta. Przerzut musi się udać, Bartlet. Jeśli mnie  
zawiedziesz, to pożałujesz!

Marianne stała bez ruchu, czekając, aż mężczyźni się oddalą. Była zła, bo  
przekonała się, że jej podejrzenia były słuszne, i Joshua chce przechowywać  
kontrabandę w piwnicach Sawlebridge House. Zrozumiała, że jest gotów na  
wszystko, i ogarnął ją strach. Uznała, że Drew powinien o tym jak najszybciej  
się dowiedzieć. Nie było wyjścia, musi biec do domu na klifie.

Drzwi otworzył jej Robbie i od razu zrozumiał, że coś musiało się stać.

- Kapitan poszedł do Truro na spotkanie z przyjacielem, ale mogę mu  
przekazać wiadomość.

- Dziś rano podsłuchałam pewną rozmowę. Ukryłam się, nikt mnie nie  
widział. Hambleton kłócił się z jakimś mężczyzną, który się złościł, że towar,  
który niedługo ma przypłynąć, Hambleton chce ukryć w piwnicy domu mojej  
ciotki. Mówił, że to kłopotliwe i niebezpieczne.

- Jak tylko kapitan wróci, wszystko mu powtórzę. Na pewno nie chce pani  
na niego poczekać? Nie słyszała pani przypadkiem, kiedy ma przyjść ten  
transport?

- Niestety, nie. Muszę wracać do domu, nie chcę zostawiać ciotki samej  
na tak długo. Kapitan spotka się z przyjacielem?

- Tak. Napisał do niego list i poprosił o pomoc. Przyjaźnią się od lat, a  
nam przyda się dodatkowa para rąk.

- Niech pan powie kapitanowi, żeby uważał. Hambleton wie, że on tu  
czegoś szuka. Mogą podejrzewać, że pracuje dla urzędu podatkowego.

- Niech tak myślą - odparł ponuro Robbie. - Nie byłoby dobrze, gdyby prawda wyszła na jaw. Niech panienka już idzie i bardzo na siebie uważa.

Marianne pożegnała się i wyszła. Dopiero gdy znalazła się w pobliżu domu, przypomniała sobie słowa Robbiego i zaczęła się zastanawiać, co miał na myśli, mówiąc, że nie byłoby dobrze, gdyby prawda wyszła na jaw?

Wchodząc do domu, natknęła się na Jane, która niosła paczkę zawiniętą w brązowy papier.

- To suknia. Doktor Thompson zamówił ją dla mnie w Truro. Chciałabym pójść w niej do ślubu i przyszłam cię poprosić, żebyś pomogła mi ją zmierzyć. Może będą potrzebne poprawki i trzeba je będzie zaznaczyć szpilkami.

Marianne z przyjemnością zgodziła się pomóc.

- Chodźmy do małego salonu. Tam jest moje pudełko z robótkami i szpilki. Jakiego koloru jest twoja suknia?

- Chyba niebieska, bo doktor zawsze mówi, że dobrze mi w niebieskim. Otwórzmy pudło, to się przekonamy.

Jane ostrożnie rozwinęła papier i ich oczom ukazał się bladoniebieski jedwab. Suknia miała krótkie bufiaste rękawy, wysoką talię i wąską spódnicę obszytą dołem haftem z małych kryształków.

- Jaka śliczna! - zawołała zachwycona Jane.

- Może przymierzysz - zaproponowała Marianne. - Zamknę drzwi na klucz, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- Do tej pory nawet nie mogłam marzyć o takiej sukni. Jest dla mnie za elegancka.

Marianne podeszła do stolika przy oknie, na którym trzymała swoje przybory do szycia, i powiedziała:

- Doktor Thompson uważa cię za najpiękniejszą kobietę świata. I tak powinno być. Będiesz uroczą panną młodą, wierz mi.

- Jestem taka szczęśliwa! A ty jesteś dla mnie taka dobra! Lady Edgeworthy wcale się nie złości, że odchodzę.

- Obie się cieszymy, że ułożyłaś sobie życie.

Marianne pomogła Jane włożyć suknię i w paru miejscach spięła szpilkami nadmiar materiału.

- To naprawdę ja? - Jane wpatrywała się w lustro, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Mówiłam ci, że jesteś ładna, ale nie chciałaś mi wierzyć.

- Simon powiedział... - Jane przerwała i chwyciła Marianne w objęcia. - Tak się cieszę!

- Zasłużyłaś, aby być szczęśliwą. Idź na górę i zmień suknię. Przynies mi ją po południu, to zrobię poprawki.

- Naprawdę? Mogłabym to zrobić sama, ale ty o wiele lepiej dajesz sobie radę z igłą...

- Praca nad taką piękną suknią to przyjemność - zapewniła Marianne. - A teraz lepiej się pospieszmy. Za dziesięć minut ciotka zejdzie na dół.

Jane zebrała swoje rzeczy i w nowej sukni pobiegła na górę, a Marianne ruszyła jej śladem. Myjąc ręce i poprawiając włosy, rozmyślała o tym, że za trzy tygodnie Jane będzie mężatką. A kiedy ja będę mogła pomyśleć o ślubie? - zadała sobie w duchu pytanie. Drew nie tylko nie poprosił mnie o rękę, ale nawet nie wiem, kiedy go znowu zobaczę.

- Cieszę się, że pan mnie odwiedził - oświadczył major Barr, witając Drew. - Będziemy jeść tylko we dwóch, ale mam nadzieję, że nie będzie się pan nudził w towarzystwie starego żołnierza.

- Oczywiście, że nie, proszę pana - odparł z uśmiechem Drew i przyjął kieliszek madery. Upił łyk i z uznaniem skinął głową. - Dobra. Musi mi pan dać nazwisko swojego dostawcy.

- Sam ją sprowadziłem, i to legalnie - podkreślił major, patrząc gościowi prosto w oczy. - Ucieszyłem się, że chciał pan ze mną zjeść kolację. Chętnie witam gości, a szczególnie takich jak pan. Zdradzi mi pan, dlaczego tu



przyjechał? Ani przez chwilę nie wierzyłem w tę opowieść o potrzebie podreperowania zdrowia.

- Powinienem był wiedzieć, że pana nie nabiorę. - Drew się roześmiał. - Niestety, ci, których chciałem oszukać, najwyraźniej też nie uwierzyli w moją historyjkę.

- Chodzi o przemyt? Kapitan Rogers mówił mi ostatnio, że w ciągu ostatniego roku przemycono znacznie więcej towarów niż poprzednio. W tej części kraju zawsze były z tym problemy. Kilka tygodni temu trochę bardziej na północ zginął jeden z celników. Trafił na tak zwanych dżentelmenów wtedy, gdy przenosili towar. Postrzelili go, lecz nie umarł od razu. Zdażył jeszcze powiedzieć, że jeden z przemytników jest człowiekiem z Sawlebridge.

- Rogers to miejscowy celnik? Liczyłem, że poleci mi pan kogoś uczciwego, kogo w razie potrzeby można poprosić o pomoc. Myślę, że wykryłem szefa szajki, ale nie przyjechałem tu ze względu na przemyt. Ta sprawa jest znacznie poważniejsza.

- Tak też przypuszczałem. Cieszę się, że przyszedł pan z tym do mnie, panie Beck. Czy to pana prawdziwe nazwisko? - zapytał major Barr.

- Nazywam się Marlbeck, ale będę wdzięczny, jeśli zatrzyma pan tę informację dla siebie. Myślałem, że pomoże mi przyjaciel. Niestety, jest zajęty pilnymi sprawami. Dlatego będę potrzebował Rogersa i jego ludzi.

- Zna pan datę i miejsce następnego transportu?

- Znam miejsce i wiem, że to stanie się w ciągu najbliższych kilku dni. Ważne jest jednak, żeby szef tej szajki został zatrzymany na gorącym uczynku.

- Powie mi pan dlaczego?

- Jestem pewien, że ten człowiek szpieguje dla Francji. Jeśli mam rację, to przez niego zginęło w Hiszpanii dwudziestu moich żołnierzy.

- Teraz rozumiem. - Major kiwnął głową. - Znałem pana wuja. Nie twierdzę, że byliśmy przyjaciółmi, ale chętnie uścisknę pana dłoń.

- Wiedziałem, że mogę na pana liczyć. - Drew z uśmiechem wyciągnął rękę do majora. - Robbie, mój ordynans, to dobry człowiek i często służył mi pomocą w Hiszpanii, ale z tą sprawą nie damy sobie rady we dwóch.

- O to niech pan się nie martwi. Dopilnuję, żeby otrzymał pan wsparcie, kiedy nadejdzie potrzeba. Teraz możemy usiąść do kolacji. Mam nadzieję, że lubi pan wołowinę?

- Od kilku tygodni jestem zdany na kucharskie umiejętności Robbiego. Każda odmiana jest mile widziana - odparł z uśmiechem Drew.

## *Rozdział siódmy*

Następnego dnia Marianne wyszła do ogrodu, żeby ścinać świeże kwiaty do wazonu. Wracając do domu, spotkała pana Hambletona.

- Kobieta z kwiatami, co za piękny widok. Miło znów zobaczyć słońce, prawda?

- Bardzo miło. Planuję wybrać się na spacer, kiedy skończę układać kwiaty.

- Oczywiście. Wiem, że lubi pani spacerować, ale ostrzegam, żeby nie zbliżała się pani do klifu. Ostatnie deszcze mogły go naruszyć. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby coś pani się stało.

Jeśli był w Londynie, to skąd wiedział, że tu padało? Chętnie by go o to zapytała, ale w porę się pohamowała, pamiętając o konieczności zachowania daleko idącej ostrożności. W słowach Hambletona było wyraźne ostrzeżenie. Czyżby zauważył ją wtedy, gdy przypadkowo podsłuchiwała jego rozmowę z pomocnikiem? Kto wie?

- Uważa pan, że deszcze mogły naruszyć klif? Nie znam miejscowego wybrzeża, posłucham więc pana rady - odparła Marianne. - Słyszałam, że w tutejszej zatoce pływy szybko się zmieniają.

- Podobno. Nie sprawdzałem, bo rzadko bywam na plaży. Nie przepadam za przechadzkami, wolę jazdę konną. Chyba już o tym wspominałem.

Marianne miała wrażenie, że Joshua próbuje ją wybadać.

Nagle podszedł do niej bliżej.

- Podziwiam panią, Marianne. Bardzo dzielnie znosi pani rozstanie z rodziną i pobyt tutaj. Być może miała pani nadzieję na uczestnictwo w londyńskim sezonie.

- To przekracza nasze możliwości finansowe. Wybierałam się z siostrą mamy do Bath, ale wyszło inaczej i bardzo się z tego cieszę.

- Sugerowałem lady Edgeworthy, żeby przeniosła się do Bath i wynajęła mi posiadłość. Jestem pewien, że zmiana miejsca wywarłaby korzystny wpływ na jej zdrowie. Stan jej zdrowia może się pogorszyć po pani wyjeździe. Tym bardziej że pana Trevor wychodzi za mąż.

- Ciotka Bertha nie zostanie sama. Nie wyjadę dopóty, dopóki nie przyzwyczai się do kogoś, kto zastąpi Jane. Poza tym zawsze może mnie zastąpić jedna z sióstr. Chętnie to zrobią, a niewykluczone, że mama przeniesie się tu na stałe - oznajmiła Marianne, ciekawa, jak zareaguje Hambleton.

- Rozumiem... - Joshua był wyraźnie zawiedziony. - Sama pani wie, co dla pani najlepsze. Zakładam, że pewnego dnia zechce pani wyjść za mąż.

- Być może. Na razie nie spotkałam mężczyzny, którego mogłabym poślubić. Nikt też nie prosił mnie o rękę.

Joshua spojrział na nią uważnie, skłonił się i odszedł bez słowa.

Marianne miała świadomość, że go rozzłościła, ale nie zamierzała sprzymierzać się z nim przeciw ciotce. Niech lady Edgeworthy sama zdecyduje, gdzie chce mieszkać.

Wróciła do domu i zajęła się układaniem kwiatów w wazonach. Kilka róż zostawiła dla ciotki. Zamierzała zanieść je na górę, zanim wyjdzie na spacer. Nie zastanawiała się, dokąd poszedł Hambleton. Ucieszyła się, że wyszedł. Gdyby zniknął na dobre, czułaby się dużo bezpieczniej.

Nie chcąc, by ktoś zobaczył ich razem, Hambleton vel Humble i pisarz z kancelarii notariusza spotkali się w gospodzie.

- Jesteś tego pewien? - Popatrzył na pisarza wyraźnie zirytowany.

Płacił mu od kilku miesięcy w zamian za informacje o wszelkich zmianach w testamencie lady Edgeworthy.

- Dostaliśmy list, w którym wszystko zmienia. Tobie zostawia tysiąc funtów. Posiadłość ma być podzielona pomiędzy Marianne Horne, jej siostry i matkę. Główną spadkobierczynią jest teraz Marianne Horne. Po śmierci starszej pani to ona otrzyma Sawlebridge House, ziemię i trochę gotówki, a także dom w Londynie. Pozostałe nieruchomości zostaną podzielone pomiędzy młodsze siostry. Będzie to jakieś sto dwadzieścia tysięcy funtów.

- Do diabła! Dopóki ta pannica nie przyjechała, stara jadła mi z ręki. Wtrąca się do wszystkiego, wścibskie babsko!

Był wściekły. Sytuacja się skomplikowała, a razem z najbliższym transportem przyplynie jego francuski łącznik. Czeka ich sporo pracy, więc Francuz zostanie tu przez kilka tygodni. Należy zapewnić mu bezpieczne schronienie. Można by się pozbyć Marianne, podobnie jak Cedrica. To nie jest trudne do przeprowadzenia, ale prawdopodobnie wzbudzi podejrzenia.

Gdyby udało mu się doprowadzić do stopniowego pogarszania się zdrowia lady Edgeworthy i w końcu do jej śmierci, odziedziczyłyby majątek, a tym samym pozbyłyby się problemów. Nie mógł tak po prostu pozbawić życia lady Edgeworthy, bo znalazłby się w kręgu podejrzanych, a do tego nie wolno mu dopuścić.

Joshua Hambleton zatrudnił go u siebie jako sekretarza. Humble przepracował kilka miesięcy, a kiedy jego pracodawca zmarł na gorączkę, postanowił zająć jego miejsce. Hambleton opowiedział mu o bogatej ciotce i o rodzinnych kłótniach, które przekreśliły jego szanse na spadek.

Humble zabrał wszystkie rzeczy Hambletona, jego ubrania i pieniądze, których było bardzo niewiele, i pojechał do Sawlebridge, żeby zorientować się

w sytuacji. Podczas tej pierwszej wizyty nie podawał się jeszcze za Joshuę i właśnie wtedy poznał Cedrica. Wypili razem trochę wina. Cedric zaprosił go do siebie na nocleg i w drodze do domu na klifie Humble skorzystał z sytuacji, by usunąć przeszkodę, jaka stała mu na drodze do zdobycia fortuny. Wtedy nie wiedział o istnieniu rodziny Horne'ów, a wyglądało na to, że właśnie ona może pokrzyżować mu plany.

Joshua miał wykwintne gusta, a to kosztowało. Na razie dysponował pieniędzmi, które zarobił na przemyśle i szpiegostwie. Ciągłe jeszcze utrzymywał kontakty w armii i od czasu do czasu za parę złotych monet sprzedawano mu strzępki różnych informacji. Ostatnio jednak nie udało mu się zdobyć nic naprawdę ważnego. Właśnie dlatego tym razem Raoul przyjeżdżał na dłużej. Chciał się włamać do jednego z rządowych biur i wykraść dokumenty, które jego zdaniem miały ogromną wagę. Joshua zdawał sobie sprawę, że zarówno za przemyt, jak i za szpiegostwo grozi stryczek. Kiedy w Hiszpanii pierwszy raz wziął złoto od Raoula, nie wiedział, że jego zdrada pociągnie za sobą śmierć wielu ludzi. Miał na rękach ich krew i czasem nocą dręczyły go koszmary.

Świadomość, że przez niego zginęło tylu ludzi, nie dawała mu spokoju. Zaczął pić i oszukiwać w karty, a w rezultacie wyrzucono go z wojska. Uważał, że potraktowano go jak śmiecia. Chciał zemścić się na oficerach, traktujących go z góry, pragnął żyć tak jak oni, a do tego było mu potrzebne nowe nazwisko i bardzo dużo pieniędzy.

Przemyt nie przynosił takich zysków; trzeba było opłacać wielu ludzi. Miał nadzieję, że po śmierci lady Edgeworthy będzie mógł z tym skończyć. Ponieważ zamiary się nie powiodły, postanowił sprowadzić ogromny transport, dzięki któremu wzbogaci się na tyle, że więcej nie będzie ryzykował.

Zrobił wszystko co w jego mocy, żeby pozbyć się starszej pani z domu na kilka tygodni, ale ona uparła się zostać, a teraz w dodatku zmieniła testament.

Najchętniej udusiłby ją gołymi rękami, ale to doprowadziłoby go wprost na stryczek. Zrozumiał, że ma jeszcze jedną szansę, a raczej cię szansy. Marianne Horne miała odziedziczyć majątek lady Edgeworthy i do tego jest piękną dziewczyną. Powiedziała mu, że nie spotkała jeszcze mężczyzny, za którego chciałaby wyjść za mąż. A może zmieni zdanie? Wydawało mu się, że zrobił na niej dobre wrażenie...

Postanowił poprosić ją o rękę. Nie zamierzał długo trwać w tym związku. Jak tylko dostanie pieniądze, żona zginie w wypadku, a on zniknie, by pojawić się gdzie indziej pod nowym nazwiskiem.

Hambleton wyszedł z gospody. Mężczyzna, z którym rozmawiał, został przy stole i patrzył nieruchomym wzrokiem w płonący na kominku ogień. Był wyraźnie niezadowolony ze spotkania.

Drew nie słyszał, o czym ci dwaj rozmawiali, ale wezwał oberżystę i kazał przynieść do stolika dzbanek piwa i butelkę rumu. Tymczasem rozmówca Hambletona wstał i zbierał się do wyjścia.

- Poczekaj, przyjacielu! - zawołał Drew i właśnie w tej chwili oberżysta przyniósł zamówione trunki. - Możesz mi poświęcić kilka minut?

- O co chodzi? - Bill Symonds chytrze zmrużył oczy. Obcy miał na sobie ubranie rybaka, ale praca u notariusza nauczyła Billa rozpoznawać ludzi z towarzystwa. Hambleton na pewno do nich nie należał. - To za mało, żeby kupić moją wiedzę - powiedział Bill, spoglądając na piwo i rum.

- Skąd przypuszczenie, że chcę od ciebie jakichś informacji? - Drew uniósł brwi.

- Gdybyś nie chciał, nie kupowałbyś mi rumu. Możemy porozmawiać, ale informacje kosztują.

Drew skinął głową i położył na stole dwa złote suwereny.

- Powiedz mi coś ciekawego o człowieku, z którym rozmawiałeś. Zdradź mi jego prawdziwe nazwisko, jeśli je znasz, i czym go tak rozzłościłeś. Dostaniesz więcej złota.

Symonds sprawdził zębami monety i wsunął je do kieszeni.

- Każe się nazywać Joshua Hambleton, ale wątpię, żeby to było jego prawdziwe nazwisko. Hambletonowie to arystokracja, a ten człowiek nie jest szlachcicem, chociaż usiłuje stwarzać pozory. Chciał poznać szczegóły czyjegós testamentu.

- Pracujesz dla notariusza, który sporządził ten testament, tak?

- Jestem słabo opłacanym urzędnikiem.

- Hambleton zapłacił ci za informacje?

- Za pierwszym razem był zadowolony, bo starsza pani niemal wszystko mu zostawiła. Najwidoczniej zdążyła go poznać, ponieważ zmieniła zdanie i przepisała majątek na chrześnicę i zarazem cioteczną wnuczkę. Nie mogę wyjawiać nazwiska klientki.

- Za późno na wyrzuty sumienia - zadrwił Drew. - Chyba wiem, o kogo chodzi. Jeśli nie chcesz stracić pracy, w przyszłości bardziej uważaj - dodał i rzucił na stół kolejne dwie złote monety.

W drodze do domu na klifie Drew rozmyślał o Marianne. Znalazła się w ogromnym niebezpieczeństwie. Bał się, że pozbawiony majątku lady Edgeworthy Hambleton uczyni desperacki krok.

Lady Edgeworthy omawiała jakieś sprawy z notariuszem we frontowym salonie i poprosiła Marianne, żeby ją zostawiła samą. Dziewczyna skorzystała z okazji i wyszła do ogrodu. Zbliżały się urodziny mamy. Chciała jej zrobić prezent i postanowiła namalować pejzaż Sawlebridge. Najważniejsze to zrobić szkic, póki dopisuje pogoda, uznała. Później może to pokolorować pastelami i oprawić. Przesłanie upominku będzie sporo kosztować, ale wiedziała, że namalowany przez córkę obraz sprawi mamie dużo większą radość niż prezent kupiony w sklepie.

Zaczęła szkicować, gdy nagle cień przesłonił jej kartkę. Odwróciła się i ujrzała stojącego za swoimi plecami Hambletona. Skinęła mu głową, starając się nie okazywać irytacji.

- Obawiam się, że rano mogłem panią urazić.

- Nie powinien pan rozmawiać ze mną o sprawach, o których decyduje moja ciotka - odparła, starannie dobierając słowa.

- Ma pani rację - przyznał i usiadł obok niej na ławce. - Przyszedłem panią przeprosić. Przekroczyłem dozwoloną granicę wyłącznie dlatego, że troszcę się o dobro lady Edgeworthy.

Zachowywał się i mówił jak dżentelmen. Gdyby nie wiedziała, że to skończony łajdak, niewykluczone, że dałaby się zwieść jego pozornej szczerości.

Nie był szpetny i jeśli chciał, potrafił być miły. Nic dziwnego, że starsza, samotna kobieta tak szybko uległa jego urokowi.

- Lepiej nie wracajmy do tego. Nie musi mnie pan przepraszać, ale ciotka była trochę zdenerwowana.

- Skoro tak, to więcej nie poruszę tego tematu. Jestem pod wrażeniem pani licznych talentów i mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za impertynenta. Panna Trevor nie mogła się nachwalić, jak wspaniale poprawiła pani jej suknię ślubną. Wiem, że pani gra na pianinie, maluje... Piękny szkic...

- To będzie prezent urodzinowy dla mojej mamy. Pokoloruję go, oprawię i wyślę pocztą.

- Dużo podróżuję w interesach. Mógłbym go zawieźć do pani mamy.

- Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu, chociaż to bardzo miła propozycja.

- Zrobię wszystko, żeby sprawić pani przyjemność. Wie pani o tym. - Niespodziewanie Hambleton ujął dłoń Marianne i ukląkł na jedno kolano. - Wspominałem o podziwieniu, jakim panią darzę. Wiem, że nie znamy się zbyt dobrze, ale moje uczucia upoważniają mnie, bym z pełnym szacunkiem zapytał, czy zechce mi pani uczynić zaszczyt i zostać moją żoną?

Marianne zaniemówiła ze zdziwienia, a kiedy doszła do siebie, wstała. Była zarazem zdeglustowana i przestraszona, lecz starała się to ukryć.



- To dla mnie zaszczyt - odparła spokojnie. - Jednak, jak pan powiedział, nie znam pana na tyle, żebym mogła rozważyć taką propozycję.

- Mam jakąś szansę? - zapytał, podnosząc się z klęczek. Popatrzył na Marianne tak, że poczuła na placach lodowaty dreszcz.

- Proszę nie odbierać mi nadziei.

- Obawiam się, że muszę to zrobić. Proszę na mnie nie naciskać.

- Nie jestem wart nawet tego, żeby pani się zastanowiła?

- Nie chciałam pana urazić, ale... nie lubię pana na tyle, żeby za pana wyjść - odrzekła zniecierpliwiona, jednak zaraz pożałowała tych słów.

Zrozumiała, że ma w nim zaprzysięgłego wroga.

- W tej sytuacji nie będę pani dłużej narzucał swojego towarzystwa - oznajmił lodowatym tonem Hambleton i odszedł.

Marianne zebrała swoje rzeczy i wróciła do domu. Rozmowa z Hambletonem wyprowadziła ją z równowagi. Była zbyt zdenerwowana, żeby rysować. Postanowiła pójść na spacer.

Nogi same ją poniosły w stronę klifu. Nie była tu od jakiegoś czasu i od trzech dni nie widziała się z Drew, za którym bardzo tęskniła. Nagle go zobaczyła i ogarnęła ją niewysłowiona radość.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć? - zapytał.

Marianne poczuła, że musi mu opowiedzieć, co się stało. Kiedy to zrobiła, Drew powiedział:

- To bezczelność prosić cię o rękę. Nie jest godzien całować twoich stóp. Chętnie nauczyłbym go manier.

- Jest przemytnikiem i próbował doprowadzić do śmierci lady Edgeworthy! Zresztą nawet gdyby nie był złoczyńcą, nie poślubiłabym takiego obleśnego typa!

- Mam nadzieję, że nie odmówiłaś mu w ten sposób?

- Bardzo starannie doбираłam słowa. Dopiero pod koniec wyrwało mi się, że nie lubię go na tyle, by za niego wyjść. To go rozzłościło. Czy to było bardzo niegrzeczne?

- Raczej tak - odparł Drew. - Nie użalaj się nad nim. Nie bez powodu zaproponował ci małżeństwo.

- Co masz na myśli?

- Zdobyłem ważną informację, lecz sądzę, że to nie ja powinienem przekazać ci tę istotną wiadomość. Jedno jest pewne, i to mnie martwi. Ze strony Hambletona może grozić ci niebezpieczeństwo, szczególnie że odrzuciłaś jego oświadczenia.

- Chodzi ci o testament ciotki? Wiem, że zamierzała go zmienić na korzyść naszej rodziny. Z tym że Hambleton też miał coś dostać. Złożysz nam wizytę? Ciotka i Jane bardzo się ucieszą.

- Odprowadzę cię kawałek. Z tego całego zamieszania wynikła jedna dobra rzecz. Hambleton nie dziedziczy po twojej ciotce i na szczęście nie musi dążyć do uśmiercenia jej.

- Też o tym pomyślałam. Tylko czy on wie o tej zmianie?

- Wie, bo przekupił pisarza pracującego u notariusza. Popełnił błąd, ponieważ za wiadomość o zmianie testamentu zapłacił tylko pół suwerena. Ja dałem więcej.

- Nie przyszło ci do głowy, że ryzykujesz własne życie? Naprawdę myślisz, że do tej pory nikt nie zwrócił uwagi na twoje poczynania?

- Noszę broń. Kiedyś nie liczyłem się ze swoim życiem, ale tamte czasy minęły. Obiecuję, że będę ostrożny. Natomiast poważnie martwię się o twoje bezpieczeństwo. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. Namawiałbym cię na powrót do domu, ale wiem, że nie zostawisz lady Edgeworthy.

- Byłabym kiepską przyjaciółką, gdybym opuściła ją w potrzebie. Poza tym Jane wychodzi za mąż już za dwa tygodnie. Chcę jej pomóc w przygotowaniach i być na ślubie.

- Tak przypuszczałem. Nie zdziw się, jeśli zauważysz, że ktoś za tobą chodzi. To będzie Robbie albo ja lub ktoś z ludzi, których musiałem poprosić o pomoc.

- Dziękuję, że się o mnie troszczysz. Przypuszczam, że Hambleton skupi się na swoich sprawach. Podejrzewam, że szykuje coś wyjątkowego, i dlatego tak usilnie starał się nas pozbyć z domu.

- Może doszedł do wniosku, że gra stała się zbyt niebezpieczna, by ją ciągnąć. Gdybym był na jego miejscu, zaryzykowałbym ostatni raz, ale na dużą skalę, tak żeby mnie to ustawiło na całe życie.

- Myślę, że on zaplanował właśnie coś takiego. Przestał namawiać ciotkę na wyjazd do Bath. Może zmienił zdanie i nie zamierza korzystać z piwnic.

- W piwnicach musi być ściana zamykająca dostęp do tunelu i zapewne jest mechanizm, który ją otwiera. Większość sekretnych przejść i ukrytych pokoi budowano za czasów Tudorów, aby ocalić katolickich księży. Szukałem wejścia do tunelu od strony klifu, ale bez skutku. Pewnie łatwiej byłoby je znaleźć od strony domu. Oczywiście to nie znaczy, że masz tym się zająć. Może lady Edgeworthy pozwoli mi zajrzeć do piwnicy?

- Z pewnością. Miejmy nadzieję, że znajdziesz przejście. Zamkniemy je tak, żeby nikt nie mógł tamtędy się dostać do domu.

- Zapytasz, czy mogę przyjść na przykład jutro?

- Jak tylko zostaniemy same. Liczę na to, że Hambleton nie będzie teraz spędzał z nami dużo czasu. Znalazł się w niezręcznej sytuacji, więc, kto wie, może znowu nas opuści?

- Daj mi znać, jeżeli wyjedzie. Przypuszczam, że przemycany towar przyplynie lada dzień i poczyniłem pewne przygotowania. Może uda się ich złapać zaraz po wylądowaniu.

Marianne poczuła, że robi się jej zimno.

- Możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie. Proszę, uważaj na siebie.

- Nie martw się, moja słodka nimfo. Będę ostrożny, obiecuję. - Drew musnął palcami policzek Marianne.

- Nie powinienes tak mnie nazywać - skarciła go, choć serce biło jej przyspieszonym rytmem. Miała nadzieję, że Drew ją pocałuje, ale on tylko się uśmiechnął.

- Muszę już iść. Jesteś blisko domu, tutaj nie powinno się już nic wydarzyć. Zobaczymy się jutro. Gdybyś nie mogła przyjść, przyslij wiadomość, że masz inne plany. Będę wiedział, o co chodzi.

- Oczywiście. Do jutra.

Drew odwrócił się i odszedł bez słowa.

Marianne patrzyła za nim przez chwilę, a potem westchnęła i ruszyła w stronę posiadłości. Kiedy była blisko domu, zobaczyła, że wychodzi z niego major Barr, jeden z najstarszych przyjaciół ciotki.

- Miło pana widzieć, majorze. - Uśmiechnęła się do niego z sympatią. - Był pan z wizytą u lady Edgeworthy?

- Ucieliśmy sobie pogawędkę. Wyjawiła mi, że pan Hambleton nie jest już jej głównym spadkobiercą. Pochwaliłem tę decyzję. Hambleton wydaje się miły na pierwszy rzut oka, ale mam co do niego pewne podejrzenia. Poradziłem jej, żeby go więcej u siebie nie przyjmowała.

Marianne nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przypuszczała, że major dobrze wie, co się dzieje, ale nie była pewna, skąd czerpie wiedzę.

- To są sprawy mojej ciotki. Sama musi zdecydować, jak postąpić.

- Ten impertynent próbował ją zmusić do sprzedaży domu. Na szczęście miała w pani oparcie i nie uległa jego naciskom. Mam nadzieję, że ostatecznie nie sprzeda domu, ale gdyby co, zaproponowałem, że go od niej odkupię i dam dobrą cenę. Trudno dziś o oddanych przyjaciół. - Major uśmiechnął się do

Marianne. - Czy to Beck panią odprowadzał? To przyjaciel, jakiego chciałoby się mieć przy sobie w razie kłopotów.

- Też tak uważam - przyznała.

- Muszę już iść. Chciałem się tylko upewnić, że lady Edgeworthy dobrze się miewa. Powiadomiła mnie, że Hambleton wyjechał tuż przed moją wizytą. Najwidoczniej miał do załatwienia pilne sprawy.

- Dziękuję, że jest pan tak dobrym sąsiadem. Dawno minęła pora herbaty, ciotka może się niepokoić, co się ze mną stało.

- U lady Edgeworthy jest teraz lady Smythe. Zostawiłem je, żeby mogły sobie poplotkować.

Marianne poszła do swojego pokoju, żeby uładzić włosy. Po paru minutach zeszła na dół. Zatrzymała się przed drzwiami salonu, żeby poprawić suknię, i nagle usłyszała donośny głos lady Smythe wypowiadający imię „Drew”.

- Jestem tego zupełnie pewna - mówiła lady Smythe. - Pamiętam go z pobytu w Londynie. Nie przedstawiono nas sobie, ale ktoś mi go pokazał i poinformował, że to markiz Marlbeck. Stary markiz, jego wuj, zmarł przed kilkoma miesiącami i zostawił mu tytuł...

W tym momencie Marianne przypomniała sobie spotkanie z dzieciństwa. Chłopiec wyjaśnił, że mieszka u wuja. Powinna była wcześniej na to wpaść, ale Drew nie był podobny do wuja. Gdyby nie usłyszała słów lady Smythe, sama by się nie domyśliła.

Nie mogła pojąć, dlaczego Drew zataił przed nią prawdziwe nazwisko. Najwidoczniej nie ufał jej na tyle, by wyjawić, kim jest. Przecież mógł być pewny, że Marianne go nie wyda.

Przypuszczała, że jest dżentelmenem ze średnimi dochodami, byłym oficerem. Teraz, gdy dowiedziała się, że to markiz Marlbeck, zrozumiała, że o ślubie nie ma mowy. Nie mogła oczekiwać, że arystokrata z tak znamienitego rodu ożeni się z córką pastora.

Znała Marlbeck Manor, który odziedziczył Drew. Kilka razy uczestniczyła w dorocznych przyjęciach ogrodowych, a raz wzięła udział w przyjęciu, które markiz wydał dla swoich sąsiadów. Nigdy jednak nie zaproszono jej tam na obiad ani na bal. Marlbeck Manor był ogromny i wypełniony dziełami sztuki, obrazami, cennymi przedmiotami, które markiz kolekcjonował. Pamiętała, jak pewnego dnia zajechał powozem pod plebanię i rozdawał dzieciom srebrne monety. Pozwolił też pastelowi i jego rodzinie korzystać ze swoich lasów. Na tym jednak ich znajomość się kończyła.

Drew, dziedzicząc tytuł i ogromny majątek, stał się jednym z najbogatszych ludzi w Anglii.

Poczuła zły ciskający się do oczu. Drew powinien jej wyjawiać prawdę. Jak mógł wzbudzić w niej nadzieję? Przecież wiedział, że ona nie jest odpowiednią kandydatką na żonę dla markiza. Łudziła się, że może jednak... a on od początku wiedział, że to niemożliwe. Nawet gdyby sam był zdecydowany ją poślubić, rodzina i przyjaciele nie dopuściliby do tego małżeństwa. Zresztą, on tylko z nią flirtował...

Sama jest sobie winna, niepotrzebnie się oszukiwała. Drew nie powiedział niczego, co dawałoby jej prawo myśleć, że zamierza się jej oświadczyć. Pewnie chciał jej zaproponować, by została jego kochanką, i był pewien, że ona się zgodzi. Wiele dziewcząt w jej sytuacji nie zastanawiałoby się ani chwili.

Przypomniała sobie ich ostatni pocałunek i poczuła, że palą ją policzki. Gdyby wtedy poprosił, ona by mu uległa, rezygnując w imię miłości z szansy na przyzwoite życie. Myśląc o tym, czuła wzbierającą złość. Odeszła spod drzwi salonu. Nie czuła się na siłach stawić czoło ciotce i lady Smythe.

Drew prosił, by dała mu znać, kiedy Hambleton wyjedzie, uznała jednak, że to może poczekać do rana. Zabronił jej też schodzić do piwnic, ale dziś nie była w nastroju, by pokornie podporządkować się jego zakazom.

Skoro Hambleton wyjechał, nic jej nie groziło. Mogła spokojnie zacząć poszukiwania. Postanowiła, że dopóki czegoś nie znajdzie, nie powie ciotce ani

słowa. Jeśli uda się jej odszukać wejście, zablokuje je od środka i nikt nie będzie mógł używać ich piwnic w niecnym celu.

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo cicha - stwierdziła lady Edgeworthy, kiedy po kolacji piły herbatę w salonie. - Martwisz się czymś?

- Nie ciociu, nic mi nie jest. Przepraszam, jeśli byłam nieuważna, ale trochę bolała mnie głowa.

Marianne nie mogła się przyznać, że przeżywa zawód. Zdała sobie sprawę z tego, że za bardzo polubiła Drew. Nie bardzo wiedziała, jak sobie poradzić z zasłyszczanymi rewelacjami.

Drew nie robił jej żadnych nadziei. Jest arystokratą, a ona córką zwykłego pastora, młodszego syna prowincjonalnego szlachcica. Może chciał ją uwieść, a może wystarczyło mu skradzenie jej kilku pocałunków?

Poczuła pod powiekami łzy, ale nie zamierzała płakać, przecież nie jest głupią gęsią. Przetrwiała wieczór, a gra na pianinie pozwoliła jej dać ujście tłumionym emocjom. Brawurowe wykonanie kilku utworów wywołało gorące brawa i ciotki, i Jane.

- Gdybym grała choć w połowie tak dobrze jak ty... - Jane westchnęła. - Będę za tobą tęsknić, kiedy wyjdę za mąż. Musisz obiecać, że czasami mnie odwiedzisz.

- Chętnie, ale ty też będziesz tu zawsze miłe widziana, prawda ciociu?

- Oczywiście - przytaknęła lady Edgeworthy i oznajmiła, że pragnie się położyć. - Odprowadzisz mnie, Marianne? Chcę ci jeszcze coś powiedzieć.

Kiedy znalazły się w sypialni lady Edgeworthy, starsza pani usiadła w wygodnym fotelu i uśmiechnęła się do Marianne.

- Wreszcie możemy spokojnie porozmawiać. Zmieniłam testament i teraz ty jesteś główną dziedziczką. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły, ale chcę, żebyś wzięła to już teraz.

Marianne z ociąganiem przyjęła płaskie pudełko. Uważała, że ciotka jest i tak bardzo szczodra. Kiedy podniosła wieczko, zobaczyła piękne perły. Sądząc z rozmiaru, musiały być bardzo drogie.

- Nie powinna mi ich ciocia dawać. Z pewnością są bardzo cenne.

- To był prezent ślubny od mojego męża - wyjaśniła lady Edgeworthy. - Od dawna ich nie noszę. Takie perły pasują do młodej dziewczyny, nie do starej kobiety. Znasz moją sytuację. Komu mam je dać, jeśli nie tobie?

- Z przyjemnością je wezmę i bardzo dziękuję, ale nie liczyłam na taki prezent. Już i tak dostałam od cioci bardzo dużo, a poza tym nie przyjechałam tu po prezenty, tylko dlatego, że ciocię kocham...

- Dobrze o tym wiem. - Lady Edgeworthy ciepło spojrzała na Marianne. - Różnica między tobą a tym draniem... Major Barr twierdzi, że to drań. Nie wiem, jak mogłam dać się tak oszukać. To już skończone. Dziś rano, kiedy wyjeżdżał, powiedziałam mu, że jeśli zechce znów przyjechać, musi poprosić mnie o zgodę. Nie był z tego zadowolony, ale nie chcę, żeby traktował mój dom jak swój. Nie życzę sobie więcej go tu widzieć.

- Wyobrażam sobie, jaki był zły. Myślę, że tym razem pozbyła się go ciocia na dobre. Będę spokojniejsza, wiedząc, że go nie ma - wyznała Marianne.

- Nie zamierzam wynająć mu domu ani posiadłości, ale chyba powinnam zasięgnąć porady w sprawie zarządzania majątkiem. Postanowiłam napisać do twojej mamy. Chcę, żebyśmy się spotkały w Bath. Wszystkie razem, a potem... zobaczymy, jak sprawy się ułożą. Wyjedziemy po ślubie Jane, co ty na to?

- Lucy będzie szczęśliwa i mama też. Gdyby nie wypadek wuja Wainwrighta, Jo i ciotka Agatha byłyby już w Bath.

- Właśnie ze względu na Jo postanowiłam pojechać do Bath. Musimy wszystkie się spotkać. Zastanawiam się, czy nie poprosić twojej mamy, żeby się tutaj przeprowadziła, ale nie wiem, czy nie przywiązała się już do nowego miejsca.



- Nie mogę mówić w imieniu mamy, ale wydaje mi się, że chętnie tu z ciocią zostanie. Z przyjemnością pojedzie do Bath. Przez lata mieszkaliśmy w dużym wiejskim domu i teraz, kiedy musiałyśmy przenieść się do Lodge, mama jest zmęczona ciasnotą. Poza tym... - Marianne urwała, bo uznała, że nie powinna wspominać o poniżeniu, jakie odczuwają, żyjąc na łaskawym chlebie ciotki Agathy.

- Tak jak wspomniałam, przyszłość zależy od wielu czynników. Jeśli chodzi o Bath, decyzję możemy podjąć w tej chwili. Mam do nich napisać?

- Oczywiście! Do wyjazdu skończę obraz i kiedy się spotkamy, dam go mamie w prezencie urodzinowym.

Marianne pożegnała ciotkę i poszła do swojego pokoju. Wiedziała, że po doprowadzeniu do końca sprawy przemytu Drew wróci do Marlbeck Manor. Ona w tym czasie wyjedzie z rodziną do Bath i... Gdyby nie pozwoliła mu się całować, nie byłaby teraz zawiedziona i nieszczęśliwa. Mogła nie dopuścić do tego, żeby Drew wykorzystał jej uczucia, a skoro tego nie zrobiła, sama jest sobie winna.

Dosyć! Nie pora na takie rozmyślenia. Trzeba się skupić na tym, co zamierza zrobić w nocy. Znajdzie i zablokuje wejście do tunelu. To postanowione. Dopiero wtedy domownicy poczują się bezpiecznie.

## *Rozdział ósmy*

W domu już od jakiegoś czasu panowała cisza. Marianne, całkowicie ubrana w obawie, że piwnicach może być zimno, wzięła świecę i wyszła na korytarz. Wiedziała, że o tej porze służba powinna być w łóżkach w pokojach na najwyższej kondygnacji domu. Ostrożnie zeszła po schodach i skręciła w korytarz prowadzący do kuchni i pomieszczeń pomocniczych.

Marianne często zaglądała do kuchni, by nawiązać dobre stosunki ze służbą. W jej domu rodzinnym służący byli traktowani niemal jak członkowie rodziny. Pracownicy lady Edgeworthy szybko zauważyli, że Marianne jest zawsze uśmiechnięta i grzeczna, a do swojej ciotki odnosi się ciepło i z dobrocią. Takie postępowanie zdobyło jej sympatię wśród pokojówek i lokajów. Byłaby zdziwiona, gdyby mogła usłyszeć, co mówili o niej państwo Jensen w zaciszu swojego saloniku. Pan Jensen uważał, że taka kobieta jak panna Horne jest stworzona do lepszego życia, i twierdził, że wcale się nie zdziwi, jeśli pewnego dnia wyjdzie ona bardzo dobrze za mąż.

Marianne przeszła przez idealnie sprzątniętą kuchnię i stanęła pod drzwiami prowadzącymi do piwnicy, w której trzymano wino. Klucz do drzwi wisiał na haczyku obok framugi. Widziała, jak kiedyś pan Jensen szedł po wino, po które wysłała go ciotka. Przyszedł wtedy do Marianne, by się upewnić, że wziął dobrą butelkę, a ona przy okazji dowiedziała się, iż piwnice są zamykane na klucz.

- Klucz wisi przy drzwiach, żeby można było wejść do piwnicy, kiedy mnie nie ma w pobliżu. Jednak każdy, kto tam wjedzie bez pozwolenia, zostanie surowo ukarany - podkreślił pan Jensen.

Marianne odpowiedziała mu wtedy, że wierzy w to, iż cała służba jest godna zaufania, i spostrzegła, że tą odpowiedzią sprawiła mu przyjemność.

Znalazła klucz, otworzyła drzwi, po czym zamknęła je za sobą. Schowała klucz do kieszeni i oparła rękę na drewnianej poręczy przymocowanej do jednej ze ścian.

Schodziła powoli, unosząc suknię, by nie nadepnąć na materiał i nie spaść ze stromych stopni. Na dole zobaczyła stół i stojącą na nim grubą świecę. Zapaliła ją, a swoją zgasiła i zostawiła na stole. Kto wie, czy nie będzie jej później potrzebowała. Przecież nie wiadomo, jak długo zabawi w piwnicy.

Duża świeca dawała więcej światła, dzięki czemu Marianne dostrzegła rzędy wysokich, mocno zakurzonych stojaków wypełnionych butelkami z winem. Piwnica okazała się mniejsza, niż oczekiwała, i na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie ma gdzie ukryć tajemnego przejścia.

Uznała, że ewentualnie jedynie za stojakami na wino. Właśnie miała tam podejść, kiedy nagle do jej uszu dotarł dziwny odgłos.

Coś podobnego usłyszała tamtej nocy, kiedy na korytarzu spotkała Hambletona. Natychmiast zdmuchnęła świecę i ukryła się za jednym ze stojaków. Stała przestraszona. Po chwili odgłos się powtórzył, a potem rozległ zgrzyt. Dźwięki dochodziły z głębi piwnicy. Zatem słusznie podejrzewałam, że tam znajduje się ukryte wejście do tunelu, pomyślała Marianne.

Ciężki drewniany stojak musiał się trochę przechylić i jedna butelka spadła, roztrzaskując się o kamienną podłogę. Marianne usłyszała stłumione przekleństwo i rozpoznała głos.

- Do diabła! Mam nadzieję, że ta dumna dziwka nic nie usłyszała. Jeśli zejdzie sprawdzić, co to było, będziemy mieli kłopoty - rzekł zirytowanym tonem Hambleton doskonale widoczny w świetle świecy, którą trzymał w ręku.

- Miałeś się nią zająć - wytknął mu jego towarzysz. - Trzeba , ją było zwabić na klif i zepchnąć. Towar będzie bezpieczny, ale co z nim? Nie spodoba mu się, że ma siedzieć w piwnicy.

- Sprawy się skomplikowały. Spróbuję znaleźć inne pomieszczenie, a na razie piwnica musi mu wystarczyć. Lepsze to niż grot. Tu bezpiecznie

przeczeka, aż się ściemni. Dopilnuję, żeby miał coś do jedzenia, a wina mu nie zabraknie.

- A jeśli ktoś zejdzie i go tu znajdzie?

- Mam klucz. Zostawię go w zamku, wtedy z tamtej strony nie będzie tak łatwo wejść. Zanim otworzą drzwi, Raoul zdąży się schować. To wszystko, co na razie mogę mu zaproponować. Jeśli mu się nie spodoba, niech sam sobie czegoś poszuka! - Hambleton był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Nie będzie zadowolony, kiedy to usłyszy. Wziąłeś jego złoto, tak samo jak my wszyscy. On płaci i w zamian oczekuje lojalności. Zrób to, po co tu przyszedłeś, i wracajmy. Gdyby ktoś z domowników podniósł teraz alarm, nasz plan spali na panewce.

- Mamy pecha z powodu tego cholernego przyływu. Jeśli nie chcą rozbić się o skały, muszą podejść do brzegu o szóstej rano - powiedział Hambleton.

- Będzie wystarczająco jasno, żeby dostrzec, czy wszystko jest w porządku. Ja też uważam, że to ryzyko, ale takie były rozkazy. Zabierajmy się stąd.

- Poczekaj, włożę klucz do zamka - Joshua podszedł do schodów.

Marianne wstrzymała oddech. Gdyby ją teraz znalazł... Na szczęście Hambleton niczego nie zauważył i po chwili usłyszała, jak mężczyźni, sapiąc z wysiłku, ciągną ciężki stojak z winem, zamykając wejście do tunelu.

- Trzeba to naoliwić...

Rozległo się kliknięcie i stojak z winem znalazł się na miejscu. Poza stłuczoną butelką nie było śladu, że ktoś tu się dostał. Chcąc zyskać pewność, że mężczyźni odeszli, Marianne poczekała kilka minut, a następnie powoli i ostrożnie podeszła do stołu i zapaliła świecę.

Weszła po stromych schodach i otworzyła drzwi, po czym wyjęła klucz z zamka, weszła do kuchni i ponownie zamknęła drzwi, chowając klucz do kieszeni. Teraz miała oba klucze do piwnicy, a to oznaczało, że tą drogą nikt nie dostanie się do domu.

Wracając do swojego pokoju, zastanawiała się, co teraz powinna uczynić. Na dworze było ciemno i samotna wyprawa do domu na klifie wydawała się jej bardzo ryzykowna. Mogłaby posłać wiadomość, ale w tym celu musiałyby obudzić kogoś ze służby, a nie chciała tego robić. Wiedziała, że powinna powiedzieć Drew o tym, czego była świadkiem. Zrozumiała, że gdy toczy się gra o schwywanie francuskiego szpiega, należy zapomnieć o urażonej dumie.

Postanowiła poczekać do świtu. Kiedy się rozjaśni, wybierze się do domu na klifie i przekaze informacje Robbiemu albo Drew. Klucze do piwnicy schowa w swoim pokoju. Po powrocie z klifu opowie ciotce o swoim odkryciu i razem dopilnują, żeby drzwi prowadzące do tunelu zostały zamknięte tak, by nie można ich więcej otworzyć od zewnątrz.

Położyła się na łóżku w ubraniu. Chciała trochę odpocząć, ale musiała się pilnować, żeby nie zasnąć. Jeśli nie zdoła ostrzec Drew, może dojść do tragedii. Pożałowała, że nie wysłała mu wiadomości o wyjeździe Hambletona, ale co się stało, to się nie odstanie.

Drew siedział skulony między skałami i wypatrywał sygnału ze statku stojącego w zatoce. Gdyby nie stary wojskowy płaszcz, który miał na sobie, zmarzłby na kość. Chuchał na skostniałe dłonie, próbując je ogrzać, i z tęsknotą pomyślał o swoim łóżku w Marlbeck Manor. Wyobraził sobie, że leży w nim z Marianne. Ostatnio marzył coraz częściej. Nic dziwnego, żadna kobieta nie działa na niego tak jak ona.

- Do diabła! - zaklął pod nosem.

Jeśli statek, który przed kilkoma godzinami widziano niedaleko stąd, jest rzeczywiście tym, na który on czeka, to nie spieszą się z wysłaniem łodzi. Zaczął podejrzewać, że się pomylił i że to okręt brytyjski, ale właśnie wtedy dostrzegł błysk światła. Skierował lunetę w tamtym kierunku i zobaczył, że statek podpłynął bliżej brzegu, a następnie spuszczone łódź. Drew miał nadzieję, że w łodzi jest człowiek, na którego czekał. Nie obchodzili go przemytnicy ani ich towar. Chodziło mu wyłącznie o Francuza i o Hambletona!

Nagle coś kazało mu się odwrócić i spojrzeć na klif. Wstawał świt i było już wystarczająco jasno, by mógł dostrzec, że do wynajmowanego przez niego domu zmierza kobieta w ciemnym płaszczu. Wiatr szarpnął płaszczem, odsłaniając suknię, przyklejoną podmuchem do szczupłego ciała i to właśnie błysk jasnego materiału zwrócił jego uwagę.

To Marianne. Co ją sprowadza o tak wczesnej porze? Czy nie pomyślała, że to może być niebezpieczne?

Zaklął, ale nie śmiał się poruszyć. Powodzenie całej akcji zależało od elementu zaskoczenia. Jeśli przemytnicy coś zauważą, ani towar, ani Francuz nie przyplyną do brzegu i jego praca pójdzie na marne. Ale sobie wybrała porę! Miał nadzieję, że kiedy się przekona, iż w domu nikogo nie ma, zrezygnuje i wróci do domu lady Edgeworthy.

Ponownie spojrzął na statek. Nie mógł zrobić niczego, by ostrzec Marianne. Musiał czekać na łódź, która wyląduje na wąskim pasku plaży.

Marianne miała na sobie płaszcz, kiedy jednak przystanąła na szczycie klifu, wiatr szarpnął nim, odsłaniając suknię. Szła do domu na klifie, ale po drodze zerknęła na morze i dostrzegła stojący w zatoce statek, z którego spuszczano łódź. Zawahała się, lecz uznała, że sama nic nie może zrobić. Trzeba jak najszybciej zawiadomić Drew.

Resztę drogi pokonała biegiem. Zabębniła pięściami w drzwi, ale nikt jej nie otworzył. W środku było ciemno. Ponownie zaczęła walić w drzwi, aż w końcu zrozumiała, że dom jest pusty. Gdzie jest Drew? Zdenerwowana spojrzała na zatokę i zobaczyła, że łódź zbliża się do plaży.

Była sama i nie miała żadnej broni. Co mogła zrobić w takiej sytuacji? Przemytnicy zaczęli wyladowywać towar, a jeden człowiek poszedł w stronę klifu. Ze statku spuszczano kolejną łódź.

- Co pani tu robi, mademoiselle?

Marianne się odwróciła. Mężczyzna musiał podjąć w tym momencie, gdy skierowała wzrok na to, co dzieje się na plaży. Ale skąd się wziął i jak ją dostrzegł?

- Kim pan jest? - zapytała bez zastanowienia. - Przyplłynął pan tym statkiem? - zapytała i nagle zdała sobie sprawę, że wszystko zostało starannie zaplanowane. Mężczyzna mówił po angielsku z francuskim akcentem. Musiał być tym, na którego czekał Drew. Przemycnicy rozładowywali kontrabandę na plaży, ale on wylądował gdzie

Indziej i przyszedł tutaj łodem. - Szuka pan porucznika Humble'a?

- Skąd pani wie o Humble'u? - Raoul stał się podejrzliwy.

W pierwszej chwili pomyślał, że dziewczyna po prostu tędy przychodziła i przypadkiem natknęła się na rozładunek towaru. Teraz zrozumiał, że wiedziała więcej niż powinna i stanowiła zagrożenie.

- Humble panią tu przysłał?

Marianne pokręciła głową. Zrozumiała, że wymieniając nazwisko Humble'a, wpędziła się w kłopoty. Zaczęła się cofać i wtedy usłyszała dochodzące z plaży krzyki. Zza skał oddzielających zatokę od wiejskiej plaży wyskakiwali mężczyźni. Coś jej mówiło, że są to żołnierze. Próbowwała zwrócić na siebie ich uwagę, wołając:

- Tutaj! Człowiek, którego szukacie, jest tutaj!

Francuz zaklął i skoczył w jej kierunku. Marianne krzyknęła i zaczęła uciekać w głąb lądu, z dala od klifu i od plaży, gdzie toczyła się walka. Usłyszała strzały i uświadomiła sobie, że jest zupełnie bezbronna. Wyraz twarzy Francuza nie wróżył nic dobrego. Wiedziała, że jeśli nie zdoła uciec, zginie. Strach dodał jej skrzydeł, niestety, potknęła się o wystający kamień i upadła. Podniosła się natychmiast, ale kostka bolała ją tak bardzo, że nie mogła zrobić kroku. Odwróciła się i z dumnie uniesioną głową spojrzała na Francuza.

- Jeśli mnie zabijesz, powieszę cię. Uciekaj, zanim nadejdą.

- To wszystko jego wina! - Mężczyzna zaklął gniewnie po francusku i zaczął się do niej zbliżać. - Nie życzę pani źle, mademoiselle. Gdyby czekał na mnie, tak jak obiecał, nie wyniknęłoby to całe zamieszanie. Uprzedzono mnie, że nie możemy skorzystać z tego samego miejsca, co poprzednio bo ktoś tam zamieszkał. Nie stawiał się na spotkanie, więc przyszedłem tutaj.

- Przyszedł pan w miejsce, w którym pan poprzednio mieszkał - szepnęła.

Zrozumiała, że Hambleton ukrywał Francuza w domu na klifie. Pod jego nieobecność agent ciotki wynajął dom i pokrzyżował mu plany. Hambleton postanowił więc przechować swojego gościa w piwnicy domu lady Edgeworthy. Umówił się z nim na spotkanie, ale najwidoczniej coś mu przeszkodziło. Albo się rozminęli, albo Hambleton zmienił plany.

- Skąd pani wie o Humble u? Czy to miała być zasadzka na mnie? Niech pani mówi, może daruję pani życie.

Nagle za plecami Francuza Marianne dostrzegła coś, co przywróciło jej nadzieję.

- Humble to zdrajca używający nazwiska Joshua Humble ton. Nie powinien pan ufać takiemu człowiekowi, monsieur. Proszę, niech pan ucieka dla własnego dobra...

W tym momencie Drew skoczył. Usłyszał, jak Marianne wołała do żołnierzy, i domyślił się dlaczego. Wspiął się na klif i zobaczył, że Marianne przewróciła się na ziemię. Następnie widział, jak wstała, i słyszał, jak dzielnie dawała od pór Francuzowi.

Raoul nie spodziewał się ataku z tyłu, ale od razu zaczął się bronić i przez chwilę, która wydawała się Marianne wiecznością, obaj mężczyźni tarzali się po ziemi. Strach obezwładnił ją do tego stopnia, że nie zdołała się poruszyć, i gdy

Francuz wyciągnął nóż, tylko jęknęła z przerażenia. Drew chwycił napastnika za nadgarstek i po krótkich zmaganiach wytrącił mu nóż.

Mimo bólu w kostce Marianne dokuśtykała do miejsca, gdzie upadł nóż, i odrzuciła go daleko od siebie. Walka nadal się toczyła i nie było wiadomo, kto



wygra, aż w końcu Drew usiadł na przeciwniku. W tej samej chwili zjawili się dwaj mężczyźni. Rozpoznała Robbiego i poczuła ogromną ulgę. Drugi musiał być żołnierzem, bo miał na sobie mundur.

Francuz przestał stawiać opór. Drew potraktował go bezlitośnie, ale go nie zabił. Dookoła nich pojawiali się kolejni żołnierze. Francuza postawiono na nogi, chwiał się i było widać, że jest bliski utraty przytomności. Gdy wiązano mu ręce na plecach, sprawiał takie wrażenie, jakby nie rozumiał, co się dzieje. Jeden z oficerów podszedł, by porozmawiać z Drew.

- Nic się pani nie stało, panienko? - zapytał Robbie, patrząc z niepokojem na pobladłą Marianne. - Zobaczyliśmy panią tuż przed tym, zanim on się tu pokazał, lecz nie mogliśmy się ruszyć, żeby nie spłoszyć przemytników.

- Francuz wylądował wcześniej i przyszedł górą. Miał się spotkać z Humble'em, ale go nie zastał w umówionym miejscu. Dlatego przyszedł tu, gdzie mieszkał przy okazji poprzednich pobytów.

Marianne zrobiła krok w stronę Robbiego i krzyknęła z bólu. Drew znalazł się przy niej jednym skokiem i bez słowa wziął ją na ręce.

- Zaniosę ją do domu - poinformował Rogersa. - Kiedy skończysz, wracaj do siebie, przyjdę tam i wtedy porozmawiamy. Wygląda na to, że drugi ptaszek zdołał się wymknąć.

- Postaw mnie na ziemi - zażądała Marianne, kiedy oddalili się na tyle, że żołnierze nie mogli ich usłyszeć. - Z pomocą Robbiego dam radę dojść do domu.

- Nie bądź śmieszna. Nie wiem, po co przyszłaś tu o tak wczesnej porze, ale na pewno nie pozwolę ci samej wracać do domu. Nie schwytaliśmy Humble'a. Po tym, co dzisiaj się stało, zabiłby cię bez żadnych skrupułów.

- Chciałam cię ostrzec, że towar przyplynie dziś rano. W nocy znalazłam wejście do tunelu, Zeszłam do piwnicy akurat wtedy, kiedy oni przyszli, i podsłuchiłam ich rozmowę.

Drew postawił Marianne na ziemi.

- Dlaczego nie wysłałaś kogoś z wiadomością? Dlaczego ryzykowałam, musiałam przecież wiedzieć, że to niebezpieczne.

- Nie chciałam budzić służby w środku nocy. Poza tym uznałam, że jeśli przyjdę o świcie, nic złego mi się nie przydarzy. Wiedziałaś, że zjawią się dziś rano, czekałeś na nich na plaży! Dlaczego mnie o tym nie uprzedziłeś?! - wykrzyknęła ze złością.

- Nie mogłem ci tego zdradzić. Miałem wtyczkę wśród ich ludzi i aż do wczoraj byłem o wszystkim informowany na bieżąco. Gdybym ci coś powiedział, a ty zdradziłabyś się z tą wiedzą przed Hambletonem... Do wczoraj mieszkał w domu lady Edgeworthy.

- Jak mogłeś?! - Marianne z trudem powstrzymała się, żeby nie uderzyć Drew. - Nie jestem głupia, choć ty najwidoczniej tak uważasz. Poza tym gdyby mnie tu nie było, nie złapałbyś francuskiego szpiega. Stałam blisko domu. Podszedł do mnie, myśląc pewnie, że to Hambleton mnie przysłał. Wynajmując dom, pokrzyżowałaś im szyki. Jeśli Hambleton chce kogoś zabić, to na pewno ciebie...

- To wszystko nie ma nic do rzeczy - odparł Drew. Dotarło do niego, jak bardzo ryzykowała Marianne i jak niewiele brakowało, by straciła życie. - Zdajesz sobie sprawę, jakbym się czuł, gdyby on cię zabił? Nie pomyślałaś o ciotce, swojej matce i siostrach? Jesteś uparta i samowolna i nie mam już do ciebie cierpliwości.

- Więc mnie zostaw i odejź! - wykrzyknęła bliska łez Marianne. - Gdybyś mnie nie okłamał, nigdy bym nie... Twierdzisz, że jestem uparta i samowolna! Za to ty jesteś lekkomyślny i nieodpowiedzialny. Ktoś z twoją pozycją nie powinien się uganiać za francuskim szpiegiem. W twoich rękach leży los wielu ludzi... Odejź! Wróć do domu bez twojej pomocy.

- Bez względu na wszystko zaniosę cię do domu - odparł Drew, po czym ponownie wziął ją na ręce i z ponurym wyrazem twarzy ruszył w stronę domu lady Edgeworthy.

Marianne zamknęła oczy i starała się nie myśleć o bolącej kostce. Czuła łzy pod powiekami, ale duma nie pozwoliła jej na płacz. Marzyła o tym, żeby wreszcie znaleźć się daleko od Drew.

Milczał przez całą drogę. Odezwał się dopiero wtedy, gdy postawił Marianne pod drzwiami domu lady Edgeworthy.

- Chyba nie muszę ci przypominać o ostrożności. Porucznik Humble wie, że jego plany się nie powiodły. Być może jest już daleko, ale tego nie wiemy. Niewykluczone, że myśli o zemście.

- Dziękuję za ostrzeżenie i za to, że przyniósł mnie pan do domu - odparła oficjalnym tonem Marianne.

- Powinnaś dać sobie radę sama. Miałem nadzieję, że dzisiaj uda mi się zakończyć tę sprawę, ale stało się inaczej.

Kulejąc, doszła do drzwi. Wyprostowała plecy, nie chcąc żeby Drew widział, ile trudu kosztuje ją wejście po tych kilku stopniach. Zastukała i po chwili w progu stanęła Bessie.

- Skręciłam nogę... możesz mi pomóc?

- Oczywiście, panienko. Dokąd panienka chodziła o tak wczesnej porze?

Marianne zerknęła za siebie. Drew czekał, żeby zobaczyć jak ona wchodzi do domu, po czym odwrócił się i szybko odszedł.

Stracił dużo czasu, a najwyraźniej miał jeszcze sporo do zrobienia. Zgodnie z planem przemytnicy zostali przyłapani na gorącym uczynku. Udało się też schwytać Francuza. Niestety, uciekł zdrajca, na pojmaniu którego tak bardzo zależało Drew. Marianne doszła do wniosku, że Drew wini ją za niepowodzenie akcji i że jest na nią tak wściekły, jak ona była na niego, gdy odkryła jego prawdziwe nazwisko.

Teraz będzie mnie unikał, pomyślała ze smutkiem, wchodząc do środka. Szybko wytłumaczyła sobie, że to nie ma znaczenia. Co za różnica, czy on jest na nią zły, czy nie. Przecież i tak się z nią nie ożeni. Markiz Marlbeck nie wzięłby za żonę kobiety bez majątku, nawet gdyby była dobrze urodzona.

- Mam posłać po doktora? - zapytała Bessie.

Marianne wolałaby nie robić zamieszania, ale noga bolała i czuła, że bez doktora się nie obędzie.

- Obawiam się, że trzeba go wezwać. Potknęłam się na klifie i chyba skręciłam kostkę. Nie wydaje mi się, żeby była złamana, ale nie mam pewności.

- Lepiej, żeby doktor panienkę obejrzał. Na wszelki wypadek. Od razu wyślę stajennego. Niech panienka poczeka w salonie. Zaraz przyniosę herbaty. A może podać coś mocniejszego?

- Nie trzeba, dziękuję. Herbata wystarczy.

Marianne dokuśtykała do salonu, usiadła na krześle i dopiero wtedy pozwoliła popłynąć łzom.

Niepotrzebnie tak na niego nakrzyczałam, pomyślała przygnębiona. Wkrótce Drew wróci do Marlbeck Manor... i pewnie nigdy go nie zobaczę.

- Doktor kazał ci leżeć w łóżku przez kilka dni - przypomniała lady Edgeworthy, kiedy po południu zajrzała do Marianne. - Masz szczęście, że tylko na tym się skończyło. Klif jest niebezpieczny, szczególnie po ciemku. Gdyby było jasno, nie potknęłabyś się i nie przewróciła.

Marianne nie powiedziała ciotce całej prawdy, żeby jej nie denerwować.

- To było niemądre. Obiecuję, że nigdy więcej tak nie postąpię.

- Zastanawiam się, czy nie powinnam wezwać twojej mamy i sióstr.

Przeżyłaś szok i jeśli coś miałoby ci się stać...

- Zapewniam, że nic mi nie jest. Tylko trochę boli mnie noga.

- Musi boleć bardziej niż trochę. Doktor Thompson powiedział, że to brzydkie zwichnięcie. Nie pojmuję, po co wyszłaś z domu o tej porze!

- Obudziłam się i nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że spacer dobrze mi zrobi. - Marianne uśmiechnęła się przepraszająco. - Proszę, niech ciocia na mnie się nie złości. Obiecuję, że już nigdy więcej nie zrobię niczego równie głupiego.

- Twoja mama może tu przyjechać już teraz, a potem po ślubie Jane razem pojedziemy do Bath. Miło będzie mieć wokół siebie młodych ludzi.

Odpoczywaj i zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Przyślę do ciebie Jane.

- Dziękuję, ale na razie wystarczy mi książka.

Lady Edgeworthy opuściła pokój. Marianne zdawała sobie sprawę z tego, że starsza pani zdenerwowała się wypadkiem na klifie, bo w podobnej sytuacji straciła Cedrica. Uświadomiła sobie, jak niewiele brakowało, by ona też zginęła. Wtedy w nocy powinna była zbudzić Jensena i opowiedzieć mu o swoim odkryciu. Nie może dłużej z tym zwlekać, bo pewnie i tak wszyscy szukają kluczy do piwnicy.

Nie mogła zejść do kuchni, bo noga spuchła i mimo zimnych kąpieli i bandaża bardzo bolała. Nie chciała też wzywać do siebie Jensena, żeby nie wzbudzać sensacji. Zdecydowała, że kiedy przyjdzie Jane, poprosi ją o pióro i papier i napisze do niego list. Na razie postanowiła odpocząć.

Zamknęła oczy i spokojnie zasnęła.

Za jakiś czas Jane zajrzała do sypialni, ale widząc, że Marianne śpi, cicho zamknęła drzwi i zeszła do salonu, gdzie lady Edgeworthy przyjmowała gości.

- Zasnęła - oznajmiła Jane. - Pewnie podziałało lekarstwo, które doktor Thompson dał jej na uspokojenie.

- W takim razie nie będę jej przeszkadzał - powiedział Drew. - Proszę przekazać pani Horne, że byłem. Zaraz wyjeżdżam do Londynu, a potem muszę jeszcze zajrzeć do domu. Wrócę za kilka dni, najdalej za tydzień.

- Dziękuję, że przyszedł nam pan wyjaśnić, co się wydarzyło. Marianne wspominała kiedyś o przemyście, ale nie chciałam jej wierzyć. Wygląda na to, że dawaliśmy schronienie zdrajcy i oszustowi. - Lady Edgeworthy ciężko westchnęła. - Gdybym wcześniej wiedziała, kim on jest, powiedziałabym mu do słuchu!

- Może lepiej, że pani tego nie zrobiła, bo to groźny przestępca. Mam nadzieję, że znajduje się daleko stąd. Gdyby go pani zobaczyła, proszę natychmiast poinformować majora Barra. On będzie wiedział, co robić.

- Marianne nie pisnęła słówka ani o wydarzeniach na klifie, ani o piwnicy.

- Wiem, że zamierzała to zrobić. Przed wyjściem chciałbym zamienić słowo z pani lokajem. Jestem pewien, że będzie wiedział, jak zabezpieczyć wejście do tunelu, tylko należy zapytać Marianne, gdzie ono się znajduje, bo tego mi nie wyjawiała.

- Zapytam ją, jak tylko lepiej się poczuje. Żałuję, że musi pan wyjechać. Mam nadzieję, że wróci pan i złoży nam wizytę. Tym razem już bez ukrywania własnej tożsamości.

- Dziękuję za zaproszenie. - Drew wstał z pewnym ociąganiem, bo liczył na to, że przed wyjazdem uda mu się zobaczyć z Marianne. - Proszę jej przekazać, że byłem, dobrze?

- Oczywiście. Napisałam do jej mamy, zachęcając ją do przyjazdu wraz z córkami. Po ślubie Jane chcę zabrać Marianne i całą jej rodzinę na krótki odpoczynek do Bath.

- Będzie to na pewno miła odmiana. Chyba nie zamierza pani pozbyć się posiadłości?

- Po zamknięciu kopalni zostały mi tylko dochody z ziemi, a ta nie rodzi tak, jak by mogła. Tutejsze grunta są dość kamieniste.

- W pani kopalni znajduje się bogate złożę miedzi. Nie wiedziała pani o tym? Spostrzegłem je, kiedy szukałem ukrytej kontrabandy. Wydaje mi się na tyle duże, że warto dla niego otworzyć kopalnię. Powinna pani zasięgnąć fachowej porady, ale z tym nie powinno być przecież kłopotu.

- Naprawdę? Widział pan miedź? - Lady Edgeworthy była zaskoczona. - To by całkiem zmieniło sytuację. Muszę to przemyśleć. Kopalnia dałaby pracę tutejszym ludziom.

- Obawiam się, że muszę panie zostawić. Porozmawiamy o tym następnym razem.

- Jane, odprowadź pana markiza do drzwi.

- Mam nadzieję, że zdążę wrócić na pani ślub. Nie zapomni pani powiedzieć Marianne, że byłem?

- Obiecuję, że nie zapomnimy - odparła z uśmiechem Jane. - Nie obudziłam jej, bo smacznie spała.

- Dobrze, że pani jej nie obudziła. To, co chcę jej powiedzieć, może poczekać. Sprawa Hambletona vel Humble'a nie jest jeszcze skończona. Muszę o tym porozmawiać z pewnymi ludźmi.

- Do widzenia. - Jane zamknęła drzwi i wróciła do salonu.

- Lepiej się czujesz? Zaglądałam do ciebie jakiś czas temu, ale spałaś - powiedziała Jane, stawiając przy łóżku Marianne tacę z herbatą i ciastem.

- Byłam zmęczona. - Marianne ziewnęła. - Boli mnie noga i pewnie tak będzie jeszcze przez kilka dni.

- Cóż, jeśli ktoś ściga po nocach francuskiego szpiega...

- Skąd wiesz?

- Markiz Marlbeck wyjechał do Londynu, ale zdążył złożyć nam wizytę. Chciał się z tobą widzieć, lecz spałaś, a on poprosił, żeby cię nie budzić. Opowiedział nam o przemytnikach i twojej pomocy w zatrzymaniu francuskiego szpiega.

- Skoro już o tym wiecie, mogę cię poprosić, żebyś zaniósła te klucze Jensenowi. Powiedz mu, że zatrzymałam je specjalnie po to, aby nikt z domowników nie wszedł do piwnicy. Nie chciałam ryzykować, że ktoś przypadkiem natknie się na przemytników, bo takie spotkanie mogłoby się źle skończyć. Ostatni stojak na wino maskuje tajne przejście do tunelu. Gdzieś w piwnicy musi znajdować się dźwignia, która je otwiera. Można je też otworzyć od strony tunelu. Dla naszego bezpieczeństwa trzeba je zamknąć tak, żeby nikt z zewnątrz nie mógł tamtędy się dostać do domu.

- To, co zrobiłaś, wymagało ogromnej odwagi.

- Nie myślałam o sobie - wyznała szczerze Marianne. - Wiedziałam, że Drew... markiz Marlbeck... bardzo chce złapać zdrajcę. Kiedy Francuz zobaczył

mnie na klifie, uznał, że przysłał mnie Hambleton. Zobaczyłam żołnierzy i krzyknęłam do nich, a Francuz rzucił się na mnie. Nie wiem, czy chciał mnie zabić, czy tylko uciszyć, ale przestraszyłam się i zaczęłam uciekać. Potknęłam się i upadłam. Kostka bolała mnie tak, że nie mogłam zrobić kroku. Zjawił się Drew i zaczął się bić z Francuzem. Potem żołnierze zabrali Francuza, ale nigdzie nie było Hambletona.

- I pomyśleć, że przyjmowałyśmy takiego drania! Mógł nas wszystkie wymordować w naszych własnych łóżkach. - Jane się zdrygnęła. - Nie będę spokojnie spać, dopóki go nie złapią.

- Chyba nie ośmieli się tu wrócić. Na pewno wie, że wszystkie jego plany legły w gruzach. Na plaży rozegrała się prawdziwa bitwa. Większość przemytników została złapana, a sporo z nich zginęło podczas walki. Okropne, bo częściowo byli to tutejsi rybacy, próbujący zarobić parę dodatkowych funtów. Nie mieli nic wspólnego ze szpiegostwem, to była sprawa Hambletona.

- Współczuję osieroconym rodzinom, ale przemyt jest przestępstwem. Simon tego nie popiera, choć rozumie desperację ludzi, którzy nie mogą nakarmić swoich dzieci.

- Drew przyjechał tu tylko ze względu na Hambletona - powiedziała Marianne. - Zależało mu na schwytaniu człowieka, którego zdrada pociągnęła za sobą śmierć jego żołnierzy. Niestety, nie udało się...

- To nie twoja wina. Zresztą, co się stało, to się nie odstanie. Dzięki twojej odwadze złapali Francuza. Gdybyś nie przywołała żołnierzy, pewnie by uciekł.

- Drew był zły, że tam przyszedłam.

- Złościł się, bo się o ciebie bał. Przyszedł dowiedzieć się o twoje zdrowie i opowiedział nam, co się wydarzyło. Nie masz się czym martwić. Wszyscy uważają, że byłaś bardzo odważna, choć może trochę...

- Szalona? - podsunęła Marianne, bo Jane zamilkła.

- Raczej porywcza - odparła z uśmiechem Jane.



- Porozmawiajmy o czymś innym - poprosiła Marianne, bo czuła, że zacznie krzyczeć, jeśli jeszcze raz usłyszy o przemytnikach. - Masz już wszystko, co potrzebne do ślubu? Jest jeszcze dość czasu, żeby uszyć nocną koszulkę albo coś z bielizny?

- Miałam dużo czasu, żeby przygotować takie rzeczy. W ciągu ostatnich kilku lat uszyłam sobie całą wyprawę. Tak na wszelki wypadek. - Jane zarumieniła się jak pensjonarka. - Marzyłam, że pewnego dnia wyjdę za mąż, choć tak naprawdę nie wierzyłam, że to może się spełnić.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Jak tylko noga przestanie mi dokuczać, poproszę ciotkę o powóz i pojedziemy do Truro. Jestem pewna, że znajdziemy tam dla ciebie coś ładnego.

- Jesteś taka dobra! Chciałabym, żebyś kiedyś była tak szczęśliwa jak ja teraz, i jestem pewna, że niedługo poślubisz bardzo miłego młodzieńca.

- Może, ale na pewno nie szybko - odparła Marianne, tłumiąc westchnienie.

Drew wyjechał i nawet ze mną nie porozmawiał. Musiał być na mnie bardzo zły, uznała. Żałowała, że na niego nakrzyczała, i ze smutkiem pomyślała o samotnych spacerach.

## *Rozdział dziewiąty*

Dwa dni później Marianne siedziała w salonie, gdy Bessie przyniosła jej list i zapytała, czy może coś dla niej zrobić.

- Dziękuję, nic mi nie potrzeba. Mam lemoniadę, książkę i robótkę. Poza tym noga już mnie prawie nie boli i w razie czego dam sobie radę.

- Doktor mówił, że musi pani odpoczywać, a my z radością pani usłużymy. Wszyscy mówią, że gdyby nie pani, francuski szpieg na pewno by uciekł. - Bessie popatrzyła z podziwem na Marianne.

- Zapewniam cię, że to nonsens. Francuz rzucił się na mnie, a ja zaczęłam uciekać. Gdyby nie markiz Marlbeck, mógłby mnie zabić.

- Ale to pani ostrzegła żołnierzy. Uważam, że była pani bardzo odważna. Wszyscy tak uważamy.

Kiedy Marianne została sama, sięgnęła po list. Był od mamy i bardzo ją zdenerwował. Mama pisała, że się przeprowadziły. Lodge okazał się małym i niewygodnym domem. W jednym z pokoi przeciekał dach i Lucy się zaziębiła.

*Nie proszę cię, żebyś wracała do domu, bo wiem, że ciotka cię potrzebuje. Przeżywamy tutaj trudny okres. Jo ma coraz większy żal do ciotki Wainwright i mówi, że nie zostawi mnie samej z Lucy. Lucy gorączkowała i ciągle cię wtedy wołała. Na szczęście już jest lepiej i wierzę, że wkrótce wróci do zdrowia, bo jest młoda i silna. Mimo to zastanawiam się, czy ciotka Bertha nie pozwoliłaby jej do ciebie przyjechać. Wybacz, że cię martwię, ale ostatnie tygodnie były naprawdę ciężkie.*

*Twoja kochająca mama*

Marianne uznała, że mama napisała list, zanim lady Edgeworthy zaproponowała jej przeprowadzkę do Kornwalii. Nie wiedziała, czy od razu odpisać, czy może poczekać kilka dni.

- Tu jesteś, moja droga. - Do salonu zajrzała lady Edgeworthy. - Bessie powiedziała mi, że dostałaś pocztę. Czy to list od twojej mamy?

- Tak. Proszę, niech ciocia przeczyta. Biedna mama jest taka zmartwiona. Wyobrażam sobie, jakim przeżyciem było dla niej opuszczenie domu, do którego weszła jako panna młoda. W dodatku Lucy nie może się pogodzić z tą przeprowadzką.

- Biedna mała. - Lady Edgeworthy oderwała wzrok od listu. - Jak to możliwe, by nikt nie zwrócił uwagi na to, że dach przecieka?

- Mama ma tylko jedną pokojówkę. Musiało być duże zamieszanie przy rozpakowywaniu rzeczy i Lily po prostu nie dopatrzyła. Trudno oczekiwać, że w pojedynkę nad wszystkim zapanuje.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że Cynthia znalazła się w tak kłopotliwym położeniu - powiedziała lady Edgeworthy. - Dlaczego mnie nie powiadomiła? I dlaczego ty milczałaś?

- Mama powinna powiedzieć wujowi Wainwrightowi, że Lodge nie nadaje się do zamieszkania, ale milczała, bo była wdzięczna, że dał jej dach nad głową.

- Skoro tak, to twoja matka równie dobrze może przyjechać tutaj i zamieszkać ze mną, prawda?

- Proszę, niech ciocia zachowa dla siebie to, co powiedziałam. Mama uzna, że ciocia się nad nią lituje, i będzie jej trudno zaakceptować pomoc.

- O czym ty mówisz! Zanim tu przyjechałaś, byłam samotna i nieszczęśliwa. Dzięki tobie zrozumiałam, że moje życie jest puste. Cynthia jest przecież moją rodziną, tak samo - jak ty i twoje siostry. Przenosząc się tutaj, zrobicie mi przysługę. Mając was, nie będę samotna.

- Och, ciociu. - Marianne poczuła łyzy wzruszenia pod powiekami. - Zaraz napiszę do mamy, żeby jak najszybciej przyjechała. Wyślę jej pieniądze na podróż. I tak mam więcej, niż mi potrzeba.

- Już o tym pomyślałam i wysłałam im pieniądze. Zależy mi na tym, żeby jak najszybciej znalazły się w Sawlebridge. Twój przyjazd uratował mi życie, gdyby nie ty, ten drań wpędziłby mnie do grobu.

- Ciekawe, czy już go złapali. Myślę, że nie ośmieli się pokazać ani tutaj, ani w cioci domu w Londynie.

- Wygląda na to, że pozbyliśmy się go na dobre. Nie pojmuję, jak mogłam go uważać za uroczego młodzieńca.

- Dranie często bywają uroczy. Właśnie dlatego są tacy niebezpieczni.

- Pewnie masz rację - przyznała lady Edgeworthy i widząc, że Bessie zagłąda do salonu, zapytała, czy jest dla niej poczta.

- Nie ma poczty, ale przyszedł do pani major Barr.

- To miłe z jego strony. Poproś, żeby wszedł. Markiz Marlbeck powiedział mi, że w starej kopalni widział bogate złoża miedzi. Chcę porozmawiać o tym z majorem - wyjaśniła Marianne lady Edgeworthy, kiedy Bessie wyszła z salonu.

Major Barr zapytał o zdrowie Marianne, a potem usiadł obok lady Edgeworthy i zaczęli rozważać zatrudnienie eksperta, który powinien ocenić, czy złoża rzeczywiście jest na tyle bogate, że warto na nowo otworzyć kopalnię.

Marianne przestała słuchać ich rozmowy. Pomyślała o Drew i o jego nagłym wyjeździe. Nawet się z nią nie pożegnał... Było jej smutno i nie zmieniła tego nawet fakt, że niedługo przyjedzie mama i Lucy, a zaraz potem odbędzie się ślub Jane.

Marianne uniosła powieki. Obudził ją księżycowy blask wpadający do pokoju przez niedokładnie zaciągnięte zasłony. Był środek nocy. Przed zaśnięciem myślała o przyjeździe mamy i siostry i pewnie dlatego śniło się jej, że Lucy wzywa ją w gorączce, ale dzieli ją od niej rzeka i gęsta mgła, przez które nie może się przedrzeć. Obok niej we mgle stoi Drew i choć woła go na pomoc, on nie odpowiada.

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Tęskniła za Drew.

Przyzwyczała się do jego obecności i z pewnością nieprędko zdoła o nim zapomnieć. Nie traciła nadziei, że kiedyś tu wróci... Pograżona w rozmyślaniach kątem oka dostrzegła jakiś ruch w ogrodzie. Nie była pewna, czy to męska sylwetka, czy tylko cień. Zaciągnęła zasłony i położyła się do łóżka. Dobrze, że tajne drzwi w piwnicy zostały zablokowane, choć prawdę mówiąc, wątpiła, by Hambleton ośmielił się tu jeszcze pokazać. Musi się liczyć z tym, że jest poszukiwany.

Nagle przypomniała sobie, że kiedyś Drew zapowiedział, iż wyśle kogoś, by jej pilnował. Uspokojona uznała, że człowiek, którego dostrzegła w ogrodzie, zapewne pilnuje domu na wypadek, gdyby Hambleton zaryzykował powrót w te okolice. Pomyślała, że jeżeli Drew troszczy się o jej bezpieczeństwo, to może jednak wróci, i z tą myślą zasnęła.

Następnego dnia wcześniej rano nadszedł list, w którym pani Horne informowała, że wraz z Lucy przyjadą w połowie przyszłego tygodnia. Jo zostanie u ciotki Wainwright, a potem pojedzie razem z nią do Bath.

*Jo już się z tym pogodziła. Głównie dzięki temu, że my również tam będziemy. Brakuje jej twojego zdrowego rozsądku, ale mam nadzieję, że sobie poradzi.*

Marianne wróciła do zdrowia i swobodnie poruszała się po domu i w ogrodzie. Oczekując na przyjazd mamy i siostry, pomagała przygotowywać pokoje, w których miały zamieszkać. Bessie starannie umyła okna i podłogi i wywietrzyła pościel, a Marianne pomogła jej pościelić łóżka, poukładać poduszki i poustawiać różne drobiazgi, dzięki którym pokoje stały się wygodniejsze i bardziej przytulne.

W dniu ich przyjazdu Marianne wstawiła do pokoi wazony ze świeżymi kwiatami. Wkrótce przyszedł list, w którym pani Horne zawiadamiała, że

zanocują w Truro i przyjadą nazajutrz. I rzeczywiście następnego dnia o trzeciej po południu powóz wuja Wainwrighta zajechał pod dom.

Marianne wybiegła, żeby przywitać rodzinę, i Lucy od razu padła jej w ramiona. Szlochając, powtarzała, że nigdy więcej nie chce się z nią rozstawać, że ostatnie tygodnie były okropne.

Marianne przyjrzała się siostrze i stwierdziła, że Lucy rzeczywiście bardzo zmizerniała - na bladej buzi nie było śladu rumieńca.

- Aż tak źle było wam w Lodge? - zapytała.

- Okropnie. Mój pokój był tak mały, że nie miałam gdzie położyć swoich rzeczy. Większość trzeba było zapakować i schować na strychu.

- Tutaj będziesz miała duży, śliczny pokój. Jeżeli mama się zgodzi, będziecie mogły zamieszkać tu na stałe.

- Moja droga Marianne. - Pani Horne objęła córkę. - Tak się cieszę, że tu jestem. Nie chciałabym wykorzystywać ciotki Berthy, ale z radością myślę o kilku tygodniach odpoczynku. Zawsze sobie wyobrażałam, że wizyta w Bath mogłaby być bardzo przyjemna.

Powiał chłodny wiatr i Marianne przestraszyła się, że Lucy ponownie się przeziębii.

- Chodźmy do środka. Ogrzejecie się przy ogniu - powiedziała, trzymając siostrę za rękę.

Przybyłe przywitały się z lady Edgeworthy, po czym przedstawiono im Jane, a Bessie podała napoje. Po pewnym czasie Marianne zabrała Lucy na górę, żeby mama i ciotka mogły swobodnie porozmawiać. Jane poszła do kuchni ustalić coś z kucharką.

Lucy rozglądała się po utrzymanym w kremowej i różowej barwie pokoju, który Marianne i Bessie tak starannie dla niej przygotowywały, wybierając najładniejsze meble ze wszystkich pokoi gościnnych. Marianne znalazła w bibliotece kilka książek z bajkami i położyła ja na małym stoliku przy oknie. Obok ustawiła wygodny fotel, by czytając, można było spoglądać na ogród.

- Podoba ci się?

- Bardzo! Przywiozłam większość swoich ulubionych rzeczy. Kiedy je rozpakuję, będę czuła się niemal jak w domu. A jeśli mama zdecyduje, że zostaniemy, pošlemy po resztę dobytku. Wolałabym nie wracać do Lodge.

- Przypuszczam, że mama zorientuje się, jak bardzo ciotka chce was mieć przy sobie. Nie mówiłam mamie o tym, co się tu ostatnio działo. Najkrócej rzecz ujmując, ciotka miała bardzo nieprzyjemne przeżycia z pewnym okrutnym łotrem i nie chce sama mieszkać.

- Biedna ciocia Bertha. Musisz mi o wszystkim opowiedzieć - poprosiła Lucy.

- Usiądź, bo to długa historia. Prawdopodobnie w tej chwili ciocia opowiada ją mamie.

Marianne zrelacjonowała ostatnie wydarzenia. Opowieść o przemytnikach, szpiegach i ukrytym przejściu rozbudziła wyobraźnię Lucy i dopiero wzmianka, że próbowano zabić ciotkę, przeraziła ją.

- A to drań! Dobrze, że odkryłaś, do czego zmierzał, i że zablokowaliście wejście do piwnic.

- Zapewniam cię, że tamtędy już nikt nie dostanie się do domu. Wszystko się dobrze skończyło i teraz możemy spokojnie mieszkać - zapewniła z uśmiechem Marianne.

- A markiz Marlbeck? Wspomniałaś, że odkrył, iż Humbleton jest zdrajcą, i chciał go schwytać. Odezwał się do ciebie?

- Nie otrzymałam od niego żadnych wiadomości. Jane mówiła, że obiecał, że przyjedzie na jej ślub. Z pewnością jest bardzo zajęty, przecież zarządza Marlbeck Manor i innymi posiadłościami.

- Przez cały ten czas nie wiedziałaś, że pan Beck to markiz Marlbeck?

- Nie. Zależało mu na zachowaniu incognito ze względu na to, że postawił sobie za cel zdekonspirować szpiega i zdrajcę. Prawdopodobnie więcej go nie zobaczymy, nie ma więc sensu o nim mówić. Pora się przebrać do obiadu.

- Ciotka Bertha jest kochana, że nas tu zaprosiła i pozwoliła zostać. Ogromnie się cieszę na wyjazd do Bath. Wiem, że jestem za młoda, żeby chodzić z wami na przyjęcia, ale mama uważa, że i dla mnie znajdzie się tam ciekawe zajęcie.

- Na pewno. - Marianne uśmiechnęła się ciepło do Lucy. - Zostawię cię, bo chcę porozmawiać z mamą, zanim zejdziemy na posiłek. Powinna być u siebie.

Przed wyjściem siostry Lucy z widoczną radością przystąpiła do oglądania wszystkich ślicznych drobiazgów, które umieszczono w jej pokoju. Marianne zrobiło się ciepło na sercu. Była ogromnie rada, że ma kochającą rodzinę. A co do Drew... Najwyraźniej o niej zapomniał: nie przyjechał ani nawet nie napisał. Najlepiej będzie, jeśli przestanie liczyć na jego zainteresowanie. Obiecała sobie, że spróbuje wyrzucić go z pamięci.

Drew i kapitan Jack Harcourt siedzieli przy stole w bibliotece w Marlbeck Manor i sączyli wino. Drew musiał wrócić do domu, ponieważ wzywały go pilne sprawy, a przyjaciel postanowił mu towarzyszyć.

- Przesłuchiowano go wielokrotnie, ale do niczego się nie przyznał. Wiemy, że nazywa się Raoul Viera i że pracuje dla Bonapartego - powiedział Jack. - Twierdzi, że przyjechał w jak najbardziej legalnych interesach i z tym, co się tamtej nocy działo na plaży, nie ma nic wspólnego.

- Nie przyznaje się do współpracy z Humble'em?

- Zaprzeczył, aby znał kogoś o takim nazwisku. Z dowództwa zginęły pewne dokumenty i złodziej zamierzał sprzedać je Humble'owi, a ten z kolei miał je sprzedać Raoulowi. Niewykluczone, że się z nim dogadamy.

- Jak to?

- Po tej stronie kanału ma on paru wpływowych przyjaciół. Jeśli nie zdobędziemy dowodów jego winy, że będziemy musieli go wypuścić.

- Powinienem był z nim skończyć, kiedy miałem okazję! - wykrzyknął zapalczywie Drew. - Gdybym się w porę nie zjawił, mógł zabić Marianne.



- Znam tę damę?
- Wątpię. Po co było to wszystko, skoro chcecie uwolnić Francuza?
- Wypuścimy go, ale będzie to wyglądało tak, jakby zmusili nas do tego jego wpływowi przyjaciele. Dokumenty, które ukradziono wcześniej, zostały przez nas podmienione. Będziemy go śledzić i aresztujemy, kiedy wypełni swoje zadanie. Jeśli skontaktuje się z Hambletonem vel Humble'em, jego też weźmiemy pod obserwację, dopóki nie przekaze papierów Raoulowi, po czym go zatrzymamy. Natomiast Francuz opuści Anglię z fałszywymi dokumentami.
- Od początku tak to sobie zaplanowałaś?
- To była jedna z możliwości - odparł Jack. - Od dawna wiemy, że ważne informacje wydostają się poza armię. Jednak dopiero kilka tygodni temu zaczęliśmy podejrzewać, że Humble bierze udział w szpiegowskim procederze.
- Wtedy poprosiłeś mnie o pomoc. Obawiam się, że nie poradziłem sobie tak, jak na to liczyłeś.
- Być może nie. - Jack się roześmiał. - Wolałbyś ich wszystkich zastrzelić, zupełnie jak na polu walki.
- W tamtych czasach było inaczej. Byliśmy szaleni, nie dbaliśmy o swoje życie - stwierdził melancholijnie Drew,
- Czyżby zaczęło zależeć ci na życiu? Ma to coś wspólnego z Marianne?
- Myślę o niej w dzień i w nocy i nie mogę przestać, choć usiłuję, bo wiem, że nie dałbym jej szczęścia, na jakie zasługuje. Wracając do naszych spraw, uważasz, że jest szansa pochwycić Humble'a?
- Tak. Może nie zdawać sobie sprawy, jak dużo wiemy, a poza tym jest zdesperowany. Stracił całą kontrabandę. To był naprawdę duży transport. Z pewnością francuskie złoto jest mu bardzo potrzebne...
- W takim razie warto spróbować - zgodził się Drew. - Choć nie kryję, że wypuszczenie Francuza na wolność bardzo mi się nie podoba.
- Nie spuścimy z niego oka aż do chwili, gdy wsiądzie na statek płynący do Francji. Nie zapominaj, że to tylko jeden z wielu szpiegów. W dyplomacji

nic nie jest czarne albo białe. To kraina szarości. Jeśli powiesimy Raoula, zastąpi go ktoś inny. A tak przynajmniej będziemy mieli z niego jakąś korzyść.

- To jak głowy mitycznego potwora. Odrąbiesz jedną, wyrośnie następna.

Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Myślałeś o powrocie do Kornwalii?

- Tak, wybieram się tam lada dzień. Obiecałem zjawić się na ślubie.

- Nie na swoim, mam nadzieję. Liczę na to, że kiedy się zdecydujesz, nie omieszkaś mnie zaprosić.

- Możesz być tego pewny. A teraz powiedz, jakie zadanie mi wyznaczasz?

- Miej oczy szeroko otwarte. Humble może wrócić do swojej kryjówki niczym ranna bestia do jamy. Gdyby się zjawił, daj mi znać, a ja się nim zajmę.

- Rozumiem, że mam trzymać się od niego z daleka - powiedział Drew. - Spróbuję... ale Humble może zagrażać bezpieczeństwu osób, na których mi zależy.

Drew wiedział, że gdyby w grę wchodziło życie Marianne, nie zawahałby się ani chwili.

- Wiem, co czujesz, ale chcę, żeby Humble stanął przed sądem i poniósł wymierzoną mu karę. Poza tym żywy może się okazać przydatny. Kto wie, jakimi cennymi informacjami dysponuje - nie ustępował Jack.

- Jeśli Humble ośmieli się tam wrócić, zrobię co w mojej mocy, żebyś dostał go w swoje ręce - oznajmił Drew i wstał z krzesła. - Najwyższa pora usiąść do kolacji, inaczej kucharz wytłucze wszystkie naczynia.

Jack się roześmiał i uniósł kieliszek.

- Za nieobecnych przyjaciół! - zawołał i cisnął kieliszek do kominka.

- Na pohybel wrogom! - wykrzyknął Drew i też roztrzaskał swój kieliszek w palenisku.

Wieczorem w swojej sypialni Drew rozsiadł się w fotelu i przyglądał się, jak Robbie ściąga mu z nóg zniszczone buty z cholewami, które z uporem nosił, choć w garderobie miał tuzin nowych i błyszczących. Wiedział, że gdyby

zamiast wiernego ordynansa zatrudnił lokaja, stare buty natychmiast wylądowałyby w śmietniku.

- Rano wracamy do Kornwalii. Chciałem wyjechać pojutrze, ale jestem niespokojny. Tamta sprawa nie została zakończona. Myślę, że tym razem wezmę dwukólkę i stajennego. I może jeszcze tego małego urwisa. Na miejscu będzie biegał na posyłki.

- Powiedziałbym, że zostało tam więcej niedokończonych spraw, kapitanie - zauważył Robbie. - A może pan się przestraszył?

- Niech cię diabli! O czym mówisz! - Zirytowany Drew spojrzął na wiernego sługę.

- Dobrze pan wie co. Jeśli pan ją straci, będzie żałował. Proszę nie robić takiej miny, bo dobrze pan wie, że mam rację - odparł Robbie i wyszedł, zabierając buty kapitana do czyszczenia.

- Wynoś się! - ryknął Drew i sięgnął po karafkę brandy, stojącą przy łóżku. Złościł się, bo w duchu przyznał rację Robbiemu.

Wyjeżdżając z Sawlebridge, śpieszył się do Londynu. Koniecznie chciał porozmawiać z Jackiem. Był wściekły, że nie zdołał schwycić Humble'a. Co prawda, złapali francuskiego szpiega, ale tylko dzięki ostrzeżeniu Marianne. Gdyby nie jej obecność na klifie, Raoul Viera by się ulotnił. Zresztą wygląda na to, że i tak mu się upiecze i wróci do ojczyzny, zabierając ze sobą sfalszowane dokumenty. Może tak się załatwia sprawy w dyplomacji, ale Drew takie rozwiązanie nie satysfakcjonowało. On chciałby widzieć Humble'a i Francuza na szubienicy. Wiedział jednak, że nic z tego nie będzie.

Z goryczą pomyślał, że Marianne była zaledwie o krok od śmierci. Był na nią wściekły, że tak ryzykowała, a ona nie pozostała mu dłużna. Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Ta słodka dziewczyna potrafiła pokazać pazurki, kiedy się zezłościła.

Była obrażona, że on zataił przed nią, kim jest i jak się nazywa. Może i miała rację, ale powinna wziąć pod uwagę nadzwyczajne okoliczności, w jakich oboje się znaleźli.

Marianne jest godną pożądaną, piękną, dzielną i pełną temperamentu kobietą. Pragnął jej całym sobą i marzył, żeby przy niej się budzić i zasypiać. Czuł, że są sobie przeznaczeni, a mimo to wahał się i nie miał odwagi zrobić tego ostatniego kroku.

Nie był pewny, czy uczucie, które nie pozwalała mu spać nocami, to miłość czy tylko namiętność. Bał się, że po jakimś czasie zatęskni za dawnym życiem, i czuł, że byłby nie w porządku, gdyby ożenił się z Marianne, wiedząc, że nie będzie dla niej odpowiednim mężem.

Zdawał sobie sprawę, że nic nie wie o miłości. Nie miał kochających rodziców ani rodzeństwa. Jedynymi, którzy okazywali mu przywiązanie, byli jego żołnierze.

Marianne zasługuje na kogoś lepszego niż on. Czy powinienem dążyć do szczęścia, ryzykując, że tym samym zniszczę jej życie? - zadał sobie w duchu pytanie Drew.

- Pięknie wyglądasz w tej sukni, Jane. Doktor Thompson ma znakomity gust - pochwaliła Marianne.

- Rzeczywiście, wyglądam ładnie - przyznała Jane i musnęła palcami naszyjnik z lazurytu, który dostała dziś rano razem z pięciuset funtami od lady Edgeworthy. - Wszystkie te rzeczy są takie piękne, ale najbardziej cieszy mnie kapelusik od ciebie. Dałaś mi aż dwa nakrycia głowy, doprawdy, rozpuszczasz mnie, Marianne.

- Ten zielony zrobiłam, zanim pokazałaś mi swoją nową suknię, a potem dorobiłam drugi. Jeden jest w prezencie ode mnie, a drugi, choć mojej roboty, od mojej mamy i od Lucy, bo to one zapłaciły za materiał i przybranie.

- Jesteście dla mnie takie dobre! - Jane westchnęła i wzięła ozdobioną niebieską wstążką wiązanekę zrobioną z kwiatów, które Lucy zebrała rano w

ogrodzie. Od pani Horne pożyczyła oprawioną w białą skórę Biblię, a od lady Edgeworthy starą koronkową podwiązkę. Tak wyposażona mogła stanąć na ślubnym kobiercu. - Jestem wreszcie gotowa. Możemy schodzić - oznajmiła.

Jane zeszła na dół, a Marianne poczekała na górze, chcąc, by dzisiaj wszyscy podziwiali tylko pannę młodą. Potem podjechały powozy mające ich zawieść do kościoła. Do pierwszego wsiedli Marianne, Jane i major Barr, który miał zastąpić nieżyjącego ojca Jane i poprowadzić ją do ołtarza. Do drugiego lady Edgeworthy, pani Horne i Lucy.

Nie jechali długo, bo kościół znajdował się na skraju posiadłości lady Edgeworthy. Czekala na nich spora gromada ludzi z wioski. Z ciekawością przyglądali się wysiadającym z powozów, a kiedy panna młoda i goście znaleźli się w kościele, gapie także weszli i zajęli miejsca w tylnych ławkach.

Marianne była druhną Jane, a pan Pembroke drużbą doktora Thompsona. Pastor zaintonował pierwszy hymn i liczne głosy wypełniły niewielki kościół. Doktor Thompson cieszył się sympatią okolicznych mieszkańców, a niektórzy z nich, szczególnie ci biedniejsi, wprost go uwielbiali.

Przyglądając się, jak Jane promienieje szczęściem, składając małżeńską przysięgę, Marianne miała łzy w oczach. Wzięła od Jane wiązanekę, zanim nowożeńcy przeszli do zakrystii, aby złożyć podpisy na akcie ślubu. W chwilę potem zabrzmiał kościelny dzwon i młoda para opuściła kościół.

Obsypana płatkami róż Jane wsiadła do powozu, który czekał, by zabrać ją do Sawlebridge House, gdzie po południu miało się odbyć niewielkie weselne przyjęcie urządzone przez lady Edgeworthy.

Marianne miała wsiadać do powozu, gdy nagle coś zwróciło jej uwagę. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła wysokiego mężczyznę. Drew, bo to był on, uklonił się, a ona poczuła, że jej serce przyspieszyło rytm.

A więc przyjechał, pomyślała rozradowana, ale zaraz uprzytomniła sobie, że gdy wszyscy czekali, aż nowożeńcy wyjdą z kościoła, Drew miał wystarczająco dużo czasu, by podejść do niej i porozmawiać. Jednak tego nie

zrobił. Stał z daleka, a na jego twarzy nie było śladu zuchwałego uśmiechu, który ją tak urzekał.

Zrozumiała, że nie miała racji, złościąc się na Drew, bo mógł nie ujawniać prawdziwego nazwiska z ważnych powodów. Zadała sobie w duchu pytanie, czy nadal jest na nią zły. Gdyby mu na niej zależało, a obowiązki nie pozwalały mu wcześniej przyjechać, napisałby choć parę słów.

Wsiadła do powozu. Ogarnęło ją rozczarowanie, ale musiała ukryć emocje, aby nie popsuć tak ważnego dla Jane dnia.

Marianne знаła wszystkich gości poza dwoma mężczyznami zaproszonymi przez doktora Thompsona. Jeden z nich, starszy pan, uśmiechnął się do niej i odszedł, by porozmawiać z majorem Barrem. Drugi, około trzydziestki, wysoki, ciemnooki i przystojny, okazał się lekarzem. Podobnie jak doktor Thompson, leczył biedotę, tyle że w Londynie.

- Simon wyjechał na wieś, a ja odnalazłem swoje miejsce w mieście. Jest tam wielu biednych i bezradnych ludzi, którymi nikt się nie zajmuje - oznajmił doktor Barton.

- Musi pan być oddany swojej pracy. Doktor Thompson także martwi się warunkami, w jakich żyje tutejsza biedota, ale mogę sobie wyobrazić, że w mieście jest jeszcze dużo gorzej - powiedziała Marianne.

- Myślę, że praca w kopali jest tak samo ciężka, jak praca w fabryce. Trudno orzec, co jest gorsze, ale tutejsi ludzie mają przynajmniej świeże powietrze - odparł doktor Barton.

- Zapewne ma pan rację. To pocieszające, że są jeszcze tacy ludzie jak pan.

- Odziedziczyłem sporo pieniędzy. Mam piękny dom i prowadzę wygodne życie. Uważam, że pomaganie innym jest moim przywilejem i dlatego leczę biednych.

- Jest pan bardzo szczodrym człowiekiem. - Marianne skinęła głową z wyraźną aprobatą.

- Nie chcę, aby pani myślała, że jestem święty. Korzystam z życia w gronie przyjaciół. Nie mam jednak żony i zazdroszczę Simonowi. Jane to urocza dziewczyna. Znakomicie nadaje się na żonę lekarza.

- To prawda - przyznała Marianne. - Proszę wybaczyć. Widzę, że Jane mnie potrzebuje. Może później porozmawiamy?

- Będzie mi bardzo przyjemnie - odrzekł doktor Barton, patrząc na nią z zachwytem w oczach.

Marianne podeszła do Jane, która trzymała w ręku wąskie pudełko.

- Zobacz, co przysłał mi markiz Marlbeck. - Jane otworzyła pudełko i Marianne zobaczyła złoty łańcuszek ozdobiony brylantami i szafirami. - Piękny, prawda? Nie pojmuję, czemu dał mi coś tak drogiego. Nie oczekiwałam od niego prezentu.

- To niewiarygodnie bogaty człowiek. Na pewno uznał, że zasługujesz na piękny podarek. Poza tym myślę, że lubi twojego męża - powiedziała Marianne.

Spojrzała na doktora Thompsona, który stał niedaleko z doktorem Bartonem i Drew. Prowadzili ożywioną rozmowę.

- Mimo wszystko to bardzo hojny gest. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała okazję założyć tak cenną biżuterię - zauważyła Jane.

- Może w przyszłości? Na przykład na ślub córki?

- Jeśli będę miała córkę... Wszyscy są dla nas tacy dobrzy. Dostaliśmy mnóstwo prezentów. Nawet ludzie z wioski przysłali nam beczułkę brandy. Choć wątpię, by kupili ją legalnie.

- Pewnie nie - odparła ze śmiechem Marianne. - Nie powinnaś się tym przejmować. W ten sposób próbują podziękować doktorowi za to, co dla nich robi.

Pan Pembroke zajął Jane, a Marianne podeszła do Lucy rozmawiającej z majorem Barrem.

- Major Barr ma „Bajki braci Grimm” i obiecał mi je pożyczyć. To bardzo miłe z jego strony, prawda? - zaszczębiotała Lucy.

Marianne przyznała siostrze rację i poszukała wzrokiem Drew. Zauważyła, że zniknął, i poczuła łzy pod powiekami. Czyżby wyszedł bez pożegnania?

- Marianne?

Słyszając jego głos za plecami, zamknęła na chwilę oczy, ale zaraz odwróciła się i spokojnie go powitała.

- Miło, że zjawił się pan na ślubie Jane. Pański prezent sprawił jej dużą radość. Łańcuszek jest naprawdę piękny.

- Zwyczajny drobiazg. Kupiłem go w mieście. Nie przyjechałem tylko z powodu ślubu Jane.

- Zamierza pan złapać kolejnego francuskiego szpiega? - zapytała z uśmiechem Lucy. - To takie ekscytujące. Schwycił pan wszystkich przemytników czy też niektórzy z nich uciekli? A co ze zdrajcą? Nadal przebywa na wolności?

- Lucy, to nie jest odpowiednie miejsce ani pora na takie pytania. - Marianne próbowała przywołać siostrę do porządku.

- Nie szkodzi. - Drew spojrzał czule na Lucy. - Zgaduję, że jest pani młodszą siostrą Marianne. Może weźmiemy coś do jedzenia i wyjdziemy do ogrodu. Tam będzie pani mogła mnie o wszystko wypytać.

- Z radością. Kucharz ciotki Berthy piecze wspaniałe ciasta. Lubi pan ciasto?

- Owszem, jeśli jest dobre. Chodźmy zobaczyć, co jest na stole. - Drew podał ramię Lucy, a ona przyjęła je tak, jakby od dawna znała markiza.

Marianne obserwowała ich idących przez pokój i zazdrościła siostrze swobody, z jaką traktowała Drew. Ona sama w jego towarzystwie była skrepowana i zdenerwowana, ponieważ wyczuwała w nim rezerwę.

- Przynieść pani coś ze stołu? - zapytał doktor Barton.

Marianne przywołała na twarz uśmiech, ale kątem oka widziała, jak Drew i Lucy wychodzą do ogrodu.



- Dziękuję, nie - odparła uprzejmie, bo polubiła doktora Bartona. - Muszę pilnować, żeby gościom niczego nie brakowało, i dać znać do kuchni, jeśli trzeba będzie coś donieść.

- Oczywiście, rozumiem - odparł wyraźnie rozczarowany doktor Barton. - Słyszałem, że wkrótce wybiera się pani do Bath. Jadę tam na zjazd lekarzy. Zatrzymam się kilka dni u brata, który tam mieszka. Może uda się nam spotkać?

- Może. Proszę wybaczyć, ale pokojówka czeka na dyspozycje...

Bessie chciała wiedzieć, czy podawać ciasta i słodycze, i Marianne spędziła z nią kilka minut. Potem jedna z pań zapragnęła się odświeżyć i zapytała, gdzie znajduje się przygotowany w tym celu pokój. Później jeszcze zaczęły się przemówienia i toasty i minęła dłuższa chwila, zanim Marianne była wolna. Już wcześniej widziała, że Lucy wróciła sama do salonu, ale nie miała okazji z nią porozmawiać. Dopiero gdy Jane poszła zmienić suknię, Marianne podeszła do siostry.

- Markiz już wyszedł? - zapytała.

- Tak. To bardzo miły człowiek - odparła z uśmiechem Lucy. - Powiedział, że teraz musi coś załatwić, ale obiecał odwiedzić nas jutro rano, około jedenastej.

- Ach...

Marianne była zdruzgotana. Zrozumiała, że Drew nie chce z nią rozmawiać na osobności. Jego jutrzejsza wizyta miała zapewne na celu poinformowanie ich o dalszych losach tego łotra, porucznika Humble'a.

## *Rozdział dziesiąty*

Następnego dnia rano Marianne zeszła na dół z ciepłym szalem na ramionach.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała pani Horne. - Ciotka Bertha proponuje, żebym z nią tutaj zamieszkała. Chciałabym z tobą o tym porozmawiać.

- Oczywiście, ale teraz muszę iść do wioski. Ciocia prosiła, żebym jej kupiła jedwab do haftu. Brakuje jej jednego z odcieni zieleni, a ja, według niej, mam oko do kolorów. Chętnie się przejdę. Lubię spacerować.

- Dobrze, że pomagasz ciotce - pochwaliła pani Horne, zadowolona z córki. - Wiesz, że za dzień lub dwa wyjeżdżamy do Bath. Jo i ciotka Wainwright dołączą do nas w przyszłym tygodniu. Spędzimy tam około trzech tygodni, a potem razem z Jo wrócimy tutaj, do Sawlebridge House.

- Ciotka Bertha zastanawiała się nad przeprowadzką do Bath, ale to było, zanim wpadła na pomysł, żebyśmy wszystkie z nią zamieszkały tutaj. To duży dom. Przed waszym przyjazdem większość pokoi w ogóle nie była używana. Moim zdaniem, ciotka kocha ten dom i wcale nie ma ochoty się wyprowadzać.

- Takie rozwiązanie może zadowolić nas wszystkich. Jeśli zdecyduję się przyjąć jej propozycję, pošlę po Lily. Zawsze była w stosunku do nas lojalna, a poza tym tak czy inaczej trzeba będzie zatrudnić więcej służby.

- Rzeczywiście, ciotka Bertha wspominała, że Bessie potrzebuje dziewczyny do pomocy.

- Wspomniała, że wiosną przyszłego roku planuje w naszym towarzystwie wyjazd do Londynu. Byłaby to świetna okazja dla ciebie i dla Jo - chyba że wcześniej same znajdziecie sobie mężów. - Pani Horne obrzuciła Marianne bawdawczym wzrokiem. - Jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

- Nie, mam. A powinnam?

- Nikt poza tobą tego nie wie. Ciotka Bertha sugerowała, że spodobał ci się markiz Marlbeck.

- Lubię go, to prawda, ale wątpię, by poprosił mnie o rękę.

- Ja też uważam, że to mało prawdopodobne, choć twoja ciotka jest innego zdania. Nie martw się. Jesteś bardzo ładna i na pewno spotkasz niejednego dżentelmena, który będzie umiał to docenić. Trudno liczyć na to, że markiz oświadczy się córce pastora.

- Wiem, mamo. - Marianne walczyła ze sobą, by nie paść matce w ramiona i się nie rozplakać. - On... on też mnie lubi, ale musi brać pod uwagę zobowiązania wobec swojej rodziny oraz własną pozycję.

- Nie wydaje mi się, żeby markiz miał liczną rodzinę, jednak nie może zapomnieć o tym, do czego zobowiązuje go nazwisko. Z tego, co słyszałam, obraca się w kręgach, które nawet dla wuja Wainwrighta są zbyt elitarne. Jeśli chodzi o mnie, będę zadowolona, widząc cię przy boku miłego dżentelmena w typie twojego ojca... A propos, doktor Barton pytał, czy może nas odwiedzić w Bath. Widziałam, że rozmawiałaś z nim podczas weselnego przyjęcia Jane.

- To człowiek z pasją i rozmowa z nim była naprawdę ciekawa. Myślę, że dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele jest biedy w otaczającym nas świecie. Teraz widzę, ile miałyśmy szczęścia, dopóki żył papa.

- Był dobry i przyzwoity. Agatha powtarza mi, że powinnam ponownie wyjść za mąż, i przyznam, że zaczęłam się nad tym zastanawiać. Lord Wainwright jest dobry, ale moja siostra... - Pani Horne potrząsnęła głową. - Zresztą to nieważne. Podjęłam decyzję i postanowiłam przeprowadzić się do ciotki Berthy. Dobrze się rozumiemy, a przed naszym przyjazdem ciotka była bardzo samotna. Jeśli tu zamieszkam, nie będzie musiała zatrudniać damy do towarzystwa. Jestem pewna, że kiedy wszystkie moje córki wyjdą za mąż i zostaniemy z ciotką same, będzie nam razem dobrze.

- Minie sporo czasu, zanim to się stanie. Lucy jest za młoda, by myśleć o małżeństwie, a Jo upiera się, że nie wyjdzie za mąż. Oczywiście to może się zmienić, jeśli pozna kogoś, kto się jej spodoba.

- A ty, moja droga?

- W tej chwili jestem szczęśliwa.

- W takim razie pozwólmy sprawom toczyć się swoim biegiem. W Bath na pewno będzie bardzo przyjemnie. Kto wie, kogo tam spotkamy?

Marianne przyznała matce rację i obie ruszyły do swoich zajęć. Pani Horne poszła do kuchni, by omówić dzisiejszy jadłospis. Zamierzała też ustalić, co z jedzenia, które zostało po weselu Jane, można wykorzystać, a co oddać biednym we wsi, bo uważała, że jedzenia nie wolno marnować. Marianne wyszła z domu tylnymi drzwiami. Wiedziała o planowanej wizycie markiza, ale nie zależało jej na tym, żeby się z nim zobaczyć. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Gdyby to z nią chciał się spotkać, nie przekazywałby informacji o swojej wizycie przez Lucy, tylko powiedziałby jej o tym osobiście.

Drew spędził dwadzieścia minut na rozmowie z panią Horne i z Lucy. Lady Edgeworthy była jeszcze w swojej sypialni, a Marianne się nie pokazała.

- Obawiam się, że człowiek, który przedstawił się lady Edgeworthy jako Hambleton, choć posługiwał się także innymi nazwiskami, nadal przebywa na wolności. Oczywiście jest poszukiwany i z pewnością niedługo zostanie schwytany. Na razie sugerowałbym jednak ostrożność.

- Zaczynam się niepokoić - przyznała pani Horne. - Może powinnam była zatrzymać Marianne w domu? Powiedziała, że wybiera się do wioski. Mam nadzieję, że nic jej nie grozi. Wyszła ponad godzinę temu, ale to jeszcze nie jest powód, żeby wszczynać alarm. Córka lubi długie spacerować.

- Zdaje się, że jesteśmy sąsiadami. O ile się nie mylę, panie mieszkają na plebanii, leżącej niedaleko mojej posiadłości, prawda?

- Już nie. Niestety, mąż nie żyje. Po jego śmierci musiałyśmy opuścić plebanię. Mąż mojej siostry zaproponował, żebyśmy przeprowadziły się do Lodge, niewielkiego domku znajdującego się na terenie jego posiadłości, ale nie było nam tam zbyt wygodnie. W rezultacie postanowiłam przyjąć zaproszenie mojej ciotki i zdecydowałam się zamieszkać razem z córkami w Sawlebridge

House. Za trzy dni wyjeżdżamy do Bath. Zostaniemy tam około trzech tygodni, potem wrócimy, a wiosną najprawdopodobniej odwiedzimy Londyn.

- Myślałem, że przyjechały panie tutaj tylko z wizytą. Nie zdawałem sobie sprawy, że to przeprowadzka. Zamierzałem odwiedzić panie na plebanii... ale to nieważne. Mam nadzieję, że wczorajsze wesele było udane?

- O, tak. Jane była przytłoczona ogromem życzeń i prezentów, ale na ślubach zawsze tak jest, nie uważa pan? Jak długo zamierza pan tu pozostać?

- Trudno to dokładnie określić. W każdej chwili mogę być zmuszony do wyjazdu. Posiadłość wymaga nadzoru, a ostatnio trochę zaniedbałem obowiązki. Poza tym sprawa tego łajdaka Hambletona ciągle jeszcze nie jest zakończona. Chciałbym, żeby już był za kratkami.

- Wszyscy odczuwamy ulgę, kiedy to wreszcie się stanie.

- Miejmy nadzieję, że nie będziemy długo czekać. Nie chcę zajmować pani więcej czasu. Jestem rozczarowany, że nie zastałem Marianne, proszę jej to powtórzyć.

- Przykro mi, że się minęliście. Marianne poszła do wioski załatwić coś dla swojej ciotki, ale mogła to zrobić później. Jestem pewna, że zostałyaby w domu, gdyby była powiadomiona o pańskiej wizycie.

- Wiedziała, że pan markiz zamierza nas odwiedzić. Sama jej o tym powiedziałam - wtrąciła Lucy.

- Lucy... - Pani Horne rzuciła córce niezadowolone spojrzenie. - Jestem przekonana, że Marianne musiała cię nie zrozumieć. Nie wyobrażam sobie, żeby celowo chciała być niegrzeczna.

- To nic. Pewnie i tak ją spotkam przed waszym wyjazdem, bo oboje lubimy spacerować.

Drew pożegnał obie panie i wyszedł. Zrozumiał, że Marianne poszła do wioski, żeby się z nim nie widzieć. Nie mógł mieć do niej o to pretensji. Pomyślał, że może to i lepiej, jednak kusilo go, by poczekać w ogrodzie na jej powrót. Tęsknił za nią, marzył o tym, żeby wziąć ją w ramiona i całować do

utruty tchu. Żadna inna kobieta nie umiała obudzić w nim tak gwałtownej żądz, a jednak wszystko wskazywało na to, że ich związek jest z góry skazany na niepowodzenie, zupełnie jakby ciążyła nad nim klątwa. Wiedział, że nie jest wart Marianne, ale nie był w stanie tak po prostu odejść. Musiał ją przynajmniej jeszcze raz zobaczyć. Nogi same go poniosły w kierunku strumienia i rododendronowych zarośli.

Marianne spostrzegła, że Drew zmierza w jej kierunku. Zadrżała i szczerzej owinęła ramiona szalem, bo nie chciała, by pomyślał, że tak zareagowała na jego widok. Nie spieszyła się do domu; chciała w samotności przemyśleć pewne sprawy.

Jednak gdy go zobaczyła, nie próbowała uniknąć spotkania. Jeśli pewne rzeczy musiały zostać powiedziane, lepiej, by to się stało tutaj, gdzie nie będzie musiała niczego udawać, z dala od oczu i uszu rodziny. Chciała wreszcie usłyszeć, jakie były jego intencje.

- Twoja matka powiedziała, że poszłaś do wioski, ale pomyślałem, że tu cię znajdę. - Drew spojrzał oskarżycielsko na Marianne. - Dlaczego wyszłaś z domu, skoro wiedziałaś, że zamierzam złożyć wam wizytę?

- Musiałam coś załatwić dla ciotki - odparła. - W domu była mama i Lucy. Nie przypuszczałam, że masz do powiedzenia coś szczególnego właśnie mnie. Gdyby tak było, zapewne wspomniałbyś o tym podczas weselnego przyjęcia Jane - dodała z wyzywającym błyskiem w oczach.

Najchętniej chwyciłby ją za ramiona i potrząsnął. Nie pojmował, jak mogła nie wiedzieć, ile dla niego znaczy! Z drugiej strony skąd mogła to wiedzieć, skoro nawet on sam nie był pewny swoich intencji? Płonąc żądzą, marzył, żeby osiąść Marianne, a mimo to milczał, niepewny, co powiedzieć.

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Znalazłeś mnie, więc jeśli masz mi coś do powiedzenia, słucham. Czy to będą przeprosiny?

- A może to ty powinnaś przeprosić? Miałaś dać mi znać, kiedy Hambleton opuści Sawlebridge House. Poza tym, kto ci pozwolił włóczyć się samej po piwnicy w poszukiwaniu ukrytego wejścia do tunelu! Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby Hambleton tam cię znalazł?

- Wejście zostało zablokowane od środka i nikomu nic się nie stało. - Marianne dumnie uniosła głowę. - Przecież poszłam cię ostrzec, tyle że w domu na klifie nikogo nie zastałam.

- Czekałem na plaży, aż łódź przybije do brzegu. Widziałem cię, ale nie mogłem zrobić. Gdybym próbował ci się pokazać, zasadzkę diabli by wzięli.

- Francuski szpieg wcale nie wylądował tam, gdzie przemytnicy. Wysiadł gdzie indziej i na miejsce dotarł łodem. Próbowałam ci to powiedzieć. Miał się spotkać z Hambletonem, ale coś się nie udało. Kiedy to zrozumiał, przyszedł tam, gdzie poprzednio się ukrywał. To dlatego Hambleton tak się rozzłościł, gdy usłyszał, że dom na klifie został wynajęty.

- Pewnie tak. Ciekawe, czy Hambleton specjalnie nie stawiał się na spotkanie. Mógł się dowiedzieć, że na plaży jest zasadzka na przemytników...

- Może. Nie załapano go jeszcze?

- Niestety, nie, ale wierzę, że wkrótce to się stanie. Przypuszczalnie boi się ruszyć z miejsca i prawdopodobnie ukrywa się w tych okolicach.

- Dlatego wróciłeś?

- Między innymi. Były też inne powody. Na przykład ślub Jane.

- Ślicznie wyglądała jako panna młoda, prawda?

- Podobno wszystkie panny młode ładnie wyglądają - rzekł ironicznie Drew. - Nie widziałem wielu ślubów, a tych kilka, podczas których byłem obecny, odbywało się w pośpiechu w przerwach między bitwami, bez kościoła i bez kwiatów.

- To nie znaczy, że panny młode nie mogły wyglądać uroczo.

- Masz rację - przyznał i zdobył się na wyznanie: - Rodzice zmarli, kiedy byłem mały. Wysłano mnie do szkoły, gdzie nie zawsze było mi lekko. Miłość,

troska, czułość... No cóż, nigdy ich nie zaznałem. Nie jestem pewien, czy potrafię kochać, i czy wiem, co to jest miłość.

- To łatwe, jeśli samemu się tego doświadczyło - zauważyła spokojnym tonem Marianne, chociaż była wstrząśnięta słowami Drew. - Rozumiem jednak, że jeśli ktoś nie zaznał miłości, może być mu trudniej.

- Właśnie tego się obawiam - przyznał Drew, choć nie przyszło mu to łatwo. - Boję się, że kogoś skrzywdzę i że sam będę cierpieć.

- Wyraziłeś się bardzo jasno - powiedziała z trudem Marianne, bo miała ściśnięte gardło. - Jeśli chodzi o mnie, to w najbliższym czasie nie planuję małżeństwa. Moja cioteczna babka i zarazem chrzestna nie będzie już sama, ale Lucy ostatnio ciężko chorowała. Bardzo za mną tęskniła i nie wyobrażam sobie, żebym mogła ją zostawić, zanim nie wróci do zdrowia. Proszę wybaczyć, muszę wracać do domu. Nie chcę, żeby rodzina się o mnie martwiła, a poza tym robi się zimno.

Owijając się ciasno szalem, z wysoko uniesioną głową, Marianne minęła Drew i ruszyła w stronę domu. Oczy napęłniły jej się łzami, ale duma nie pozwalała się rozplakać. Przekonała się, że Drew jej nie kocha. Chodziło mu wyłącznie o flirt.

Drew patrzył, jak Marianne odchodzi, i czuł się jak ostatni głupiec. Chciał za nią pobiec, chwycić w ramiona i całować do utraty tchu, kochać się z nią... Wiedział, że jeśli posuną się za daleko, nie będzie odwrotu i będzie musiał się z nią ożenić. A mimo to coś go trzymało w miejscu. Poczul się jak mały chłopiec, który wyglądając przez szkolne okno, widzi, jak jego koledzy biegną powitać swoje mamy. Patrzył, jak one czule tulą swoich synów, i zrozpaczony otaczał swoje serce coraz grubszym murem.

Jak mógł obiecać, że będzie kochał Marianne do końca życia, jeśli nie wiedział, jak to się robi?

Marianne niecierpliwie otarła łzy grzbietem dłoni. Nie wolno jej płakać. To takie głupie. Szlochanie i rozdrapywanie ran nic nie da. Drew jej nie kocha.



Wyjawił, że boi się kochać, ale ona nie potrafiła tego zrozumieć. W jej mniemaniu albo się kogoś kocha, albo nie. Było to dla niej tak naturalne jak oddychanie.

Kochała mamę i siostry, ale najbliższy jej sercu był ojciec. Przypomniała sobie, jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką, ojciec trzymał ją w ramionach. Przewróciła się i skaleczyła sobie kolano. Ojciec wziął ją na ręce i uspokoił, a potem oczyścił skaleczenie, pocałował, żeby się szybko zagoiło, i dopiero wtedy oddał ją w ręce mamy.

- Co mam robić, papo? - szepnęła. - Tak bardzo go kocham, a on mnie nie...

Gdyby jej ojciec żył, mogłaby go zapytać, jak poradzić sobie z bólem odrzucenia, a tak będzie musiała radzić sobie sama. Z matką ani z siostrami nie chciała o tym rozmawiać, żeby ich nie denerwować.

- To przyszło, kiedy pana nie było, kapitanie - oznajmił Robbie, podając mu zapieczętowany list. - Posłaniec powiedział, że to pilne i że ktoś czeka na odpowiedź, ale nie wiedziałem, kiedy pan wróci.

Drew złamał pieczęć i przeczytał tajemniczą wiadomość.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał i podał list Robbiemu.

- „Jeśli chcesz złapać człowieka podającego się za Joshuę Hambletona, przyjdź dzisiaj o dziewiątej wieczorem do starej kopalni. Masz być sam. Przynieś pięćdziesiąt gwinei. Tyle kosztuje informacja”. - Robbie skończył czytać i spojrzał na kapitana. - Moim zdaniem, to podejrzane. Na pana miejscu bym uważał.

- Zgadza się z tobą, ale myślę, że powinienem tam pójść. Jack liczy na to, że Humble wpadnie w jego pułapkę, ale jeśli się myli, ten drań zniknie i więcej go nie zobaczymy - odparł Drew. Gniew, z jakim myślał o zdrajcy, zmalował, gdy w końcu pojął, że zemsta na Humble'u nie wróci życia jego towarzyszom broni. - Nie miałoby to dla mnie takiego znaczenia, gdyby nie chodziło o...

- O starszą damę i młodą piękność? - zapytał Robbie. - Zrobi pan, co zechce, kapitanie, ale jeśli zdecyduje się pan pójść, będę panu towarzyszył. Zabezpieczę tyły.

- Dziękuję, Robbie. Musisz się ukryć. Jeśli ten ktoś naprawdę ma dla mnie jakieś wiadomości, obojętne, kim jest, nie chcę go spłoszyć.

- Myśli pan, że to ten pisarz od notariusza? Kiedyś sprzedał panu informację.

- To prawda. Choć wydaje mi się, że on wolałby spotkanie w innym miejscu, na przykład w zajezdzie. Ale kto wie...

- Trzeba brać pod uwagę, że to pułapka. Humble mógł wysłać ten list, żeby zwabić pana w odludne miejsce.

- Wiem, jak sobie z nim poradzić. Jack chciałby go dostać żywego, ale jeśli sytuacja będzie tego wymagać, nie zawaham się go zastrzelić.

- Obaj będziemy uzbrojeni. Jeśli zauważę, że drań chce pana zabić, strzele mu nawet w plecy.

- Co za bojowa postawa - mruknął Drew.

Od chwili, gdy pozwolił odejść Marianne, czuł się okropnie. Lojalność wiernego ordynansa sprawiła, że od razu poprawił mu się nastrój. Przeklinał się od głupców i tchórzy i nie pojmował, jak mógł ją tak bardzo skrzywdzić. Wiedział, że jej twarz będzie go prześladowała po nocach. Musi do niej pójść i błagać o wybaczenie; spróbować wyjaśnić jej, co czuje, choć prawdę mówiąc, sam tego nie pojmował.

Postanowił poczekać z tym do rana. Bał się, że teraz mogłaby nie chcieć go widzieć. A poza tym zyska trochę czasu na przemyślenia. Jeśli dzisiaj wieczorem wszystko dobrze pójdzie, sprawa zdrajcy i francuskiego szpiega zostanie zakończona. Rano zobaczy się z Marianne i spróbuje wyjaśnić to, co wcześniej tak poplątał.

Pani Horne przebywała w salonie w towarzystwie Marianne i lady Edgeworthy.

- Czy coś się stało? - zwróciła się do córki. - Jesteś blada. Mam nadzieję, że się nie przeziębiłaś.

- Na pewno nie, ale boli mnie głowa. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, położę się przed kolacją.

- Oczywiście, odpocznij. Nie chcemy, żebyś się rozchorowała. Przecież wkrótce wyjeżdżamy do Bath - odparła lekko zaniepokojona pani Horne.

- Jeśli będziesz dobrze się czuła, wyjedziemy jutro - poinformowała lady Edgeworthy. - Obie z Cynthią uważamy, że nie ma co zwlekać. Dom jest zabezpieczony na czas naszej nieobecności, pogoda dopisuje, a w dodatku, jak mi wiadomo, kilkoro z moich przyjaciół zjechało do Bath.

- Jestem pewna, że rano będę czuła się zupełnie dobrze. Zacznę pakować kufer, żeby jutro nie opóźnić wyjazdu.

- Bessie może to za ciebie zrobić, ma czas, bo Lucy już się spakowała i zaraz weźmie się za moje rzeczy - wyjaśniła pani Horne. - Nie może się doczekać wyjazdu, choć uprzedziłam, że jest za młoda i nie będzie mogła uczestniczyć w przyjęciach i balach.

- Lucy będzie nam towarzyszyła podczas przejażdżek, spacerów i wizyt towarzyskich. Nie będzie się nudzić. Przyznam, że i ja nie mogę się doczekać, żeby wyjść między ludzi i spotkać starych przyjaciół - przyznała lady Edgeworthy.

Marianne skinęła głową i wyszła z salonu. Zaniepokoiła ją wiadomość o natychmiastowym wyjeździe. Liczyła na to, że zostaną co najmniej dwa dni... ale w końcu, jakie to ma znaczenie. Najchętniej wypłakałaby swoje żale, ale nie chciała zepsuć wszystkim tak długo wyczekiwanego wyjazdu. Postanowiła być dzielna i z uśmiechem na twarzy pogodzić się z tym, że Drew jej nie kocha. Jak mogła być aż tak naiwna, żeby liczyć na to, iż ktoś taki jak on zechce się z nią ożenić?

W tej sytuacji wyjazd dwa dni później niczego by nie zmienił. Cierpiała i jedyne, co jej pozostało, to nadzieja, że czas leczy rany. Miała wokół siebie

rodzinę, a w Bath spotka się z Jo. Postanowiła, że nie będzie zalewać się łzami. Poszuka Lucy i razem zapakują rzeczy mamy.

To była bardzo ciemna noc i w dodatku rozpętała się burza. Wył wicher, a spienione fale zalewały przybrzeżne skały. Gdybym nie musiał, nie wyszedłbym z domu w taką pogodę, pomyślał Drew. Niósł lampę, a Robbie krył się za nim w cieniu na wypadek, gdyby ktoś ich obserwował w drodze do starej kopalni.

Obaj mieli ze sobą broń. Od chwili wyjścia z domu nie zamienili nawet słowa, bo spodziewali się pułapki. Kiedy zbliżyli się do umówionego miejsca spotkania, Drew zdmuchnął świecę w swojej latarni i otoczyła ich ciemność. W pierwszym momencie żaden z nich niczego nie widział, ale po pewnym czasie oczy przyzwyczyły się do ciemności i zaczęli rozróżniać poszczególne kształty. Przyszła chwila, żeby się rozdzielić. Drew poszedł w kierunku kopalni, a Robbie miał go obserwować z daleka.

Przybywszy na umówione miejsce, Drew rozejrzał się wokoło, ale nikogo nie zauważył. Wiedział, że do wyznaczonego terminu spotkania zostało kilka minut. Przykucnął, by stanowić trudniejszy cel dla zabójcy, i czekał.

Po dwudziestu minutach nikt się nie zjawił i Drew zaczął nabierać przekonania, że Robbie się nie pomylił. Albo to miała być pułapka, albo ktoś zrobił z nich głupców. Wstał i ruszył w stronę wejścia do kopalni, ciekawy, czy autor listu czai się gdzieś w cieniu. Rozglądając się wokoło, Drew nie patrzył pod nogi. Schylił się dopiero wtedy, gdy butem natrafił na coś leżącego na ziemi. Pomacał rękami w ciemności i zrozumiał, że to ludzkie ciało.

Sięgnął do kieszeni po hubkę i zapalił świecę. W żółtym świetle rozpoznał twarz pisarza, który poprzednio sprzedał mu informację.

- Robbie! - Drew zerwał się z kolan i machając latarnią, dał znak ordynansowi. - Miałeś rację. Niestety, ktoś nas wyprzedził. Biedak nie wiedział nawet, że umiera.

- Myśli pan, że to Humble go zabił?

- Może... Dlaczego, do diabła, chciał się spotkać właśnie tutaj? - Drew popatrzył na bladą twarz zabitego. - Nic już nie możemy dla niego zrobić. Chodźmy stąd. Rano powiadomię majora Barra. Jest sędzią pokoju, zajmie się tą sprawą.

- To najrozsądniejsze słowa od kilku godzin - rzekł Robbie. - Wracajmy do domu. Jeśli obaj nie umrzemy na zapalenie płuc, to będzie cud.

- Nigdy się nie przeziębiam - odparł Drew i kichnął. - Należy się nam szklaneczka grogu. Nie powinienem był dać się nabrać na takie wyprawy.

- Ten, kto go zabił, widział, że nie przyszedł pan sam, i moim zdaniem, gdzieś się ukrył. Wątpię, żeby odważył się teraz pana zaatakować.

- Wiemy przynajmniej, że Humble nadal przebywa w okolicy - stwierdził Drew.

Zanim wrócili do domu, zmokli do suchej nitki.

- Zrobił pan wszystko, co możliwe, kapitanie. Reszta należy do wojska - orzekł Robbie. - Niech pan zdejmie mokre ubranie i się położy. Zaraz przyniosę panu szklaneczkę gorącego grogu.

- Można by pomyśleć, że jestem dzieckiem albo niepełnosprawnym starcem. Będąc w wojsku, przeżyłem gorsze rzeczy niż deszcz.

- To prawda - przyznał Robbie. - Proszę pamiętać, że kiedyś przychodzi ten pierwszy raz, kiedy człowiek zachoruje. Poza tym cierpiał pan już na gorączkę.

- Nie zaczynaj! - wykrzyknął Drew i kichnął. - Głupiec ze mnie. Zrobię, jak radzisz, ale ty też zdejmuj mokre ubranie. Zapewniam cię, że nie chciałbyś, abym został twoją pielęgniarką.

Drew zostawił Robbiego w kuchni i poszedł do sypialni. Rozebrał się i wytarł ręcznikiem. Kiedy wszedł pod kołdrę, przeszedł go lodowaty dreszcz i pomyślał, że musiał chyba stracić rozum, żeby w taką pogodę wychodzić z domu. No tak, ale przecież liczył na interesujące informacje... Podciągnął kołdrę

pod samą brodę, bo wciąż było mu zimno. Z wdzięcznością przyjął z rąk Robbiego szklaneczkę grogu.

- To mnie postawi na nogi. Wypiję i od razu poczuje się lepiej. Mówiłem ci, że nigdy się nie przeziębiam. Za kilka godzin będę zdrów jak rydz.

Następnego ranka sytuacja nie wyglądała jednak lepiej. Drew dostał wysokiej gorączki. Był rozpalony i nieprzytomny.

- Świetnie - rzekł do siebie Robbie. - Obok wejścia do kopalni leży trup, a morderca biega wolno. Nie rozdwoję się. Nie mogę kapitana zostawić w takim stanie. Chłopak pobiegnie po doktora, Harry pójdzie zawiadomić urzędnika o śmierci, i to wszystko, co na razie możemy zrobić...

Nagle nieprzytomny wciąż Drew otworzył oczy.

- Marianne... wróć do mnie... nie chciałem cię skrzywdzić... - szepnął, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

- Na razie panna będzie musiała poczekać, kapitanie. Z tego, co słyszę, zdołał pan wszystko nieźle poplątać. Każdy widzi, że to prawdziwa dama, i jeśli pozwoli jej pan odejść, skończy pan jako zgorzkniały samotnik - orzekł Robbie, po czym rozпалиł w kominku.

Wiedział, że kapitan jest silnym mężczyzną, bo w Hiszpanii pielęgnował go wtedy, gdy miał napady gorączki, tyle że były one wywołane ciężkimi ranami. Dlaczego zachorował tym razem? Kapitan rzeczywiście rzadko się przeziębiał, ale może pokonała go wyjątkowo paskudna pogoda? Nie dawała mu spokoju myśl, że gdy jego pan leży złożony chorobą, morderca swobodnie krąży po okolicy i może kogoś skrzywdzić.

Lucy zmusiła Marianne, by przystanąły przed wystawą sklepu z kapeluszami. Zobaczyła piękny niebieski kapelusik, który jej zdaniem wspaniale pasował do narzutki, jaką Jo uszyła dla niej z kupionego w Huntingdon aksamitu.

- Zapytamy, ile on kosztuje? - Lucy popatrzyła prosząco na siostrę. - Myślisz, że możemy sobie pozwolić na taki wydatek?

- Jeśli nie jest zbyt drogi... - odparła z uśmiechem Marianne. - Kiedy przyjechałam do ciotki Berthy, dostałam od niej pewną kwotę i do tej pory nie wydałam z tych pieniędzy ani pensa. Wejdźmy. Chcę, żebyś go przymierzyła. Ja przymierzę ten zielony...

Lucy była uszczęśliwiona. Jeszcze nigdy w życiu nie spędzała tak miło czasu, jak podczas pobytu w Bath. W sklepie przymierzyła co najmniej dziesięć nakryć głowy, ale ostatecznie kupiła ten kapelusik, który zauważyła na wystawie. Marianne przymierzyła dwa kapelusze, ale żadnego nie kupiła.

Wychodząc ze sklepu, przystanąły przy drzwiach, żeby przepuścić dwie panie, które właśnie wchodziły. Marianne zamierzała minąć je z uprzejmym skinieniem głowy, kiedy młodsza z kobiet nagle chwyciła ją za ramię.

- Och, to pani, panno Horne! - zawołała wyraźnie uradowana. - Mówiłam mamie, że widziałam panią w Bath, ale mama uważała, że musiałam się pomylić. Tak się cieszę, że się spotkałyśmy. W najbliższy weekend organizujemy wieczorek tańczący. Zaproszenia zostały już wysłane, ale mam nadzieję, że mimo to zechce pani nas odwiedzić. Proszę powiedzieć, że pani przyjdzie!

- Panna Forester. - Marianne uśmiechnęła, słysząc tak entuzjastyczne powitanie. - Przyjechałam tutaj z mamą i cioteczną babką, a to moja siostra Lucy.

- W takim razie musicie przyjść wszystkie razem. Prawda, mamó? - Henriette popatrzyła na matkę błagalnym wzrokiem. - Powiedz, że je zapraszamy!

- Oczywiście, kochanie. Jeśli tego chcesz. - Lady Forester czule popatrzyła na córkę. - Była pani bardzo uprzejma, zabierając nas z drogi do swojego powozu, panno Horne. Mam wrażenie, że nie podziękowałam pani wtedy tak jak powinnam. Proszę nas odwiedzić. Henriette urządza wieczorek tańczący, a na razie nie poznała jeszcze prawie żadnych dziewcząt w swoim wieku. Dopiero co przyjechałyśmy.

- Lucy jeszcze nie debiutowała w towarzystwie.

- Henriette jest od niej tylko trochę starsza, a poza tym to prywatne spotkanie - powiedziała lady Forester. - Gdzie się zatrzymałyście? Odwiedzę waszą mamę i poproszę, żeby was przyprowadziła.

- Prawdziwe tańce! - Lucy nie była w stanie ukryć emocji. - Zgódź się, Marianne, proszę.

- Jeśli mama nie będzie miała nic przeciwko temu... - odparła Marianne. - Moja ciotka, lady Edgeworthy, wynajęła dom przy Queen Square i zaręczam, że z przyjemnością panią pozna. To bardzo miło, że pani nas zaprasza.

- To drobiazg w porównaniu z tym, co pani dla nas zrobiła. Musimy już iść. Mamy jeszcze dużo spraw do załatwienia. - Lady Forester skinęła głową i razem z córką weszła do sklepu.

Marianne i Lucy ruszyły ulicą.

- Nie opowiedziałas mi o spotkaniu z lady Forester. - Lucy przyjrzała się siostrze z zainteresowaniem.

- Zapomniałam - przyznała Marianne. Od tamtej pory w jej życiu tyle się wydarzyło, że ten incydent wyleciał jej z pamięci. - W ich powozie odpadło koło. Powóz zepchnięto z drogi, żeby nie tarasował przejazdu, a ja podwiozłam je do najbliższego zajazdu. Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

- Pewnie tak, ale na szczęście to byłaś ty. Dzięki temu wezmę udział w prawdziwych tańcach! Wieczorek w prywatnym domu musi być o wiele przyjemniejszy niż bal w ratuszu, nie uważasz?

- Może, ale trudno powiedzieć, bo na razie nie byliśmy jeszcze na balu w ratuszu. Tak czy inaczej, jeśli mama się zgodzi, czeka nas przyjemny wieczór.

Pani Horne nie знаła lady Forester i nie była pewna, czy powinna przyjąć jej zaproszenie. Jednak wszelkie wątpliwości znikły, gdy lady Forester zjawiła się przy Queen Square, by osobiście je zaprosić.



- Na pewno poznamy wiele osób w pijalni i na balach w ratuszu, ale miło będzie mieć już jakichś znajomych. Poza tym dzięki temu, że to będzie małe, prywatne spotkanie Lucy może nam towarzyszyć - powiedziała pani Horne.

- Masz rację, mamó - przyznała Marianne. - Zastanawiałam się, czy...

Przerwała, bo do salonu weszła Bessie i panna Rudge, które na wyraźne życzenie ciotki zostały zabrane do Bath. Lady Edgeworthy wynajęła dom ze służbą, ale uważała, że będzie lepiej się czuć, mając przy sobie własną pokojówkę.

- Masz mi coś do powiedzenia, Bessie? - zapytała pani Horne.

- Przybył gość, proszę pani. Ponieważ pytał o pannę Marianne, chciałam się upewnić, czy panienka zechce go przyjąć.

- Kto to jest? - zapytała Marianne w nadziei, że to Drew.

- Doktor Barton. Usłyszał, że panie przyjechały do Bath, i postanowił się przywitać.

- To miło z jego strony. Poproś, żeby wszedł - poleciła lady Edgeworthy. - Napijemy się herbaty, a dla pana podaj kieliszek madery.

Marianne podeszła do okna, za którym rozciągał się piękny ogród. Była tak rozczarowana, że poczuła łzy pod powiekami. Potrzebowała chwili, żeby się uspokoić. Była w Bath od pięciu dni i niepotrzebnie się łudziła, że Drew ruszy jej śladem. Po co miałby tu przyjeżdżać, przecież w czasie ostatniego spotkania wszystko jej wyjaśnił. Pora wziąć się w garść, zapanować nad tęsknotą i pogodzić się z tym, że więcej go nie zobaczy. Zwrócona plecami do salonu, słyszała, jak mama i ciotka witają gościa. Wiedziała, że musi ukryć cierpienie pod uśmiechem.

Drew stał przy oknie i patrzył na morze. Odwrócił się, kiedy Robbie przyniósł mu gorącą wodę do golenia. Pierwszy raz od pięciu dni miał sam się ogolić. Wciąż jeszcze czuł się słabo, ale Wydobrzył już na tyle, że posłał Robbiego po majora Barra.

- Major Barr zawiadomił, że przyjdzie z wizytą dziś o jedenastej - oznajmił Robbie. - Wydaje mi się, że najpierw chciał się rozpytać, czy ktoś widział tego drania. Wątpię, by go złapali.

- Nie może żyć bez wody i jedzenia. Prędzej czy później będzie musiał wyjść z kryjówki. Chyba że ktoś go ukrywa. Musi mieć w tej okolicy liczne kontakty, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, gdzie go szukać. - Drew zmarszczył brwi. - Ten łobuz umie zniknąć...

- Może major Barr czegoś się o nim dowie.

Okazało się, że sędzia pokoju jest tak samo sfrustrowany i bezradny, jak Drew i Robbie.

- Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Nasi ludzie przeszukali wszystkie opuszczone zabudowania i ruiny. Zagląдали nawet do starych kopalni, ale na razie nie natrafili na żaden ślad. Jeśli to Hambleton zabił Symonds, to pewnie zaraz potem uciekł.

- O właśnie, Symonds. Nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska - rzekł zamyślony Drew. - Jeśli Hambleton rzeczywiście zniknął z okolicy, to i dobrze. Cały czas martwiłem się o lady Edgeworthy i o jej gości - wyznał, choć słowo „martwiłem” nie oddawało w pełni niepokoju, jaki odczuwał, leżąc w łóżku słaby niczym niemowlę.

- Lady Edgeworthy wyjechała z rodziną do Bath. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że uporamy się z tą sprawą do ich powrotu. Niestety, łajdak zapadł się pod ziemię i w tej sytuacji nic nie możemy zrobić - stwierdził z westchnieniem major Barr.

- Zapomniałem, że panie zamierzały wyjechać. Zgadza się, że dobrze byłoby zakończyć sprawę przed ich powrotem. Zastanawiam się, czy nie pojechać do Bath. Lady Edgeworthy może wiedzieć o Hambletonie i o jego stylu życia coś, co pomoże go ująć.

- Wątpię, ale niech pan próbuje. Nie dziwię się, że ma pan dosyć tego miejsca.

- Przyznaję, że wolałbym chorować w bardziej komfortowych warunkach.  
- Drew przywołał na twarz wymuszony uśmiech. - Robbie miał przy mnie pełne ręce roboty. W Bath zatrzymamy się w przyzwoitym zajeździe.

- Zapraszam do siebie na kolację. Kucharz przygotuje dobry stek.

- Dziękuję, ale może innym razem - odparł Drew. - Myślę, że wyjedziemy jeszcze dzisiaj po południu.

Kiedy pani Horne i Marianne zjawily się na balu w ratuszu, od razu podeszła do nich panna Forester. Ubrana w suknię z bladoróżowego jedwabiu ze skromnym dekoltem wyglądała wyjątkowo ładnie.

- Lucy nie przyszła z wami? - zapytała.

- Ona jeszcze nie debiutowała - zauważyła pani Horne. - Mogę pozwolić, by uczestniczyła w twoim wieczorku albo żebyście wybrały się na spacer czy do biblioteki, ale na udział w takich balach będzie musiała poczekać rok czy dwa.

- Cieszę się, że będzie gościem u mnie. - Henriette uśmiechnęła się i powiodła wzrokiem po sali. - Tyle tu ludzi, a my nie znamy nawet połowy... - Urwała i nie odrywając wzroku od wysokiego mężczyzny, który właśnie wszedł do sali, pisnęła z przejęcia. - Och! To na pewno on!

Marianne odwróciła się, by zobaczyć, kto zrobił na dziewczynie tak ogromne wrażenie, i serce podeszło jej do gardła. Drew rozglądał się po sali, a potem dostrzegł jej spojrzenie i ruszył w ich kierunku.

Ucieczka z sali balowej nie wchodziła w rachubę. Postanowiła zachować spokój i okazać chłodną uprzejmość. Nie chciała, aby Drew odgadł, że jego obecność wprawiła ją w popłoch.

- Dobry wieczór paniom. - Drew skłonił głowę. - Pani Horne, Marianne, panno Forester, o ile dobrze pamiętam?

- Zgadza się - szepnęła Henriette i spojrzała na niego błyszczącymi oczami. - Mama powiedziała panu, jak się nazywamy, ale nie pamiętam pana nazwiska...

- To markiz Marlbeck. - Pani Horne spojrzała ze zdziwieniem na Henriette. - Wasze spotkanie musiało być bardzo krótkie.

- Markiz Marlbeck - powtórzyła zaskoczona Henriette. - Spotkaliśmy się na drodze. Wtedy, kiedy w naszym powozie zepsuło się koło i Marianne ofiarowała nam miejsca w swoim powozie. Gdyby markiz Marlbeck nam wtedy nie pomógł, mama na pewno wpadłaby w histerię - wyjaśniła, wpatrując się w Drew z nieskrywanym uwielbieniem.

- Tu jesteś, Henriette. - Lady Forester podeszła do córki. Spojrzała na Drew, ale go nie rozpoznała.

- Mamo, to markiz Marlbeck. Pamiętasz wypadek naszego powozu. To pan markiz nam wtedy pomagał...

- Markiz Marlbeck? - Lady Forester zdawała się nie wierzyć słowom córki i zmierzyła Drew baczny spojrzeniem.

Starannie obejrzała jego świetnie uszyty surdut i fular, które mogłyby wzbudzić zazdrość niejednego eleganta. Nienaganny strój rozwiał jej wątpliwości i uśmiechnęła się do niego życzliwie. - Bardzo szlachetnie z pana strony, że pomógł nam pan w nieszczęściu.

- To drobiazg - odparł.

Rozległy się pierwsze takty; rozpoczynały się tańce.

- Uczyni mi pani ten zaszczyt i zatańczy ze mną, panno...

- Oczywiście, dziękuję. Bardzo chętnie - odparła Henriette, zanim Drew skończył, i spojrzała na niego wyczekująco.

Z trudem zapanował nad zniecierpliwieniem, lecz podał ramię Henriette i poprowadził ją na parkiet, gdzie znajdowały się inne pary.

- Ładnie razem wyglądają, prawda? - Lady Forester z czułością patrzyła na córkę. - Dobrze pani zna markiza, pani Horne?

- Przyjechałam tu razem z lady Edgeworthy, a markiz jest jej znajomym. Moja córka zna go lepiej niż ja.

Marianne nie usłyszała odpowiedzi lady Forester, bo jeden z dżentelmenów podszedł i poprosił ją do tańca. Podała mu rękę i razem przeszli na parkiet. W tym tańcu tancerze wielokrotnie zmieniali partnerów, nadszedł więc moment, gdy Marianne tańczyła z Drew.

- Wiesz, że to z tobą chciałem zatańczyć. - Drew spojrzał na nią wyraźnie zirytowany.

- Jak widać, Henriette uważała inaczej - odparła chłodno. Przez chwilę tańczyli oddzielnie, a potem znowu wzięli się za ręce. - To urocza dziewczyna i na pewno nie będziesz żałował swojego wyboru.

- Jęcza! - syknął.

W dalszej części tańca Marianne przeszła do kolejnego partnera i nie miała okazji rozmawiać z Drew. Po skończonym tańcu Drew odprowadził Henriette do jej mamy, a potem od razu podszedł prosto do Marianne i skłonił przed nią głowę.

- Obiecałaś mi następny taniec - powiedział i ujął ją pod ramię.

Kiedy szli w kierunku parkietu, Marianne zorientowała się, że tancerze ustawiają się do walca.

- Nie jestem pewna, czy powinnam tańczyć walca. Słyszałam, że większość młodych dam robi to dopiero po uzyskaniu specjalnego pozwolenia...

- Nie jesteś większością młodych dam, a ja nie mam czasu na takie nonsensy. Jeśli ze mną nie zatańczysz, zaciągnę cię na balkon i pocałuję na oczach wszystkich zebranych - zagroził.

- To bezczelność - odparła. Uniosła głowę i wyzywająco spojrzała mu w oczy. - Szczególnie po naszej ostatniej rozmowie, podczas której dałeś mi do zrozumienia, że między nami nigdy do niczego nie dojdzie.

Orkiestra zaczęła grać i Drew porwał ją do tańca. Przechyliła głowę, przyjmując właściwą pozycję i spojrzała mu w oczy. Bliskość Drew sprawiła, że brakowało jej oddechu. Miała nadzieję, że tego nie zauważył, bo już po chwili dała się ponieść muzyce i swobodnie wirowała po parkiecie w jego silnych

ramionach. Odniosła wrażenie, że unosi się w powietrzu, i zapragnęła, by taniec nigdy się nie skończył.

- Jestem skończonym głupcem - powiedział Drew. - Dobrze wiesz, że między nami coś jest. Coś bardzo silnego, co tak bardzo przypomina miłość.

Taniec dobiegł końca. Będąc w jego ramionach, czuła, że chce tam zostać na zawsze, ale teraz patrzyła na niego z wahaniem, niepewna, co znaczą te słowa. Ona nie miała wątpliwości, że go kocha i że bez niego jej życie będzie puste. Ale co on do niej czuł?

- To nie jest odpowiednia pora na takie rozmowy. Może złożysz nam jutro wizytę? - zaproponowała, kiedy odprowadzał ją do mamy.

- Jeśli się zgodzisz, chciałbym cię zabrać na przejażdżkę.

- Chętnie, dziękuję. Przyjedź po mnie o dziesiątej.

- Doskonale. A teraz wybacź, ale muszę zatańczyć z kilkoma niewinnymi panienkami, których mamy mają nadzieję wydać je za mnie za mąż.

Drew skłonił głowę i odszedł. Marianne zastanawiała się, czy on zamierza poprosić ją o rękę. Nie chciał jej chyba zaproponować romansu? Na to nie mogła się zgodzić i on powinien o tym wiedzieć.

- Markiz Marlbeck już poszedł? - zapytała Henriette. - Mama chciała go zaprosić na mój wieczorek.

- Niestety, był umówiony. Jestem pewna, że wkrótce znowu się spotkacie - powiedziała Marianne.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie się zatrzymał?

- Obawiam się, że nie - odparła Marianne i odwróciła się w stronę dżentelmena, który się jej kłaniał.

- Dobry wieczór, panno Horne. Byliśmy sobie przedstawieni. Zechce mi pani uczynić zaszczyt i zatańczyć ze mną?

- Och... - Marianne dostrzegła kątem oka, że Henriette także ma partnera do tańca, i przyzwalająco skinęła głową.

Był to kolejny taniec, w którym zmieniano się partnerów, i Marianne odkryła, że świetnie się przy tym bawi. Żaden z mężczyzn, z którymi tańczyła, nie sprawiał, że zaczynała jej brakować oddechu, ale było przyjemnie i miała wiele okazji do śmiechu. Po powrocie do domu stwierdziła, że wieczór był udany.

- Szkoda, że Lucy i ciocia Bertha nie mogły z nami pójść. Jutro jesteśmy zaproszone na prywatne przyjęcie, a pojutrze jest wieczorek u lady Forester.

- Mam wrażenie, że lady Forester była zawiedziona, ponieważ markiz Marlbeck tak szybko wyszedł. Zapytała, czy to prawda, że Marlbeck jest jednym z najbogatszych ludzi w kraju, ale powiedziałam jej, że tego nie wiem.

- Co za pytanie! Nic dziwnego, że biedny Drew tak szybko uciekł. Trudno mieć do niego pretensje, że unika tańców, skoro wszędzie czają się na niego mamy swatki, jak je nazywa.

- Biedny Drew? - Pani Horne uniosła brwi. - Nie wiedziałam, że jesteś z markizem na tak przyjacielskiej stopie.

- Och... - Marianne spiekła raka. - Zaprzyjaźniliśmy się... zanim przyjechałaś tu razem z Lucy. Może nie powinnam wyrażać się tak swobodnie, ale powiedział, że przyjaciele zwracają się do niego Drew.

- Rozumiem... - Pani Horne badawczo przyglądała się córce. - Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Markiz Marlbeck zaprosił mnie na przejażdżkę jutro rano. Zgodziłam się. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. Od dawna nie uśmiechałaś się tyle, co dziś wieczorem - odparła pani Horne i pocałowała córkę w policzek. - Śpij dobrze. Rano będziesz chciała ładnie wyglądać.

Marianne skinęła głową i poszła do siebie. Zamknęła drzwi i oparła się plecami o chłodne drewno. Nie miała pojęcia, jakie zamiary ma wobec niej Drew, ale jej mama najwyraźniej uważała, że doszli do porozumienia.

Usiadła przed lustrem i zaczęła wyjmować szpilki z włosów. Potem ostrożnie zdjęła suknię i powiesiła ją na oparciu krzesła, żeby rano Bessie mogła ją wyprasować i odwiesić do szafy. Była to jej najlepsza suknia i będzie ją musiała włożyć na wieczorek u Henriette. Co prawda, zamówiła jeszcze jedną, ale krawcowa nie zdąży jej skończyć na czas.

Wsunęła się pod kołdrę i zdmuchnęła świecę, ale sen nie przychodził. Drew w dalszym ciągu pozostawał dla niej tajemnicą i z niepokojem oczekiwała, co też jutro od niego usłyszy.

## *Rozdział jedenasty*

Marianne ubrała się w zieloną aksamitną suknię i pasującą do niej peliskę. Na głowę założyła zielony kapelusik przybrany pękiem wiśni z wiązaniem ze szkarłatnej wstążki. Chociaż nakrycie głowy było jej dziełem, to wyglądało tak samo jak te, które oglądała na wystawach sklepów, a w dodatku doskonale pasowało do sukni.

Drew przyjechał punktualnie o dziesiątej. Marianne i Lucy były jeszcze na górze. Pani Horne i lady Edgeworthy zaprosiły go do salonu. Marianne usłyszała jego głos, pocałowała siostrę w policzek, wzięła torebkę i zeszła na dół. Słyszając jej kroki, Drew odwrócił się i spojrzał na nią wzrokiem, który wyrażał jednocześnie zachwyt i pochwałę. Podeszedł bliżej, a kiedy wyciągnęła do niego rękę na powitanie, uniósł ją do ust i pocałował.

- Pięknie wyglądasz, Marianne.

- Dziękuję - odparła i spojrzała na matkę. - Nie jestem pewna, jak długo możemy...

- Twoja mama zaprosiła mnie na drugie śniadanie - oznajmił z błyskiem satysfakcji w oczach Drew. - Obiecałem, że wrócimy przed wpół do dwunastej.



Marianne skinęła głową i skierowała się do wyjścia. Przed domem stała dwukółka, koni pilnował chłopiec. Drew pomógł jej wsiąść, a potem zajął miejsce obok niej. Trzymając wodze w rękach, zerknął na chłopca i rzekł:

- Wskakuj szelmo i się zachowuj.

- Tak, panie. Przecież zawsze się zachowuję.

Drew nie odpowiedział i przez kilka minut skupił się na powożeniu. Odezwał się dopiero wtedy, gdy wyjechali z zatłoczonych ulic Bath.

- Bath jest pięknie położone. Pomyślałem, że przejedziemy się po okolicy. Jak się wczoraj bawiłaś?

- Dziękuję, wieczór upłynął bardzo przyjemnie. Panna Forester była rozczarowana, że tak szybko wyszedłeś. Jej mama też.

- Marianne! Ciesz się, że nie pozwoliłem temu szelmie powozić, bo od razu zostałabyś ukarana za takie uwagi.

- Dlaczego tak go nazywasz? Czy on nie ma imienia?

- Nie mam pojęcia - odparł z uśmiechem Drew. - Kiedy rozstałem się z mundurem i przyjechałem do Marlbeck Manor ten szelma wpadł przez komin wprost do mojej sypialni. Był przerażony tym, co go czeka, kiedy jego pan dowie się, co zaszło, więc odkupiłem go od tego człowieka za dwadzieścia funtów i teraz jest moim lokajczykiem. Jest całkiem użyteczny, tylko niestety bywa bezczelny - Drew odwrócił się przez ramię i spojrzał na chłopca. - Jeśli masz jakieś imię, zdradź je panie Marianne.

- Nie wiem, czy je mam. Mój poprzedni właściciel nazywał mnie „Chodź tu” albo „Przeklęty chłopak”. Jeśli wołał inaczej, też przychodziłem.

- Sama widzisz. Jak na razie szelma zupełnie mu wystarczy. Zresztą uważam, że do niego pasuje.

Rzeczywiście chłopiec nie przypominał małego aniołka. Miał zadarty nos, włosy w kolorze imbiru i brakowało mu kilku przednich zębów. Było to szczególnie widoczne, kiedy się uśmiechał, a uśmiechał się niemal bez przerwy,

szczególnie wtedy, gdy mówił do niego jego pan. Najwidoczniej obecna praca bardzo mu odpowiadała.

- Zatrudniasz dziwnych służących - zauważyła Marianne, tłumiąc śmiech.

- Robbie wygląda jak najprawdziwszy pirat.

Drew roześmiał się w głos.

- To by mu się spodobało. On ciebie nazywa „Piękność”.

Słyszając, że rozmawiał o niej z Robbiem, który był raczej przyjacielem niż służącym, Marianne poczuła przyspieszone bicie serca.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem - odezwała się po dłuższej chwili. - Nie znam wielu ludzi o tak wysokiej pozycji jak twoja, ale zawsze wyobrażałam sobie, że są wyniośli i nie zapominają o tym, jak bardzo są ważni. Pamiętam, że twój wuj był właśnie takim dumnym i wyniosłym człowiekiem, lecz jednak szczodrym i szlachetnym.

- Rzeczywiście, miał kilka zalet, ale gdy byłem dzieckiem, wydawał mi się oschły i daleki. A skoro już mówimy o przekonaniu o wielkim znaczeniu własnej osoby.... Co to właściwie znaczy? Odziedziczyłem tytuł i majątek, na które nie liczyłem. Nie przypuszczałem, że do tego dojdzie, i ten niespodziewany zaszczyt bardziej mi ciąży, niż cieszy. Wolałem być żołnierzem i gdyby mój kuzyn nie umarł, nadal byłbym całkiem szczęśliwym kapitanem.

- Beck to twoje prawdziwe nazwisko?

- Myślałaś, że cię okłamałem?

- Nie powiedziałaś, że jesteś markizem - zauważyła oskarżycielskim tonem Marianne.

- Z dość oczywistych przyczyn.

Dojechali do obrzeży pięknie położonej wioski i Drew zatrzymał konie. Zeskoczył na ziemię i oddał wodze chłopcu. Potem podał ramię Marianne i ruszyli powoli w stronę malowniczego stawu, po którym pływały kaczki.

- Używałem swojego rodowego nazwiska, bo nie chciałem, żeby mnie zaczęto odwiedzać i zapraszać w gości. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że markiz

Marlbeck przebywa w okolicy, nie zaznałbym spokoju. Myślałem, że to zrozumiesz.

- Czy wczoraj też dlatego tak szybko wyszedłeś?

- Wczoraj byłem umówiony. Do ratusza przyszedłem tylko dlatego, że lady Edgeworthy powiedziała mi, że tam będziesz. Odkąd odziedziczyłem tytuł, jestem nieustannie ścigany przez zdeterminowane matki, które marzą o tym, by ich córki zostały markizami. To smutne, moja droga, ale prawdziwe. Nie chodzi im o mnie, tylko o mój tytuł i pieniądze. To one czynią mnie tak cenną zdobyczą. W każdym razie dla niektórych.

Nazwał mnie „moja droga”! - pomyślała uradowana Marianne.

- Myślisz, że moja mama patrzy na ciebie jak na zwierzynę łowną?

- Jest na to za mądra. Wyjawiała mi, że nie zależy jej na zaszczytach i majątku, a jedynie na twoim szczęściu.

- Mama wyszła za mąż z miłości i była szczęśliwa aż do śmierci papy.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Wierzę, że zdajesz sobie sprawę z tego, iż darzę cię uczuciem. Wydaje mi się też, że z wzajemnością.

Marianne nie wiedziała, czy może zaufać swojemu głosowi, więc tylko skinęła głową.

Usiedli na ławce pod kasztanem i Drew wziął ją za rękę.

- Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Jak ci wspomniałem, moi rodzice zginęli, gdy byłem małym dzieckiem. Prawie ich nie pamiętam. Powierzono mnie niańce, która z przyjemnością dawała klapsy niegrzecznym chłopcom. Byłem żywym dzieckiem i na pewno nieraz wystawiłem jej cierpliwość na ciężką próbę. Później dostałem się pod opiekę nauczyciela, któremu byłem całkiem obojętny. Zamiast się uczyć, biegałem po lesie, aż w końcu wuj wysłał mnie do szkoły z internatem. Miał syna i nie chciało mu się zajmować dzieckiem brata.

- Musiałeś być bardzo samotny - powiedziała ze smutkiem Marianne. - Od kiedy pamiętam, mam kochającą rodzinę. Papa był wspaniałym człowiekiem. Żałuję, że go nie poznałeś.

- Pewnego razu spotkałem twojego ojca - powiedział Drew. - Przyjechałem do Anglii z Salamanki, oszalały z gniewu i rozpacz. Któregoś ranka poszedłem do kościoła. Podszedł do mnie pastor i zapytał, czemu jestem taki przygnębiony. Wyznałem mu, że ciężko mi na duszy, bo przestałem wierzyć w Boga. Zamiast na mnie krzyżeć i wymyślać mi od bluźnierców, zaprosił mnie do zakrystii i zaczął ze mną rozmawiać. Nie pamiętam, co który z nas wtedy mówił, natomiast nie zapomniałem wrażenia, że on sięgnął w głąb mojego serca i sprawił, że ból minął... Od tamtej pory zacząłem odzyskiwać rozum. To był twój ojciec.

- Och, Drew... - W oczach Marianne błyszczały łzy. - Tak się cieszę, że go poznałeś i że ci pomógł. Właśnie taki był mój ojciec.

- Pragnę cię od pierwszej chwili. Próbowałem o tobie zapomnieć, ale to niemożliwe. Musiałaś wyczuć, że chciałem się z tobą kochać, ale...

- Ale nie chcesz się ze mną ożenić, tak?

- Nie to zamierzałem powiedzieć. Będę szczęśliwy i zaszczycony, jeśli zechcesz zostać moją żoną. Zwlekałem, bo bałem się, że sprawię ci ból. Nie zawsze byłem taki spokojny, mam za sobą szalone lata. Jest we mnie coś dzikiego, co staram się kontrolować, ale nie mogę obiecać, że sobie z tym do końca poradziłem. Zależy mi na tobie i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, Marianne, ale wciąż się waham, czy mogę dać ci takie szczęście, na jakie zasługujesz. Nie wiem, czy umiem kochać taką dziewczynę jak ty, najdroższa. Pragnę cię i potrzebuję, ale boję się, że któregoś dnia mogę cię skrzywdzić.

- Och, Drew... - Marianne poczuła, że głos więźnie jej w gardle. Chciała śmiać się i płakać, bo jego wyznanie napełniło ją szczęściem. - Kocham cię, Drew - szepnęła, biorąc go za rękę. - Myślę, że zakochałam się w tobie wtedy, gdy pierwszy raz mnie pocałowałeś, choć nie odważyłam się nawet o tym

myśleć. Od tamtej pory kochałam cię coraz bardziej i gdybyś mnie nie poprosił o rękę, zostałabym starą panną. Wyjdę za ciebie, ale proszę, żebyś pozwolił Lucy często nas odwiedzać. Jest do mnie bardzo przywiązana i źle znosi rozłąkę.

- Jeśli chcesz, twoja siostra może z nami zamieszkać. - Drew pochwycił Marianne w ramiona i czule pocałował.

- Naucz mnie kochać - poprosił. - Boję się, że mogę cię skrzywdzić, a bardzo tego nie chcę.

- Papa zwykł mówić, że ludzie nie są doskonali i czasami sprawiają sobie przykrość, mimo że w gruncie rzeczy tego nie chcą. Jeśli kłótnia zostanie zażegnana przed końcem dnia, to nazajutrz nikt nie będzie o niej pamiętał.

- Twój papa był mądrym człowiekiem. Myślę, że pora wracać, moja droga. Ten mały szelma nie spuszcza z nas oczu, a poza tym dobrze byłoby chyba poinformować twoją mamę o naszych planach.

- Masz rację. - Marianne uśmiechnęła się i wstała z ławki.

Chłopiec z uśmiechem podał wodze swojemu panu i wskoczył na tył dwukółki.

- Widzę, że wszystko już zostało ustalone - powiedział. -

Założyłem się z Harrym i wygrałem szylinga. On twierdził, że pan nie należy do tych, co się żenią, a ja mówiłem, że przed Bożym Narodzeniem będzie pan już po ślubie.

- To zależy od panny Marianne - odparł Drew i rzucił małemu florena. - Uważaj, co mówisz, szelmo. W przyszłości oczekuję szacunku dla mojej żony.

- Bardzo słusznie, proszę pana. - Chłopiec spojrzał na Marianne i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Robbie uważa, że pani jest piękna. Powiedział, że jeśli pan pozwoli pani odejść, to będzie jeszcze głupszy, niż to się wydaje.

Drew posłał chłopcu groźne spojrzenie, a Marianne się roześmiała. Pomyślała, że jeśli Robbie i chłopiec są podobni do reszty służby markiza, to musi to być niezwykły dom.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę cię do Marlbeck Manor - powiedział z westchnieniem Drew. - Najpierw musimy ustalić sprawy związane ze ślubem. Gdzie powinna się odbyć ceremonia? Tutaj czy w domu lady Edgeworthy, który niedługo stanie się także domem twojej mamy i sióstr?

- Osobiście wolałabym w Sawlebridge House, ale zapytajmy o zdanie mamę i ciotkę.

- Jestem pewien, że z radością przychylią się do twojej prośby. Jeśli się zgodzą, z końcem tygodnia pojedę do Kornwalii i wszystkim się zajmę.

Ustalono, że ceremonia odbędzie się w Sawlebridge House. Lady Edgeworthy była szczęśliwa, że Marianne postanowiła wziąć ślub w jej domu, i zamierzała dołożyć wszelkich starań, by uświetnić ten dzień. Starsza dama stwierdziła, że lubi Bath, ale teraz, kiedy będzie miała towarzystwo, zdecydowanie woli Kornwalię.

- Zamieszkaś ze mną, Cynthia. Potem dołączy do nas Jo, a poza tym będziemy jeszcze miały Lucy. Co najmniej przez kilka lat. - Lady Edgeworthy była bardzo zadowolona.

- Dostałam list od Jo. Píše, że ich wyjazd do Bath znów się opóźnia - powiedziała pani Horne. - W tej sytuacji Jo najpierw przyjedzie na ślub Marianne. Moja siostra może przyjechać razem z Jo do Kornwalii albo spotkać się z nią dopiero w Bath.

Marianne promieniała szczęściem.

- Drew był chory. Silna gorączka przykuła go do łóżka i Robbie musiał się nim opiekować. Jak tylko poczuł się lepiej, przyjechał wprost do Bath, żeby ze mną się spotkać. A ja myślałam, że całkiem o mnie zapomniał.

- Wspominał, że przez kilka dni był chory. Podczas walk w Hiszpanii nabawił się gorączki, która od czasu do czasu wraca, ale zapewniał mnie, że to nic groźnego. Czy między wami ułożyło się tak, jak chciałaś?

- Tak, mam. Kocham go i chcę zostać jego żoną - odparła Marianne, ignorując głos wewnętrzny, który podpowiadał, że z ust Drew nie padły słowa:

„kocham cię”. Chociaż nie wyznał jej miłości, wiedziała, że ją kocha. Wierzyła, że po pewnym czasie spędzonym razem Drew zrozumie, że to, co do niej czuje, to jest właśnie miłość.

Idąc na wieczorek tańczący do Henriette, Marianne miała na placu pierścionek zaręczynowy. Wiadomość o jej zaręczynach z markizem Marlbeckiem obiegała Bath i Henriette powitała Marianne z zachmurzoną twarzą.

- Nie wspominałaś, że zamierzasz poślubić markiza.

- Do wczoraj sama o tym nie wiedziałam. Od dawna byliśmy przyjaciółmi, ale nie prosił mnie o rękę.

Henriette westchnęła, nieudolnie próbując ukryć rozczarowanie.

- On jest taki przystojny... Mama mówi, że jest też bogaty, ale dla mnie to bez znaczenia. Mam nadzieję, że kiedyś spotkam kogoś równie interesującego jak on. Na razie żaden z dżentelmenów nie wydaje mi się tak atrakcyjny, żebym chciała za niego wyjść.

- W przyszłym roku wyjedziesz na sezon do Londynu. Może wtedy kogoś poznasz? - pocieszyła ją Marianne.

- Może - odparła i smutno popatrzyła na Drew, który właśnie do nich się zbliżał. - Los ci sprzyja, Marianne...

- To prawda - przyznała i uśmiechnęła się do narzeczonego. - Spóźniłeś się, ale i tak zachowałam dla ciebie trzy tańce.

- Przepraszam. Odwiedził mnie przyjaciel i rozmowa się przeciągnęła... - Drew zmarszczył brwi, jakby coś go martwiło. - Muszę wyjechać jutro z samego rana. Miałem cię odwiedzić do domu, ale coś się wydarzyło...

- Coś złego?

- Nic, czym musiałybyś się martwić dzisiejszego wieczoru - zapewnił z uśmiechem Drew. - Grają walca. Wierzę, że to jeden z tańców, które zachowałam dla mnie?

- Oczywiście - odparła i podała mu rękę.

Następnego dnia rano Lucy przyszła do sypialni Marianne i siadając na łóżku, wzięła herbatnika z tacy ze śniadaniem siostry. Od przyjazdu do Bath stało się to już zwyczajem i obie panny były z tego zadowolone.

- Świetnie bawiłam się wczoraj wieczorem - oznajmiła Lucy. - Nie mogę się doczekać twojego ślubu, ale będę za tobą tęsknić.

- Szybko zyskasz przyjaciół. Ciotka Bertha wspominała, że niedaleko Sawlebridge House mieszkają dziewczęta w twoim wieku. Powiedziała, że zaprosi je i ich mamy na herbatę, żebyście mogły bliżej się poznać.

- Henriette też jest miła, obiecała, że do mnie napisze, lecz nikt nie zastąpi mi ciebie.

- Będiesz mnie odwiedzać. Drew powiedział, że możesz przyjeżdżać tak często, jak zechcesz.

- W takim razie nie mam nic przeciwko temu, żebyś wyszła za mąż! - zawołała Lucy i ujęła dłoń siostry, żeby obejrzeć pierścionek z brylantami i szafirami. - Piękny. Po ślubie na pewno będziesz miała mnóstwo klejnotów.

- Mam już cudne perły od ciotki Berthy. Oddałam mamie te, które mi pożyczyła, więc teraz może je nosić Jo, jeśli zechce.

- Henriette mówi, że kiedy zostaniesz markizą Marlbeck, będę musiała ci się kłaniać.

- Henriette często opowiada bzdury. - Marianne uśmiechnęła się i pocałowała siostrę w policzek. - Czy Drew wymaga od ciebie, żebyś mu się kłaniała?

- Nie. - Lucy zachichotała na samą myśl, że miałyby dygać przed Drew. - On jest taki wesoły i ciągle żartuje. Rozśmiesza mnie, a kiedyś dał mi gwineę. Tylko powiedział, żebym nikomu o tym nie mówiła.

- Tak samo jak papa. On też nam dawał po szylingu i zabraniał przyznawać się mamie. Pamiętasz?

- Pamiętam. Papa dawał też pieniądze dzieciom ze wsi. Myślisz, że Drew też to robi?



- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tak było - odparła Marianne, uświadamiając sobie, że mężczyzna, którego pokochała, ma wiele twarzy. - A teraz idź się ubierać. Czeka nas długa droga, a ciotka Bertha chce wyjechać przed dziesiątą.

- Wiem. - Lucy wstała, biorąc z tacy kolejnego herbatnika. Marianne bardzo się cieszyła, że wraca do Sawlebridge

House, który w ciągu ostatnich tygodni był jej domem. Za kilka tygodni weźmie ślub, a potem jako żona Drew zamieszka w Marlbeck.

Wyskoczyła z łóżka i podśpiewując pod nosem, zaczęła się ubierać. Jak wiele może się zmienić w tak krótkim czasie. Jadąc do Bath, była zrozpaczona, a teraz czuła się najszczęśliwszą osobą na świecie.

Drugiego dnia po powrocie do Sawlebridge House chłopiec zwany przez Drew szelmą przywiózł Marianne list, w którym narzeczony usprawiedliwiał się, że jest bardzo zajęty, i obiecywał, że jeśli nic się nie wydarzy, odwiedzi ją nazajutrz.

Dała chłopcu szylinga i zapytała, co się dzieje w domu na klifie.

- Jedzenie jest kiepskie, bo Robbie nie umie gotować, ale jadałem już gorzej. Poza tym jego lordowska mość ma teraz gościa. To przyjaciel markiza i razem szukają jakiegoś łotra. Jak go złapią, będzie miał kłopoty. Więcej nie wiem, bo pan kazał mi pilnować własnego nosa.

- Rozumiem. - Marianne ogarnął niepokój. Zupełnie zapomniała o Hambletonie, ale choć te sprawy wydawały się jej teraz bardzo odległe, nie miała wątpliwości, kogo szuka Drew. Pomyślała, że to dziwne, iż w dalszym ciągu tropią go właśnie tutaj, bo jej zdaniem Hambleton już dawno powinien przebywać gdzie indziej.

Nazajutrz wyrzało słońce i zrobiło się trochę cieplej. Przez cały ranek Marianne wypisywała zaproszenia na ślub i otwierała prezenty, które już zaczynały przychodzić. Przed południem wyszła do ogrodu po kwiaty do

wazonów. Ciągłe jeszcze kwitły róże, lilie i wysokonogie stokrotki, które tak dobrze wyglądały w salonie.

Z uśmiechem na ustach układała ścięte kwiaty w płaskim koszu. Słońce przyjemnie grzało ją w kark i pożałowała, że pod koniec października, kiedy miał się odbyć ślub, nie będzie tak ciepło. Ale w końcu co to za różnica? Wychodząc za męża, będzie szczęśliwa bez względu na pogodę.

Nagle usłyszała chrząknięcie za plecami.

- Nic się nie zmieniło, z wyjątkiem tego, że podobno zamierzasz poślubić tego diabła Marlbecka... chyba że zrobię z ciebie wdowę, zanim zdążysz zostać żoną - rozległ się nieprzyjemny głos.

Odwróciła się i zbladła, widząc Hambletona. Miał niechlujną brodę i potargane włosy.

- Po co tu przyszedłeś?

- Dosyć mam chowania się jak zwierzę - rzucił ze złością. - Gdyby nie ty, wszystko byłoby moje. Przez ciebie jestem zrujnowany. Nie mam dokąd pójść i muszę się ukrywać, bo wszędzie mnie szukają.

- Zdradziłeś własny kraj - wytknęła mu Marianne, chociaż ogarnął ją strach. - Dla pieniędzy wydałeś na śmierć żołnierzy, którzy byli twoimi druhami. Szpiegowałeś dla Francji. Sam ściągnąłeś nieszczęście na swoją głowę. Poza tym nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Miałem w życiu wiele nazwisk, ale gdybyś tu nie przyjechała, zostałbym dżentelmenem.

Hambleton podszedł bliżej. Marianne doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jej nienawidzi, i wiedziała, że zamierza zrobić jej krzywdę.

- Nie masz żadnych praw do tego majątku - powiedziała, cofając się. - Mimo to, gdybyś inaczej postępował, lady Edgeworthy by cię nie wydziedziczyła.

- Zrobiła to przez ciebie. - Hambleton wyciągnął pistolet i wymierzył w Marianne.

Krzyknęła ze strachu, a on się roześmiał.

- Nie zamierzam cię zabić, w każdym razie jeszcze nie teraz. Chcę zemsty na Marlbecku i pieniędzy. Pójdiesz ze mną, panno Horne. Marlbeck musi za ciebie zapłacić.

- Nie! Nigdzie z tobą nie pójde. Nie jesteś w stanie zmusić mnie do tego.

- Zaczynam się zastanawiać, czy zabicie cię nie sprawi mi przyjemności - rzekł Hambleton, próbując chwycić ją za rękę, ale zdążyła się uchylić, cały czas cofając się w kierunku domu. - Rób, co ci każę, do diabła! Jeżeli będziesz się opierać, nie będę czekał i od razu cię zabiję.

- Jeśli pociągniesz za spust, będziesz trupem - rozległ się głos Drew.

Hambleton odwrócił się, mierząc z pistoletu w Drew.

- Zastrzel mnie, a będziesz wisiał. Nie jestem tu sam. Pięćdziesięciu ludzi przeszukuje posiadłość. Ktoś cię widział, jak tu szedłeś. Wiemy, że w nocy spotkałeś się w kopalni z Raoulem Viera i że się pokłóciliście. Viera nie chciał ci zapłacić za straty, jakie poniosłeś, więc go zabiłeś. Wrzuciłeś jego ciało do pustego szybu w kopalni, ale rano i tak je znaleźliśmy. To już koniec, Hambleton, czy jak teraz się nazywasz.

- Skoro i tak mam zginąć, równie dobrze mogę zabrać ze sobą i ciebie, i ją! - wykrzyknął Hambleton, kładąc palec na spuście.

W tym momencie Marianne skoczyła mu na plecy. Zatoczył się do przodu i spudłował, a w następnej chwili Drew siedział już na nim okrakiem. Nagle pistolet wypadł z ręki Hambletona, a on sam tak wściekle zaatakował, że zaskoczony Drew zwolnił uścisk. Napastnik wykorzystał okazję, wyrwał się i zaczął uciekać.

Drew wycelował w oddalającą się sylwetkę, ale Marianne dotknęła jego ręki i opuścił broń.

- Masz rację. Daleko nie ucieknie. Jack i pięciu żołnierzy są tuż za mną. Lepiej, żeby go złapali i powiesili. Zresztą może się okazać, że jest w posiadaniu informacji, które się im przydadzą.

- Powiedziałaś, że Hambleton zabił francuskiego szpiega. Jakim cudem zdołał zbiec? - zdziwiła się Marianne.

- Wypuścili go, bo chcieli, żeby zawiózł swoim pracodawcom sfalszowane dokumenty, ale plan spalił na panewce. Ktoś zauważył, jak Viera zmierza w tym kierunku, a potem widziano go w towarzystwie drugiego mężczyzny przy starej kopalni. Jesteśmy pewni, że tym drugim był Hambleton. Nasi ludzie słyszeli strzał, ale kiedy nadbiegli, w kopalni nikogo nie było. Ciało Francuza znaleziono dopiero rano, a Hambleton zniknął. Musiał dobrze poznać okolicę. Korzystał z kryjówek, których nie potrafiliśmy odnaleźć. Podejrzewamy, że przez cały czas ukrywał się właśnie tutaj.

- Przypuszczam, że w tunelu prowadzącym do piwnic pod naszym domem. Musiał być wściekły, gdy się zorientował, że nie zdoła otworzyć drzwi do piwnicy. Jestem pewna, że jeśli dobrze poszukać, to właśnie w kopalni znajduje się wejście do tego tunelu.

- Pomyślałem dokładnie to samo, ale do kopalni jest kilka wejść. Obejrzałem tylko te najnowsze, a dalej znajdują się korytarze, które mają pewnie po kilkaset lat. Pod ziemią znajduje się istny labirynt i ktoś powinien zadbać, żeby pozamykać te przejścia. Tym bardziej że lady Edgeworthy zamierza wiosną na nowo uruchomić kopalnię.

Marianne uśmiechnęła się i wtedy usłyszeli pojedynczy strzał.

- Muszę zanieść kwiaty do domu - powiedziała. - Zjesz z nami lunch czy musisz sprawdzić, co się stało?

Drew dostrzegł zbliżającego się mężczyznę i wskazał go narzeczonej.

- To Jack, jeden z moich najbliższych przyjaciół. Poprosiłem go na świadka - oznajmił.

- W takim razie obaj musicie zostać na lunchu - odparła Marianne i z uśmiechem patrzyła, jak przyjaciel Drew podchodzi coraz bliżej.

- Kapitan Harcourt, Marianne Horne, dama, którą poprosiłem o rękę. - Drew dokonał prezentacji.

Jack przyjrzał się narzeczonej przyjaciela, po czym skłonił głowę.

- Drew ma dobry gust i dopisało mu szczęście. Życzę pani wszystkiego najlepszego, panno Horne. Drew to wspaniały chłopak, choć czasem trochę samowolny. Teraz też na nas nie czekał, mimo że prosiłem go o to.

- Gdyby posłuchał, mogłoby mnie tu nie być. - Marianne popatrzyła czule na ukochanego. - Pan Hambleton próbował mnie porwać. Liczył na to, że w zamian za mnie dostanie wolność, a może i coś więcej.

- Macie go? - zapytał Drew.

- Tak. Jest ranny w nogę, ale żyje. Wiemy, że nazwisko Hambleton przywłaszczył sobie po śmierci prawowitego właściciela. Zabił co najmniej dwie osoby. Poza tym ciężą na nim zarzuty o szpiegostwo i kradzież. Będę zdziwiony, jeśli nie zawiśnie.

Słyszając to, Marianne zadrżała.

- Nie żałuj drania. To istny potwór i pewnie nigdy nie poznamy wszystkich jego zbrodni. - Drew objął ją ramieniem.

- Wcale go nie żałuję. Po prostu zaszło słońce i zrobiło się zimno. Zostanie pan na lunch, kapitanie?

- Z miłą chęcią - odparł Jack i spojrzał na nią z uznaniem. - Będę waszym świadkiem, choć mogę powiedzieć, że żaden z jego przyjaciół nie spodziewał się, iż taki dzień kiedyś nadejdzie. Cieszę się, że znalazł taką kobietę, jak pani.

Marianne poprowadziła gości do domu. Drew nadal pozostawał dla niej tajemnicą. I choć wiedziała o nim coraz więcej, przeczuwała, że będzie go poznawać przez całe życie.

- Kiedy zobaczyłem, jak się z nim szarpiesz, byłem przerażony - powiedział Drew.

Po południu zostali sami. Pani Horne, jej siostra oraz ciotka Bertha wybrały się powozem w odwiedziny do znajomych, Jack już poszedł, a Lucy rozpakowywała swój kufer, który do tej pory stał na strychu w Lodge.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdyby ten drań cię skrzywdził. Nie umiałbym żyć bez ciebie.

- Przyznaję, że trochę się przestraszyłam, ale nadszedłeś w samą porę.

- Dzięki Bogu za Jacka i za jego pomysł, żeby śledzić Francuza. Gdyby nie to, nie mielibyśmy pojęcia, że spotka się z Hambletonem, nie wiedzielibyśmy, gdzie ten drań się ukrywa... Zresztą, dosyć rozmów na ten temat. Sprawa jest zakończona i więcej do tego nie będziemy wracać. Mamy znacznie ciekawsze sprawy do omówienia.

- Daj mi listę gości, których chcesz zaprosić na ślub, trzeba im wysłać zaproszenia.

- Nie będzie ich wielu. Tylko Jack i kilku najbliższych przyjaciół. Mam dalekiego kuzyna, który może zechcieć przyjechać, ale nie zamierzam zapraszać wszystkich znajomych z towarzystwa. Chyba że tobie zależy na wielkiej uroczystości?

- Nie. Zapraszamy tylko siostrę mamy z mężem, kuzyna papy i Jane z doktorem Thompsonem. Może jeszcze majora Barra i kilku najbliższych przyjaciół ciotki.

- Wiosną pojedziemy do Londynu i wtedy oczywiście będziemy musieli urządzić bal - powiedział Drew. - Nie zamierzam cię trzymać w mauzoleum wuja, choć od czasu do czasu będziemy musieli wpaść do Marlbeck Manor. Mam dom w Hampshire i tam chcę z tobą zamieszkać. Jest mniejszy niż Marlbeck Manor, ale bardzo go lubię. Mam też dom w Londynie, który po ostatnich przeróbkach jest zupełnie wygodny.

- Poprzedni markiz był niezwykle wyniosły i godny, myślisz, że i my musimy być tacy jak on?

- Możesz być wyniosła albo zwyczajna, jak sobie życzysz. Kto wie, czy nie wciągnie cię wir życia towarzyskiego, kiedy w Londynie będziesz zapraszana do najlepszych domów?

- Na pewno to polubię, szczególnie jeśli twoi przyjaciele są równie czarujący jak Jack Harcourt.

- Hal jest młodszy niż Jack i ja i pewnie uznasz, że to taki typ, który nikogo nie traktuje z szacunkiem.

- Nie mogę się doczekać, żeby go poznać... - Marianne urwała, bo spostrzegła przez okno, że przed domem zatrzymał się powóz, z którego wyskoczyła śliczna dziewczyna, a za nią powoli wyszła starsza dama i dżentelmen z ręką na temblaku. - To moja siostra i ciotka z wujem. Spodziewaliśmy się ich dopiero jutro...

- Idź się przywitać - powiedział Drew, uśmiechając się na widok radości widocznej na twarzy narzeczonej. - Zostanę, żebyś mogła nas przedstawić, a potem cię opuszczę. Jeszcze przed ślubem powinienem spotkać się z kilkoma osobami.

W chwili kiedy skończył mówić, do pokoju wpadła Jo i stanęła jak wryta, patrząc z ciekawością na Drew.

- Kochana Jo, przedstawiam ci markiza Marlbecka, Drew, to moja siostra Jo.

- Miło pana poznać. - Jo wyciągnęła rękę do Drew. - Teraz rozumiem, dlaczego spodobał się pan mojej siostrze. Nie byłam pewna, czy będzie pan do niej pasował, bo zawsze wyobrażałam ją sobie jako żonę pastora, ale myślę, że będzie pan dla niej odpowiednim mężem.

- Pani słowa mi pochlebiają - odparł Drew z łobuzerskim błyskiem w oku, bo spodobał mu bezpośredni i szczery sposób bycia Jo. - Zrobię wszystko, by okazać się jej wart.

- W przeciwnym razie będzie miał pan do czynienia ze mną - stwierdziła poważnie Jo i objęła Marianne. - Ślicznie wyglądasz. Najwyraźniej służy ci stan zakochania, choć do tej pory nie zwracałaś uwagi na arystokratów. Doprawdy nie wiem, dlaczego nagle zdecydowałaś się poślubić jednego z nich.

- Jo! To było bardzo niegrzeczne. Takie zachowanie jest niewybaczalne! - odezwała się oburzona lady Wainwright, która usłyszała tylko kilka ostatnich słów. - Natychmiast przeproś pana markiza! - poleciła, a potem uśmiechnęła się przytomnie do Drew. - Jestem pewna, że już się spotkaliśmy. Na balu, na którym debiutowała moja córka, na początku tego roku...

- O, tak. Chyba pamiętam - odparł Drew. Uniósł do ust dłoń starszej damy i pocałował powietrze obok jej palców. - Nie wolno jednak pani krzyczeć na Jo. Powiedziała szczerze to, co myśli, a ja nie obrażam się za prawdę.

Drew uśmiechnął się do Jo, która z tryumfem spojrzała na Marianne. W salonie pojawił się lord Wainwright i podszedł, by uścisnąć rękę Drew.

- Wspaniała wiadomość. Będzie pan dobrym mężem dla mojej siostrzenicy. To urocza dziewczyna. Pod każdym względem. Mam nadzieję, że poprosi, żebym ją poprowadził do ołtarza. Tęskniłem za twoimi wizytami, młoda damo, i cieszę się, że w przyszłości będziemy sąsiadami. Tym bardziej że, jak słyszę, twoja mama planuje na stałe się przenieść do Kornwalii. Chcę, byś wiedziała, że znalazłem dla niej większy i ładniejszy dom, gdyby jednak chciała wrócić. Wasza przeprowadzka do Lodge była tylko czasowa.

- Lady Edgeworthy potrzebuje obecności mamy, a i Lucy polubiła to miejsce. - Marianne uśmiechnęła się do wuja. - Jestem pewna, że wuj zawsze będzie tutaj mile widziany.

Poza tym mama będzie mnie odwiedzać w Marlbeck Manor i wtedy będziecie mogli się spotkać.

- Oczywiście, wszystkim nam zależy, żeby było jej wygodnie... - odparł, patrząc na żonę z nieskrywaną irytacją, a siostry Horne utwierdziły się w przekonaniu, że to ciotka, a nie wuj wybrała dla nich Lodge.

- Myślę, że tutaj mama jest szczęśliwa. Ciotka Bertha to urocza osoba i doskonale się rozumieją. Wasze pokoje są już przygotowane. Chcecie iść od razu na górę i odpocząć po podróży, czy też macie ochotę napić się herbaty?



- Chętnie odpocznę. Drogi w Kornwalii są okropne! Zaprowadź mnie do pokoju, Marianne. Poleżę godzinę i potem zejść na dół - odparła lady Wainwright.

- Niestety, muszę państwa pożegnać. Mam jeszcze coś do załatwienia. Do zobaczenia wieczorem, najdroższa. - Drew uśmiechnął się do narzeczonej.

- Oczekujemy cię na kolacji - przypomniała Marianne i wyszła z ciotką Agathą z salonu.

- Moja żona źle znosi podróże, ale kiedy odpocznie, będzie w lepszym humorze. - Lord Wainwright spojrzął na Drew. - Zastępuję ojca Marianne i dlatego będziemy musieli porozmawiać.

- Oczywiście. Została do omówienia sprawa kontraktu małżeńskiego. Nie miałem czasu porozmawiać o tym ze swoim prawnikiem, ale jestem pewien, że nie uzna mnie pan za skąpego. - Drew skinął głową Jo i wyszedł, zostawiając ją w salonie w towarzystwie wuja.

- Jestem przekonany, że będzie się nią opiekował - rzekł lord Wainwright.  
- Moja żona początkowo nie chciała uwierzyć, że twoja siostra wychodzi za markiza. Wbiła sobie do głowy, że w najlepszym wypadku Marianne może wyjść za mąż za barona. Teraz będzie musiała ponownie przemyśleć kwestię twojego małżeństwa, moja panno.

- Nic z tego. - Jo uśmiechnęła się do wuja, którego lubiła dużo bardziej niż ciotkę. - Marianne jest najładniejsza z nas trzech, choć kto wie, czy za parę lat Lucy jej nie dorówna. Jeśli chodzi o mnie, to nie wiem, czy kiedykolwiek zechcę wyjść za mąż.

- Jestem pewien, że mama i lady Edgeworthy ucieszą się, mając cię przy sobie jeszcze przez jakiś czas. Liczę na to, że nie zrobisz ciotce zawodu i pojedziesz z nią do Bath?

- Lady Wainwright podarowała mi całą nową garderobę. Byłabym niewdzięczna, gdybym z nią się nie wybrała. Jednak nie mogę obiecać, że znajdę sobie męża w Bath.

Do salonu weszła Lucy. Przywitała się z wujem i padła w ramiona Jo. Po chwili wyciągnęła ją z salonu i zaprowadziła do przygotowanego dla niej pokoju, który sąsiadował z jej własnym.

Marianne zajrzała do salonu i zobaczyła, że wuj został sam.

- Kieliszek madery? - zaproponowała.

- Dziękuję, może później. Chodź do mnie, porozmawiajmy. Żałuję, że nie pozwoliłem twojej mamie i siostrom zostać na plebanii dopóty, dopóki nie przygotowałem dla nich nowego domu. Agatha... byłem pewny, że Lodge będzie odpowiedni. Kiedy usłyszałem o chorobie Lucy, bardzo się znerwowałem.

- Mama bardzo to przeżyła, ale na szczęście Lucy czuje się dużo lepiej. Sam wuj widział.

- To prawda. Wydaje się, że zupełnie wróciła do zdrowia. Chcę, byś wiedziała, że bardzo was wszystkie lubię... - Lord Wainwright wydawał się tak zakłopotany, że Marianne zrobiło się go żal. Podeszła i pocałowała go w policzek. Wuj wyraźnie się odprężył. - Widzę, że nie żywisz do mnie urazy.

- Nie widzę powodu. Wuj zawsze był dla nas bardzo dobry.

- Mogłem być lepszy... - Lord Wainwright potrząsnął głową. - W bagażu mam dla ciebie prezent. Coś bardzo specjalnego. Wiem, że Marlbeck pełne jest wszelkiego rodzaju skarbów i że twój mąż jest bogaty. Dlatego postanowiłem, że w prezencie ślubnym podaruję ci brylantowy naszyjnik. Marlbeck jest jednym z najbogatszych ludzi w kraju, lecz czym są pieniądze, jeśli nie ma się ich z kim dzielić? Jestem pewien, że dasz mu więcej niż on tobie.

Na szczęście do salonu weszła pani Horne wraz z ciotką Berthą i Marianne nie musiała kontynuować rozmowy na ten delikatny temat. Zanim podano herbatę, zjawiała się lady Wainwright. Powstało zamieszanie, zaczęło się składanie życzeń i dopiero po godzinie Marianne zdołała się wymknąć do swojego pokoju.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie zostaniemy same - szepnęła Jo, idąc w ślad za siostrą. - Wydaje się, że od twojego przyjazdu tutaj minęły całe wieki, choć w rzeczywistości nie było to tak dawno. Nie wierzę, że wychodzisz za mąż!

- Sama w to nie wierzę. Miałam dużo szczęścia.

- To raczej on miał szczęście! - prychnęła Jo. - Najważniejsze, że jesteś szczęśliwa.

- Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa i nie mogę się doczekać, kiedy zostanę jego żoną.

## *Rozdział dwunasty*

Drew spędził z narzeczoną i z jej siostrami kilka dni i najwyraźniej spodobało mu się ich towarzystwo. Musiał jednak pojechać do Marlbeck Manor, żeby załatwić najpilniejsze sprawy. Zanim wsiadł do powozu, siostry taktownie zostawiły go sam na sam z Marianne.

- Cieszę się, że miałem okazję pobyć z wami - powiedział, całując narzeczoną. - Przyglądając się wam, odkryłem całkiem nową stronę życia. Żałuję, że muszę wyjechać, ale jeśli mamy udać się w podróż poślubną do Włoch, powinienem tym się zająć.

- Oczywiście, rozumiem - odparła Marianne. - Na pocieszenie możemy sobie powiedzieć, że wkrótce odbędzie się nasz ślub.

Marianne obudziła się pewnego październikowego ranka i stwierdziła, że zapowiada się ładny dzień na jej ślub. Wprawdzie wiał chłodny wiatr, ale świeciło słońce, co było miłą odmianą po ostatnich deszczach.

Kiedy była już niemal gotowa, do pokoju weszła Lucy.

- Ślicznie wyglądasz! Przyniosłam ci prezent. Sama go zrobiłam - oznajmiła, wręczając Marianne podwiązkę z niebieskiej wstążki.

Następna była Jo. Podarowała siostrze oprawiony w skórę album z kartami z welinu, na które wpisano ulubione wiersze Marianne, a także receptury na kremy i olejki zapachowe, jakie robiła pani Horne. Ponadto Jo umieściła w albumie zasuszone kwiaty i pukiel włosów papy zwinięty w kształt litery M.

- To wspaniały prezent! - zawołała bardzo wzruszona Marianne.

- Drew da ci wszystko, co można kupić za pieniądze, natomiast album będzie ci przypominał chwile, które spędziłyśmy razem.

- Masz rację, ale pamiętaj, że Drew będzie was chętnie widział w naszym domu.

- Wiem, ale to nie to samo. - Jo pociągnęła nosem. - Teraz będziesz kochać kogoś innego - szepnęła. - Wiem, że taka jest kolej rzeczy, i nie mam ci tego za złe. Naprawdę. Chcę jednak, żebyś pamiętała...

Potem przyszły pani Horne i ciotka Bertha i obdarowały Marianne drobnymi prezentami, podczas gdy w salonie na dole wystawiono mnóstwo okazałych i drogich podarunków ślubnych. Marianne była zaskoczona, tym bardziej że część z nich przysyłali ludzie, których nie znała i którzy nie zostali zaproszeni na ślub.

- Nie martw się - uspokoił ją Drew, kiedy rozpakowano wspaniały srebrny serwis do kawy i herbaty подарowany przez hrabiego i hrabinę Sawstonów. - Ci, których nie zaprosiliśmy na ślub, dostaną podziękowania, a wiosną będziemy ich gościć w Londynie.

Od Jane Marianne otrzymała ozdobione koronką chusteczki, które sama uszyła. Uściskały się i Jane wyznała jej, że spodziewa się dziecka.

Nadeszła pora, by ruszyć do kościoła.

Marianne ogarnęła ogromna radość, gdy szła do ołtarza, przed którym czekał na nią Drew. Odwrócił się, by na nią popatrzeć, i dostrzegła w jego oczach miłość.

Uśmiechnęła się i zajęła miejsce obok narzeczonego. Powtarzając słowa przysięgi, czuła bliskość stojącego obok przyszłego męża. Gdy pastor ogłosił ich mężem i żoną, zaczęły bić dzwony, a oni wyszli przed kościół.

- Pięknie wyglądasz, kochanie. Tęskniłem za tobą - szepnął, gdy sypano im na głowę płatki róż.

- Naprawdę? - Marianne spojrzała z miłością na męża. - Tak bardzo cię kocham, Drew.

- Powtarzaj mi to każdego dnia, bo nigdy nie będę miał dosyć tych słów - szepnął.

- Dobrze.

Chwycili się za ręce i wśród szpaleru gości pobiegli do powozu. Gdy schronili się w jego wnętrzu, Drew wziął Marianne w ramiona i zawładnął jej ustami w namiętnym pocałunku.

- Przygotowałem prezenty dla twojej mamy i siostr oraz dla obu ciotek i wuja. Powinny były zostać dostarczone w czasie, gdy byliśmy w kościele. Mam nadzieję, że im się spodobają.

- Cieszę się, że o nich pomyślałeś. - Marianne ogarnęło wzruszenie. Dostała od Drew biżuterię i różne kosztowne drobiazgi, ale fakt, że pomyślał o jej rodzinie, sprawił jej radość.

- Teraz to także moja rodzina - stwierdził, a, w jego głosie było coś, co kazało jej spojrzeć mu w twarz.

- Tak. Teraz to także twoja rodzina - przyznała, wiedząc, że może tylko zgadywać, jak wiele to dla niego znaczy.

Dom lady Edgeworthy był pełen gości, choć według standardów przyjętych przez ludzi z towarzystwa to przyjęcie weselne zostałyby określone jako małe i skromne. Wiekowy kuzyn markiza przyjechał, przywoząc młodej parze wspaniałe prezenty. Wyznał, że bardzo się cieszy ze ślubu i że ma nadzieję odwiedzić ich kiedyś w Marlbeck Manor.

Marianne z radością powitała go w rodzinie, tym bardziej że Drew najwyraźniej świetnie dogadywał się z jej siostrami i zdobył sobie nawet aprobatę ciotki Agathy.

- Nie przypuszczałam, że tak dobrze wyjdiesz za mąż - powiedziała lady Wainwright, dotykając pięknej brylantowej broszki, którą Marianne podarował Drew. - Marlbeck jest bardzo hojny. Jestem pewna, że będzie ci z nim dobrze.

- Kocham go i to był jedyny powód, dla którego za niego wyszłam - odparła pogodnie Marianne.

- No proszę! - Lady Wainwright wydawała się nieco zirytowana taką odpowiedzią, ale powstrzymała się od uwag i ruszyła w stronę kapitana Harcourta, by porozmawiać z nim o decyzji rządu, z którą się nie zgadzała.

Nadeszło popołudnie i Marianne poszła przebrać się w podróżną suknię, a także pożegnać z matką i siostrami. Przed domem czekał powóz, który miał zabrać parę młodą w pierwszy etap ich podróży poślubnej. Drew pomógł żonie wsiąść do powozu i przyglądał się, jak macha ręką do wszystkich, którzy przyszli ją pożegnać. Dopiero gdy straciła ich z oczu, spojrzała na zamyśloną twarz męża.

- Co się stało?

- Rozmyślałam o tym, jak bardzo zmieniło się moje życie w ciągu kilku krótkich tygodni. Byłem gotów pogodzić się z losem i wtedy nagle ty się pojawiłaś i przewróciłaś moje życie do góry nogami.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Zamierzałem wziąć za żonę jakąś odpowiednią pannę lub wdowę, by spłodzić z nią potomka, i tym samym wypełnić ciężący na mnie obowiązek, ale wszystkie plany wzięły w łeb, kiedy po raz pierwszy cię pocałowałem. Od tamtego pamiętnego momentu dobrze wiedziałem, że chcę za żonę tylko ciebie.

- Ogromnie się z tego cieszę. Gdyby nie ty, nie wyszłabym za mąż.

- Zatem los okazał się dla nas łaskawy. Mam ciebie i nową rodzinę...

- Zdaję sobie sprawę z tego, że moja rodzina jest zaborcza.

- Nie mam do nich żalu... Lubię na was patrzeć, kiedy jesteście wszyscy razem. Cieszę się, że jestem częścią waszej rodziny, ale czasami w ich towarzystwie czuję się tak, jakby porwała mnie trąba powietrzna.

- Uwierz mi, że podzielam twoje odczucia. Mam nadzieję, że nie będziesz żałował swojej decyzji.

- Nigdy, przyrzekam. Uważałem, że moje życie jest puste. Czuję, że w przyszłości już mi to nie grozi. Nie wystąpiłaś podczas sezonu w Londynie jako debiutantka. Mam nadzieję, że któregoś dnia nie pożałujesz, że nie poczekałaś.

- Kocham cię, najdroższy mężu, i zawsze tak będzie.

Drew przyciągnął ją do siebie. Dotknął jej pełnych piersi i zaczął je delikatnie pieścić przez cienki jedwab sukni.

- Za każdym razem, gdy cię widzę albo dotykam, pragnę cię, tęsknię do ciebie i ogarnia mnie ogromna czułość. - Drew pocałował Marianne w szyję. - Myślę, że właśnie to nazywasz miłością.

- Tak, najdroższy, to właśnie miłość.

Marianne nadstawiła usta do pocałunku. Wiedziała, że Drew nie może się doczekać nocy poślubnej.

Później, kiedy leżeli w swoich objęciach, rozleniwieni i nasyceni miłością, Marianne uświadomiła sobie, że dopiero teraz może docenić pełnię swojego szczęścia.

Drew powoli i z czułością prowadził ją ścieżką wiodącą do spełnienia i kiedy w końcu się połączyli, pożądanie, jakie w niej rozbudził, sprawiło, że niemal nie poczuła bólu.

- Teraz nic nas nie rozłączy. Mając cię, nie będę samotny. Jesteś moim największym szczęściem, Marianne - szepnął czule Drew.

- Kocham cię, mężu. Będę cię kochać do końca życia.

## *Postowie*

Po wyjeździe Marianne obie siostry od razu zaczęły za nią tęsknić. Lucy usiadła na brzegu łóżka Jo i słuchała, jak siostra czyta na głos fragment swojej powieści.

- „Mary rozejrzała się po obszernym i wygodnie urządzonej salonie plebanii i zrozumiała, że dokonała słusznego wyboru. Gdyby przyjęła oświadczyzny hrabiego, mieszkałaby teraz w dużym, pustym domu, w którym echo odbijało odgłos ludzkich kroków, i wiodłaby puste i bezsensowne życie. Na szczęście tego nie zrobiła i jako żona zacnego i dobrego pastora Thorntona wypełniała swoje dni pracą na rzecz ubogich i potrzebujących”.

Jo odłożyła kartkę i z westchnieniem spojrzała na siostrę.

- Okropne, prawda?

- Chyba tak - przyznała szczerze Lucy. - Spodobał mi się ten hrabia. Dlaczego nie pozwoliłaś bohaterce go poślubić?

- W prawdziwym życiu takie rzeczy się nie zdarzają. Piszę historię o zwyczajnej dziewczynie, takiej jak my. Moja bohaterka miała być podobna do Marianne, a ja zawsze wierzyłam, że ona poślubi kogoś takiego jak nasz papa.

- Drew ani trochę nie przypomina papy - zauważyła Lucy. - Myślę, że jest jego przeciwieństwem. Ale i tak bardzo go lubię. Widać, że kocha Marianne, i dlatego myślę, że będzie z nim szczęśliwa.

- Masz rację. Patrzy na nią z uwielbieniem - zgodziła się Jo. - Drew nie jest typowym arystokratą. Większość z nich cechuje dumna i wyniosłość i interesuje ich wyłącznie własna osoba.

- Skąd możesz wiedzieć? Nie znasz wielu arystokratów. Chyba że mówisz o ciotce Wainwright, ona rzeczywiście nie dba o innych. Ale ciocia Bertha jest zupełnie inna. I wuj Wainwright też, jeśli rozmawia się z nim, kiedy jest sam. - Lucy pocałowała Jo w policzek. - Lubię twojego hrabiego i myślę, że jeśli



pozwolesz, aby Mary wyszła za niego, a nie za proboszcza, to historia będzie dużo ciekawsza.

Lucy wyszła i Jo była pewna, że pobiegła do sypialni, by wejść pod kołdrę i poczytać którąś ze swoich bajek. Łatwo jej mówić, że Mary powinna poślubić hrabiego, pomyślała Jo. Niechętnie przyznała, że sama też go polubiła, choć hrabia miał na sumieniu podłe czyny i powinien cierpieć odrzucony przez ukochaną. Życie nie zawsze jest usłane różami.

Odwiedzając domy biedaków, którym nosiła jedzenie i zabawki dla dzieci, Jo często była świadkiem, że mężowie brutalnie traktują żony. Widziała, jak dostatnio żyli posiadacze ziemscy i jak straszną nędzę cierpieli ubodzy, i uważała, że tak nie powinno być.

Zdmuchnęła świecę i leżąc w ciemności, pomyślała o markizie Marlbecku, który rzeczywiście jest bardzo bezpośredni i sympatyczny. Marianne będzie z nim szczęśliwa. Jo na razie nie myślała o małżeństwie. W głębi duszy żywiła nadzieję, że jej pierwsza powieść okaże się sukcesem, ale, niestety, tak się nie stało.

Pomyślała o porannym wyjeździe do Bath. Ciotka Wainwright postanowiła dłużej nie zwlekać. Wuj miał im towarzyszyć w drodze, przenocować w Bath i następnego dnia wyruszyć do domu. Nie zamierzał pić leczniczych wód ani uczestniczyć w balach, które jego zdaniem, były nudne, ale nie zapomniał o siostrzenicy i w tajemnicy przed żoną dał jej dwadzieścia funtów na drobne wydatki.

Niechętnie opuszczała Sawlebridge House. Na pocieszenie powiedziała sobie w duchu, że wizyta w Bath nie będzie trwała wiecznie. Spędzi tam kilka tygodni, a potem wróci do mamy i do Lucy.

